

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/433

1983



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

T. KLEMPSKI: **PIELGRZYMKA I PIELGRZYMSTWO**

E. BERBERYUSZ: **ROZMOWA Z A. KIJOWSKIM**

R. ZIMAND: **GATUNEK: PODROŻ (I)**

TREUHAENDERZY POLSKIEJ LITERATURY

B. STASIKOWSKI: **TRZY ROZGŁOŚNIE**

SPIS RZECZY

Tymoteusz Klempski:	<i>Pielgrzymka i pielgrzymstwo</i>	3
Ewa Berberysz:	<i>W czym żyjemy? (rozmowa z Andrzejem Kijowskim)</i>	15
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	28
Roman Zimand:	<i>Gatunek: podróż</i>	35
	WIERSZE	
Jerzy Bendych:	<i>Zejsście</i>	50
Jan Darowski:	<i>Wóz</i>	50
Jan Darowski:	<i>Kwiaty</i>	51
Andrzej Koraszewski:	<i>Witam się z tobą...</i>	52
Maria Kurecka:	<i>Portret z rybą. — Portret bez krawata</i>	53
	OBSERWATORIUM	
—	<i>Po likwidacji ZLP:</i>	
—	<i>Treuhänderzy polskiej literatury</i>	55
—	<i>Protest Związku Pisarzy na obczyźnie</i>	58
—	<i>Protest członków ZLP przebywających za granicą</i>	58
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Tomasz Mianowicz:	<i>Czy Zachód przetrwa do roku 1984?</i> ..	58
	MEDYCYNĄ W ŚWIECIE WSPÓŁCZESNYM	
Rafał Dąbrowski:	<i>Chcę umrzeć w domu...</i>	68
Z. Bańkowski:	<i>Tortury, medycyna i Narody Zjednoczone</i>	79
	Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności:	
	<i>Stan zdrowia ludzi internowanych</i> ..	83
	SPRAWY I TROSKI	
Janusz Rakowski:	<i>Dylematy polskiego zadłużenia</i>	86
—	<i>Uniwersytet letni Wolnego Świata</i> ..	96
—	<i>Wolna Wszechnica Polska w Paryżu</i> ..	99
	K R A J	
Bogdan Stasikowski:	<i>Trzy rozgłoszenie</i>	100
—	<i>Fundusz drukarski im. Głowackiego</i> ..	110
	SĄSIEDZI	
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	112
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	118
Alexander Tomsy:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	122
	KRONIKA KULTURALNA	
Adam Zagajewski:	<i>Wyobrażenia — siódmy kontynent</i> ..	124
	CI, CO ODESZLI	
—	<i>Jarostaw Żaba</i>	132
	POLEMIKI	
Konstanty A. Jeleński:	<i>Do Artura Sandauera — bez taryfy ulgowej</i>	135
	KSIĄŻKI	
Alain Besançon:	<i>Jak giną demokracje</i>	141
Janina Katz-Hewetson:	<i>By wolnych poznać po tym, że kulawi</i> ..	144
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	149
	◆	
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	150
	◆	
R. Kamiński, St. Kossowska, F. Mantel, J. Mond, W. Sikora, Wł. Bartoszewski, Z. M. Karetta, A. M. Maskell, M. Strześniewski, M. Trokenheim:	<i>Listy do Redakcji</i>	152
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159
—	<i>Sprostowanie</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1983

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Aleksander I. Bragiński, Pittsburg, PA (USA), po raz 31-szy — \$ 30,00	F. 240,00
St. S. Fay, New York — \$ 48,00	F. 384,00
B. T. Łaszewski, New York, po raz 16-ty — \$ 60,00	F. 480,00
T. Maczyński, Chicago, IL (USA), po raz 8-my — \$ 20,00 ..	F. 160,00
N.N. z Argentyny — \$ 3.000,00	F.24.000,00
Józefa i Kazimierz Patalas, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 6-ty (przekazała p. A. Szetle)	F. 100,00
Bonifacy Pulwicki, Calgary, Alta (Kanada) — \$ 25,00	F. 200,00
Anna Szetle, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 4-ty — \$ 100,00	F. 800,00
Płk Jan Woźniak, Londyn, po raz 8-my — £ 20,00	F. 240,00
Anonimowo z Paryża, po raz 19-ty	F. 160,00

DZIĘKUJEMY!

**WPLĄTY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU
„ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”**

A.T., USA — na pomoc dla walczących w kraju — \$ 100,00	F. 800,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — na pomoc dla pisarzy w Polsce przesładowanych ze względów politycznych — DM 200,00	F. 600,00
Józef Kunc, Long Beach, CA (USA) — na Fundusz Samopomocy Społecznej, po raz 20-ty — \$ 50,00	F. 400,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Stockholm — KS 100,00	F. 100,00
Z USA „z okazji końca wakacji i sutej kolacji” — \$ 50,00 ..	F. 400,00

WPLĄTY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z RFN	F. 300,30
Comittee in Support of Solidarity, Cleveland, Ohio (USA) (na- desłał dr Zbigniew Piotrowski — \$ 250,00 i \$ 65,00 — razem: \$ 315,00	F.2.520,00
E.M., Paryż	F. 200,00
Czesław Kiendys, Göteborg (Szwecja) — kwotę uzyskaną ze zbiórki publicznej z ramienia S.P. w Göteborgu — KS 250,00	F. 250,00
T. Maczyński, Chicago, IL (USA) — \$ 20,00	F. 160,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ US 100,00	F. 800,00
W. Szczygielski, Zürich, F.Sw. 10,00	F. 37,00
Marek Tokar, Bloomfield, N.J. (USA) — na ukrywających się członków „Solidarności” — \$ 36,00	F. 288,00
Towarzystwo Przyjaciół „Solidarności”, Vancouver, B.C. (Kana- da) — \$ c.100,00	F. 650,00
Jan Zybała, Snowmass Village, CO (USA) — \$ 16,00	F. 128,00

Pielgrzymka i pielgrzymstwo

Nad Polską nadal rozciąga się to nieprawdopodobnie piękne lato 1983 roku, zupełnie tak, jakby blask minionej pielgrzymki trwał jeszcze. Czy trwa? Diagnoza pięknego lata i smutnej rzeczywistości „stanu powojennego”, czyli stabilizacji anormalizacji 83, jest niezwykle trudna i wielopłaszczyznowa. Nie podejmuję więc bilansu, ale wyłącznie prezentuję kilka spostrzeżeń, przemyśleń, perspektyw.

Znaczenie II polskiej pielgrzymki Jana Pawła II było ogromne. Czy większe niż I pielgrzymki? Z pewnością tamta, dokonując obudzenia narodu, miała bardziej bezpośredni, spektakularny oddźwięk. Obecna nie była już budzeniem, ale jakby tylko jego potwierdzeniem, w momencie, kiedy już wielu mogło się zdawać, że półtora roku zbliżenia do wolności było snem — pięknym i rozplywającym się po obudzeniu w nicłość. Ojciec Święty z miłością i mocą mu właściwą powtarzał w homiliach i przemówieniach podstawowe tezy swej nauki społecznej, a przede wszystkim prawa jednostki ludzkiej do osobistej wolności, do integralności, do równego udziału w reprezentacji narodowej. Wielu ludzi spodziewało się bardziej bezpośrednich odpowiedzi na nękające wszystkich pytania, te jednak nie padły, paść bowiem nie mogły, gdyż w tym wypadku Papież-Polak przestaje być Polakiem, staje się wyłącznie papieżem, czyli pasterzem ludzkości i nie wolno mu włączać się bezpośrednio w kompleks szczegółowych problemów politycznych danego kraju. Nawet jeśli ten kraj jest jego własną, rodowitą ojczyzną. Zresztą Jan Paweł II z nieprawdopodobną wirtuozerią przybliżał się na milimetry do tej „strefy zastrzeżonej” (umownie zresztą i bezpodstawnie z międzynarodowego punktu widzenia), w cyklu jego homilii dokonywała się niezwykła eskalacja, w której bardzo mocno, bardzo



P.9786 Chr. Arch.

napiętym słowom odpowiadały w kontrapunkcie złagodzone i odsunięte ku ogólnoludzkemu posłannictwu apostołskiemu Kościoła homilie religijno-moralne.

Cała ta II pielgrzymka, gdy ją obserwować dzień po dniu, godzina po godzinie, zbudowana była na zasadzie wielkiego utworu muzycznego, gdzie *presto* wypada gdzieś pośrodku, pomiędzy początkowym *allegro* i końcowym *largo*. I jedno było — za to ogromne — podobieństwo do I pielgrzymki ze strony odbiorców: masowość i manifestacyjność uczestnictwa, przy czym owa manifestacyjność ujęta w samookreślające się ramy ogromnego porządku była zachwycającym przykładem dojrzałości Polaków. Oto sztandary, transparenty „Solidarności”, oto lasy rąk z „rozczapierzonymi palcami”, jak z rozjuszoną elegancją oświadczył kiedyś Jaruzelski, oto skandowane wezwania w tych momentach, kiedy ani ofiara mszy, ani słowa papieskie takiej manifestacji się nie sprzeciwiały. Przecież, na miłość Boską, nikt tymi tysiącami i nawet milionami nie dyrygował, a koncertowi papieskiego posłania odpowiadał bezbłędnie koncert społecznego oddźwięku. Był to i dialog na dwa głosy: pojedynczy i zbiorowy, i koncert w którym soliście w białych szatach towarzyszył akompaniament największej orkiestry — jego własnego narodu. Więc to wszystko, co już jest za nami, co trwa w ułomnej ludzkiej pamięci, która z równą lekkomyślnością przybliżyła i oddala, powiększa i pomniejsza, jak lornetka raz prawidłowo, a raz odwrotnie przykładana do oczu, i jeszcze trwa w zapisie słów pasterskich, należy jednak do przeszłości i pytanie nie jest istotne: czy było pięknie i podniosłe, ale właśnie: jak mocując się z ułomną pamięcią zbiorowości zdoła się to posłanie zakorzenić w Polakach.

I zaraz po tych, pewnie nazbyt patetycznych, słowach zadam pytanie: kto się z wyników tej wizyty Jana Pawła II cieszy najbardziej? Oczywiście pomijam sam naród.

Otóż podejrzewam, że stosunkowo najmniej podstaw do radości ma „Solidarność”, która spodziewała się słów bardziej konkretnych, bijących w godną potępienia sytuację, w której władze partyjno-wojskowe zdelegalizowały... naród. Delegalizacja Polaków (nie sposób tego zjawiska przeliczać na miliony członków „Solidarności”, bowiem znacznie szerzej i powszechniej przebiegała strefa aprobaty wobec rewizji dotychczasowej sytuacji krajowej), przybrała bowiem w obecnym czasie wymiar o wiele ostrzejszy, choć nie tak zboczony krwią, jak likwidacja Polskiego Stronnictwa Ludowego, które przecież też operowało milionami członków. Obecna słabość „Solidarności” jako struktur zepchniętych do konspiracji wynika z tego, że owej powszechnej delegalizacji towarzyszyły poszczególne wystąpienia manifestacyjne oraz... głuche, pełne wyczekiwania milczenie „szarego czło-

wieka”, tego pana X i pani Y, które o masach stanowią. Proszę przypomnieć sobie wstrząsający wiersz Miłosza o zagładzie warszawskiego getta: „W Rzymie na Campo di Fiori...”. To było mniej więcej tak samo, a nawet o wiele gorzej niż tak samo: tam, można powiedzieć, Niemcy wyniszczali za murem Żydów; były to ich sprawy: najeźdźców i mniejszości. Tu tego nie było: to swoi ze swoimi się rozprawiali. Uważam, że wołanie „Gestapo” do szarżujących ZOMO-wców, milicji i esbecji było nie kamieniem obrazy, ale czymś jakby usprawiedliwieniem: Gestapo było orężem okupanta, a ZOMO...? No cóż, także okupanta, tyle że jakże perfidnie kryjącego się za polskimi gauleiterami. I kiedy dokonywała się eksterminacja wolności i suwerenności narodu, pan X i pani Y, tysiące, setki tysięcy podobnych do siebie „szarych ludzi” dreptało do kolejek sklepowych, do pracy, ku przasnym domowym rozrywkom wódy i telewizji, nawet nie odwracając głowy ku tym, którzy za nich rzucali się z pięściami na najemniczą armię.

Z kolei największą radość odczuły niewątpliwie koła kościelne i w ogóle katolicy polscy. Nie stawiłbym tu jednak znaku równania: katolicka zbiorowość polska odczuwała czystą, spontaniczną radość dokonania się tego, co już wydawać się mogło w zmienionych warunkach niemożliwością. Inna była radość episkopatu: po to, by to niemożliwe zrealizować poczynił on wiele *démarches* i nawet, nie bójmy się słowa: przetargów. Prymas w czasie owej pielgrzymki jakby zanikł, usunął się w cień: witał i żegnał, ale nawet nie starał się zamarkować wyraźniej swej obecności, a już z pewnością swego współuczestnictwa, które tak wyraźnie było odczuwalne ze strony Wyszyńskiego, „prymasa tysiąclecia”, w czasie I pielgrzymki. To ładnie świadczy o Józefie Glempie i mam wrażenie, że wyjaśnia wiele z jego poprzedzających przybycie Papieża posunięć, a zwłaszcza wypowiedzi, nie zyskujących mu popularności w narodzie. W tym jego wycofaniu się w cień, w tej pokorze, jak się zdaje niewymuszonej, było wyjaśnienie dawnych ustępstw. On chciał za wszelką cenę doprowadzić do tej pielgrzymki, doprowadził i jakby stanął trochę z boku, oddając ster w ręce Ojca Świętego.

Oczywiście możemy się zastanawiać i rachować (ale obawiam się, że tylko na palcach), czy owe ustępstwa i przetargi w sumie się opłaciły, czy warto było czynić takie i inne gesty, gesty nie bez politycznych następstw, by w zamian otrzymać zgodę na przybycie papieża i trasę omijającą skrzętnie Wybrzeże. Będę, trochę wbrew samemu sobie, raczej optymistą; warto było dać wiele, by doprowadzić do owej pielgrzymki i owego nauczania. Ale pod warunkiem, by ustępstw niepotrzebnie teraz nie mnożyć i by nie zasypać meritum papieskiego nauczania w narodowej

niepamięci. To pierwsze zależy od episkopatu, to drugie także od nas samych. Sądzę, że należy podjąć, w szerokim zakresie, swoistą katechezę społecznej doktryny Jana Pawła II, bowiem ona staje się podstawą rozumienia nieprawości społecznej, w którą jesteśmy wtłoczeni, zniewolenia psychicznego, któremu się nieraz zbyt łatwo poddajemy, manipulowania, które — jak to Jan Paweł II kilkakrotnie wyraźnie podkreślił — jest jednym z podstawowych narzędzi niszczenia kultury, praw obywatelskich i w ogóle ludzkiego człowieczeństwa.

Zdecydowanie też odrzucam, chociaż był okres, w którym podobnie myślałem, tezę o tym, że wizyta Papieża w Polsce była niejako zgodą na stan wojenny, na metody, które w zniewalaniu społeczeństwa stosuje partyjno-wojskowy reżim PRL. Nie w tych wymiarach — politycznego uznawania czy nieuznawania — należy rozumieć apostołskie posłannictwo Ojca Świętego — pielgrzymka od pierwszych momentów swego pontyfikatu. Jeśli Jan Paweł II mógł się spotykać z prezydentami takimi jak Marcos na Filipinach czy Doc Duvalier jr. w Haiti, to mógł także spotkać się z Jaruzelskim. Ojciec Święty jest głową państwa, ale to państwo — dobry Boże, jest raczej nie państwem a pretekstem do pewnych form protokolarnych. Natomiast jest przede wszystkim ojcem wszystkich katolików i ich pasterzem. Wizyta papieska w Polsce była wizytą dyplomatyczną formalnie, polityczną — w sensie czynnym: w jakiejś, trudnej do ustalenia mierze (rozmowy z Jaruzelskim), ale przede wszystkim była wizytą pasterską i pielgrzymią, więc religijnym posłaniem, ponieważ zaś posłanie to w nauce Jana Pawła II ma wymiar przede wszystkim społeczny, była więc polityczną i w biernym sensie tego terminu. Ten trzeci element wydaje mi się najważniejszy: dwa poprzednie mają przemijający, okazjonalny charakter. Niemniej euforia episkopatu została wkrótce przyćmiona: świadectwem tego jest list Konferencji Episkopatu z dnia 25 sierpnia, do którego za chwilę powrócę, tu jednak pragnąłbym stwierdzić, że wyraża się w nim niesmak kolejnego oszustwa, w które nasi zacni kardynałowie i biskupi, a może nawet i sam papież, dali się wciągnąć.

Z tego punktu widzenia fakt, że z wizyty Jana Pawła II cieszyła się także władza partyjno-wojskowa, nie może dziwić. Władza ta — przyciskana raz po raz do muru z Zachodu przez restrakcję, przez protesty i rozszerzanie „złej opinii” (nawet przez socjalistę Mitterranda), a ze Wschodu nieustanną podejrzliwość — co do „czystości linii partyjnej” (zwłaszcza że partyjny beton ani na chwilę nie zaprzestał podkopywania rywali), z przebiegu wizyty Jana Pawła II czerpie rozmaite korzyści. Dla Zachodu szuka w tej pielgrzymce symbolu aprobaty papieskiej dla ekipy rządzącej, dla „normalizacji”, stwarza pozory „dogadywania się

Polaka z Polakiem”. Dla Wschodu, ujawniając wymiar swego kolejnego oszustwa, zyskuje przychyłość za sprytny manewr skierowany przeciwko „papieskiemu imperializmowi”. Zamiast atakując Watykan i papieża, uczynił to jednak w długi czas po odbytej pielgrzymce, wówczas, gdy niezadowolone narodu z oszustwa i protesty ze strony kościelnej zmasowały utrzymywany dotychczas mit idylli. Charakterystyczne, że to drugie spotkanie Jana Pawła II z Jaruzelskim (na Wawelu) zostało wszem i wobec roztrąbione jako wyraźny atut propagandowy i że kłamstwo o „prośbie episkopatu” o tę rozmowę zostało sprostowane półgębkiem, tak, że nikt tego prawie nie zauważył. Bilans jednak na dzień dzisiejszy: pewne umocnienie się Jaruzelskiego i jego ekipy, nie tyle w opinii polskiej (tej już tak łatwo wykiwać się nie da), co w relacjach pomiędzy Wschodem i Zachodem. Na wizycie papieża na razie przegrała niewątpliwie PZPR-owska ekstrema (ów tzw. beton), co zresztą wielką pociechą nie jest. „Liberalizm” Jaruzelskiego jest „wypróbowany”: służył rzeško i bezwzględnie wszystkim poprzednim ekipom, jest współodpowiedzialny za wszystkie minione „błędy i wypaczenia”, a w swej politruckiej duszyczce najbardziej tęskni do epoki stalinizmu, co mu się tak niechcący-chcący wypsnęło w czasie żalosego spotkania z reprezentantami obecnych tak zwanych związków zawodowych. Mówiąc o przodownikach pracy, popłynął bowiem na fali wspomnień i oświadczył, że w poszukiwaniu „bohaterów pracy socjalistycznej” musiał się cofnąć aż daleko wstecz. „Na roku 1956 wszystko się skończyło...!” Hej, łza się w oku kręci! I tylu wspaniałych towarzyszy ubyło: Radkiewicz z Różańskim, Brystygierowa ze Świątłą, Romkowski z Duszą...!

Ta pozornie wspólna radość (każda ze stron cieszy się tu poniekąd wbrew drugiej) jest jednak zjawiskiem bezpośrednim, jest pierwszą reakcją. To co ma nastąpić, jest wielką niewiadomą, czymś dla proroków, do których się nie zaliczam. Wiem jedno: przed nami — czyli masą bezpartyjnych i niekolaborujących (bowiem uważam bezpartyjnych kolaborantów, a zwłaszcza takich gorliwców jak minister Żygulski, za zjawisko w panoramie PRL najobrzydliwsze) otwiera się długi, szary, nękający okres walki. Ofiarnej walki. Nie tylko o przetrwanie, bowiem dzisiejszy reżim partyjno-wojskowy nie zastosował jeszcze, choć wzdycha doń, eksterminacyjnych metod UB sprzed 1956 roku. Ale przede wszystkim walki o utrzymanie i rozbudowanie świadomości narodowo-społecznej.

Można tu zaprotestować: jak to, przecież cały naród ma „ich” dość, wystarczy posłuchać w kolejce, w tramwaju czy na ulicy, co ludzie mówią. Tetryczenie nie jest dowodem na rozbudowaną świadomość polityczno-społeczną — nie chodzi o to, by

narzekać, chodzi o to, by wiedzieć i by działać zgodnie z tą świadomością.

Sądzę więc, że czeka nas długi, szary czy wręcz ciemny okres pielgrzymstwa. Nie tego mickiewiczowsko-mesjanistycznego, bowiem nic mi nie jest bardziej obce niż to nabożne wywyższanie się Polaków nad inne narody nie tyle w cnotach (tych odczuwaliśmy zawsze pewien niedostatek), co w cierpiętnictwie. Kocham ten naród, ale nie jako „Chrystusa narodów” ani jako „Matkę świętych”. Pielgrzymstwo Polaków schyłku XX wieku musi polegać na woli przetrwania Polakami, na budowaniu i rozbudowywaniu świadomości narodowej i społecznej. Tymczasem ów naród zajęty jest przepychaniem się, kantowaniem miejsc w kolejkach, chomikowaniem i jałowym narzekaniem. Energia pozwalająca jakoś tam przepływać poroży kryzysu i przeczłógiwać się przez bagno zakłamania jest niewątpliwie dobrą szkołą życia, byle właściwe z niej nauki wyciągnąć. I pomimo pozorów destabilizacji chciałbym znów przestrzec przed możliwością nowej stabilizacji, takiej ubogo-praśnej, ukierunkowanej na przetrwanie, na urządzenie się, może nawet wybicie. Stabilizacja narzekającej akceptacji jest równie niebezpieczna, jak ta z epoki „propagandy sukcesu”.

Przed taką stabilizacją musimy sami siebie bronić. Wspólnie. Ruch odrodzenia moralnego, etycznego i politycznego musi być podjęty i prowadzony na co dzień, jako antidotum na znieczulicę i społeczną osowiałość. I to jest to nasze pielgrzymstwo, wyzbyte mrzonek o Chrystusie narodów, o aniołach i świętych pańskich, co przepędzą za siódmą górę i rzekę naszych bezbożnych wrogów (kimkolwiek by w danym momencie nie byli!). Dlatego jestem w chwili obecnej przeciwnikiem rytmicznego powtarzania manifestacji ulicznych: te rezerwujemy „od wielkiego dzwonu” (tak by opresorowi nie dać zapomnieć, że jednak wciąż jesteśmy, pomimo rozwiązania narodu). Ale te manifestacje — jeśli powtarzane zbyt często i w sposób pozwalający skoncentrować się oprawcom — są na małą skalę powstaniem styczniowym, to znaczy z góry przesądzone jest ich fizyczne niepowodzenie.

Należy przygotowywać i wprowadzać w życie coraz to nowe formy protestu, nie dającego możliwości zwierzęcego bicia czy karania grzywnami lub więzieniami: włoskie strajki, manifestacyjne bojkotowanie prasy i komunikacji państwowej to zaledwie próbki z ogromnego wachlarza możliwości. Ale to już problematyka inna, doraźna, taktyczna, odwodząca nas od wątku głównego.

Przeciwstawiam zdecydowanie optymistyczną wizję papieskiej pielgrzymki pesymistycznemu widzeniu nadchodzącego czasu „pielgrzymstwa” ku wolności. Ale mój pesymizm ma być nie skłó-

nieniem do opuszczenia rąk, lecz do wzmożonej aktywności sprzeciwu wobec bezprawia i fałszu. Więc proponowałbym przeobrazić blask wspomnień wizyty Jana Pawła II w światło szerokiego propagowania jego nauk społecznych. To nie oznacza, że uważam iż te nauki społeczne nie mogą nigdy przybrać formy „skończoności”, bowiem nasz świat — póki istnieje — podlega nieustannym przemianom i dlatego nieustannie trzeba z życiem konfrontować i weryfikować teorie.

Z nauk Jana Pawła II pewnego rodzaju skończoność i pełność charakteryzuje jego podejście i rozumienie spraw wolności jednostki, społeczeństwa i narodów. Żaden z papieży dotychczas tak jasno nie sformułował tych „niezbywalnych praw”: Kościół przez całe stulecia bał się nadmiaru wolności i popadał w przeciwność: częstokroć dążenia wolnościowe hamował, a nawet potępiał. Jan Paweł II zdaje się doganiać czas, który został przez Kościół zmarnowany nadmierną ostrożnością i swoistym oportunistycznym tradycją. Przemówienia Ojca Świętego w ONZ, w UNESCO, szereg jego polskich homilii powinny stać się — obok encyklik — podstawowym i programowym tematem nauczania. Ojciec Święty chwalił postęp i rozwój nauk, chwalił również współczesny „skok cywilizacyjny”. W UNESCO Jan Paweł II powiedział: „Znajdujemy się tutaj (tj. w kręgu osiągnięć naukowych — przyp. mój) jak gdyby na najwyższych szczytach drabiny, po której człowiek od samego początku wspina się ku poznaniu rzeczywistości świata, jaki go otacza — a także tajemniców własnego człowieczeństwa. Ten historyczny proces w naszej epoce dosięgnął nieznanych przedtem możliwości i otworzył przed ludzkim umysłem nieznane przedtem horyzonty”.

Kościół Polski z tych i innych słów Jana Pawła II winien wyciągnąć wnioski co do tematyki i sposobu nauczania codziennego (a ściślej — niedzielonego). Człowiek schyłku XX wieku niechętnie słucha patetycznych opowieści o niebie i piekle, dobrym uczynku i grzechu, bowiem zawieszono są one w scenarii archaicznego już kiczu religijnego, albo tkwią w próżni myślenia abstrakcyjnego. Ważniejsze od ogólnikowego grzeszenia czy dobrego czynienia jest to samo widziane z perspektywy społecznej, z horyzontu naszego konkretnego czasu.

A więc wolność: czy wolność w ogóle? Jana Pawła II nauczanie o wolności zakłada jej pełnię, to znaczy taką wolność, która rozwijając się nie będzie kolidować z żadną inną: jednostkową czy zbiorową. Wolność narodowa — ale dla Polaków to powinno oznaczać wyzbycie się swoich rzeczywistych (antyrosyjskość) czy zmitologizowanych już (antysemityzm) fobii i resentymentów. Aby być wolnymi musimy w pełni zrozumieć to, że do

takiej samej wolności mają prawo także wszyscy, którzy nie są Polakami, a zamieszkują terytoria pobliskie lub nawet żyją w obrębie naszego kraju.

Wolność jest więc dobrowolnym samoograniczeniem: poczynając od podporządkowania się obowiązkom rodzinnym, a kończąc na podporządkowaniu prawu (zakładając, że jest ono sprawiedliwe!). Aby osiągnąć pełnię człowieczeństwa — a to właśnie znaczy wolność — trzeba ją pomieścić w ramach wyznaczonych nam przez ludzkość z jej wszelkimi podziałami na rasy, narody, społeczeństwa, grupy społeczne, a wreszcie strukturę rodzin.

I tu bardzo ważny dylemat, który tylko sygnalizuję: problem pracy. Człowiek został stworzony po to, by się rozmnażać i by — poprzez wytwarzanie — zagwarantować byt sobie i potomstwu. Praca jest ludzkim posłannictwem, czasem dotkliwym, bowiem nieliczni są ci, którzy po prostu lubią pracować, instynkt pracy został w nas już bardzo dawno przytłumiony przez nieustannie podnoszący się standard życiowy. Ale jaki ma być stosunek do pracy człowieka w ustroju totalitarnym, gdzie jest permanentnie wyzyskiwany, gdzie — poprzez system nacisków i zniewoleń — zmuszony jest utrzymywać na minimalnym poziomie siebie i bliskich, gdy owocami jego trudu aprowizowani są nie tylko bonzowie partyjni, ale co gorsze cały ten skierowany przeciwko niemu — człowiekowi — aparat ucisku: milicyjne i esbeckie goryle, przekarmione nafutrowaną krzepą tak, by się przy byle okazji mogła wyładowywać w biciu słabszych.

A więc: jak pracować? Temat do głębokich przemyśleń. Chętnie do niego powrócę w przyszłości.

Wolność — ale to oznacza samoograniczenie także wobec własnego ja, bowiem samoograniczeniem jest przyjęcie reguł moralnych i etycznych. Polaków trzeba dziś niezbędnie przestrzegać przed grzechem, ale to nie może być grzech „anonimowy”, grzech robiący przykrość dobrej Bozi, ale grzech konkretny, stanowiący nie przypadek indywidualny, ale przejaw społecznej choroby. Pijaństwo, bezwzględność, złodziejstwo, donosicielstwo, posuszeństwo bezprawiu, atrofia odwagi cywilnej. Kościół ma swe podstawowe zadanie: ewangelizację. Trzeba i ten termin rozumieć nie w perspektywie tradycyjnej, wyłącznie katechizmowej czy ambonowej. Ewangelizacja — choć wątek pozostaje ten sam — zmienia się, bowiem do coraz to innego, inaczej ukształtowanego zwraca się człowieka. Powiedział to wyraźnie Jan Paweł II do Papieskiej Rady Kultury: Kościół działa na dwóch płaszczyznach: na poziomie ewangelizacji kultur i na poziomie obrony człowieka i jego kulturalnego awansu. „Obydwa te zadania wymagają określenia nowych dróg dialogu Kościoła z kul-

turami naszych czasów. Ten dialog jest absolutnie niezbędny dla Kościoła, gdyż inaczej ewangelizacja pozostałaby martwą literą”. A więc wniosek: ewangelizacja społeczna jest podstawowym zadaniem Kościoła na dziś i na przyszłość. Jak sądzę, bynajmniej nie najbliższą.

Ale teraz należy postawić pytanie: w jakim stopniu Kościół ma się włączyć w politykę, ma się w niej uaktywnić? Proszę zauważyć, że nie neguję uczestnictwa Kościoła w polityce, jak to czynią liczni publicyści, ale postępuję tak po prostu dlatego, iż uważam że wszystko, co ma do czynienia ze społeczeństwem, ma charakter działalności politycznej. To tylko większość mych szacownych bliźnich „dała się zwariować” lingwistyką sowieckiej manipulacji, która sztucznie wydestylowała „politykę”, jako coś, co przynależy tylko „państwu” — to znaczy systemom klik partyjnych.

Oczywiście może istnieć polityka czynna na określonych polach, np. stosunków międzynarodowych, a wewnątrz kraju w dziedzinie stosunków pomiędzy partiami (przy ustroju wielopartyjnym) lub w dziedzinie stosunków pomiędzy monopartią a społeczeństwem. W tym ostatnim wypadku jest to polityka zazwyczaj całkowicie jednostronna. A więc jakie może być miejsce Kościoła w systemie monopartyjnym i totalitarnym?

W ogóle wydaje się, że prowadzenie czynnej i oficjalnej polityki przez Kościół jest przeżytkiem, zwłaszcza w ustrojach demokratycznych nienajlepsze to przynosiło rezultaty i w dawniejszych epokach, i obecnie (włoska chadecja). Ustrój komunistyczny wykorzystuje w PRL te mrzonki i tęsknoty polityczne, tworząc całkowicie lub w znacznej mierze kontrolowane przez siebie grupki „katolików społecznych”, dopuszczając ich do swego totalnie skompromitowanego sejmu „do głosowania”, a więc do fikcji „współrządzenia”. I oto jacy liberałowie: w sejmie PRL zasiadają PAX-owcy obok CHSS-owców i jeszcze jakichś innych bezpartyjnych kolaborantów, czyli że wierzący mają swą reprezentację we władzach PRL. Dewocjonalia i polityka wstąpiły tu w pseudo-mażeński związek, ale para — choć pozornie tej samej płci — jest doskonale dobrana: dewocjonalia prezentują w całej krasie nabożny kicz, polityka — kicz wiarygodności.

Kościół w stosunku do tych grup nie zajmował i nadal nie zajmuje zdecydowanego stanowiska. Episkopat zachowuje się w tym wypadku trochę jak starzejąca się panna, która na konkurentów boczy się, ale w gruncie rzeczy bardzo by chciała. A przecież raz trzeba wyraźnie powiedzieć kogo i co reprezentują „katolicy” instrumentalni, trzeba się raz wreszcie od tego bezpartyjnego kolaborantstwa odciąć, bowiem doprawdy drobne usługi

pośrednictwa świadczone przez te „reprezentacje” na linii: partia — Kościół, nie są warte oględności.

Natomiast episkopat, jak się zdaje, zrezygnował nareszcie (o ile prawdą jest, że w ogóle chciał tego) z tworzenia jakiejś partii politycznej, którą mógłby firmować. I to jest bardzo słuszne stanowisko. Kościół tylekroć już się sparzył na firmowaniu różnych politycznych struktur, iż chyba nie zacznie prób od nowa. Kształt bowiem efektu politycznego, politycznych rezultatów wcale nie musi polegać wyłącznie na czynnym uprawianiu polityki. Czasem wystarczy „bierne” działanie opiniotwórcze: formułowanie opinii publicznej. Ile Watykan ma dywizji, ile czołgów, ile armat? — zapytywał ironicznie Josif Wissarionowicz. Komuniści do dziś dnia w tych kategoriach rozumują. Liczą na armie, policje, uzbrojenie. Z masami się nie liczą, mas się po prostu brzydzą i trochę boją. Jakże bowiem zdrajcy mieliby żywić innego rodzaju uczucia wobec zdradzonych?

Ale Kościół jest w tym szczęśliwym położeniu, że dysponuje inną formę działania i już przed wiekami stał się wynalazcą „środków społecznego przekazu”, wprowadzając do swych świątyń ołtarz — scenerię i ambonę — wizję i fonię zarazem. To doświadczenie może się ogromnie przydać w dobie kolejnego polskiego pielgrzymstwa — pielgrzymstwa wewnątrz własnej ojczyzny. Niezbędna bowiem staje się ewangelizacja społeczna narodu. Tyle tylko, że taka ewangelizacja wymaga pewnych samowyrzeczeń. Nie wiem, czy w Polsce nie buduje się dziś zbyt wielu kościołów, wiem za to na pewno, że się je buduje zbyt wielkie, zbyt triumfalne a zarazem w większości przypadków — brzydkie. Słowo Boże, a już w szczególności społeczne słowo Boże nie wymaga do głoszenia pałaców, wręcz przeciwnie — ma „docierać pod strzechy”. Gorzej, gdy ponadto obok tych nowych czy jeszcze wciąż starych kościołów wznosi się plebanie ogromniaste i garażyste, mogące nieraz śmiało konkurować z „daczami” prominentów gierkowskiej epoki. Ewangelizacja społeczna to wejście pomiędzy ludzi, a nie wywyższanie się ponad nich nadmiarem luksusów. Często zarzuca się katolicyzmowi polskiemu „wiejskość”, ale ja raczej mówiłbym o specyficznej, źle rozumianej „szlacheckości” a raczej sobiepańskości.

Niechże więc Kościół polski na okres tego nowego narodowego pielgrzymstwa nieco powściągnie cugle swej *prosperity* i niech wchodzi pomiędzy ludzi. Laikat na przykład: zrobiono w tej dziedzinie wiele, ale wiele, a może jeszcze więcej pozostaje nadal do zrobienia. I niech rządcy diecezji, a za ich wzorem czasem i rządcy parafii zapomną o swej omnipotencji, niech przestaną bawić się w kacyków na czarno. Niech kolegalność w Kościele polskim stanie się faktem, a nie propagandowym sło-

ganem, tak jak nią była „kolegalność” wszystkich minionych ekip, z tą obecną na czele.

Zwiastunem pewnego opamiętania, zwiastunem też pierwszego zawodu po II pielgrzymce Jana Pawła II w Polsce jest list Konferencji Episkopatu z dnia 25 sierpnia. Na kilka dni przed rocznicą „sierpnia” episkopat zdecydował się na wyraźne i nawet ostre sformułowanie kilku podstawowych prawd: że to, co się nazywa normalizacją, w rzeczywistości nią nie jest, że to co obwieszcza się jako przestrzeganie porozumień z Gdańską-Szczecina i Jastrzębia nie jest niczym innym jak kłamstwem (już nawet nie bezczelnym i cynicznym, lecz po prostu bezdennie głupim — to już moja uwaga), że reforma gospodarcza nadal jest fikcją, pomimo prób wmówienia narodowi, że się ją realizuje. Episkopat upomniał się o nieautentyczną, niepełną, zakłamana amnestię, o zlikwidowane autentyczne, bo przez społeczeństwo, a nie przez decydentów powołane związki zawodowe, o polikwidowane w szale nienawiści i słabości stowarzyszenia twórcze, o nadal niefunkcjonujące Kluby Inteligencji Katolickiej. Można by do tych stwierdzeń dorzucić jeszcze wzmoczoną ofensywę cenzury i ofensywę kłamstwa, tego właśnie bezbrzeżnego już nie w cynizmie lecz w głupocie kłamstwa, które po brzegi wypełniło tzw. środki masowego przekazu. Wszystkie obostrzenia, wszystkie przez służalczy sejm uchwalone restrykcje i antyprawa obywatelskie wymierzone są w ludzi uczciwych, w ich sumienia i w ich osobiste bezpieczeństwo. Niechże się Jaruzelski nie wysila, mówiąc o pasożytach: to nie jest problem, a byłby problemem tylko dla władzy a nie dla społeczeństwa, gdyby tak naprawdę przyszło zlikwidować tych powiązanych grubymi nićmi z milicją i SB cinkciarzy walutowych i alfonsov hotelowych.

Muszę niestety wypowiedzieć tych kilka gorzkich słów: Kościół polski czy ściślej — episkopat poczuł się kolejny raz wystrychnięty na dudka. Obiecano mu wiele, pokazano figę. Zdyskontowano w stopniu na jaki to było możliwe pielgrzymkę Jana Pawła II, a teraz już można czekać tylko zaostrzającej się linii antykościelnej, nękania, może nawet prześladowań. Przecież komuniści niczego się nie nauczyli. Nie czytają Marksa i nie analizują przemian tego świata!

Pod listem episkopatu, o którym wspominałem, figuruje podpis kardynała Macharskiego, bowiem prymas Glemp pozostaje po operacji w szpitalu.

Jednak ostatnie wystąpienia prymasa (list do sejmu, homilia do chłopów-pielgrzymów) wydają się świadczyć, że i on to już zrozumiał. Kościół nie może uprawiać polityki czynnej, a już tym bardziej zasiadać do stołu z partnerem, który zawsze szachruje. Ale Kościół musi zajmować stanowisko wobec tych po-

ciągnąć władzy, które nie tyle „łamią porozumienia”, co po prostu godzą w najbardziej podstawowe prawa jednostek i całego narodu. Oby te ostatnie wystąpienia prymasa Glempa stały się zapowiedzią nowego kierunku działania: nie „porozumiewania się”, ale „dawania świadectwa prawdzie”.

Szanuję prymasa Józefa Glempa i jestem głęboko przekonany, że jest prawdziwie dobrym człowiekiem. Aż za dobrym, bowiem zbyt łatwowiernym. Ale to jego zasługą jest, że Jan Paweł II był znowu wśród nas i cokolwiek za to zapłacił, „gra warta była świeczki”. Reżim partyjno-wojskowy zerwał — łączywie i pośpiesznie — wszystkie kupony. Dla nas została cała reszta. Ogromna. I czeka nas trud. Ogromny. Tylko błagam, Wasza Eminencjo — mniej łatwowierności.

Nawołuję więc do pełnej lojalności społeczeństwa wobec Kościoła, który mu w chwilach radosnych (sierpnia) i ponurych (grudnia) uczciwie i wiernie towarzyszył. Jednakże rezerwuję sobie prawo krytyki i sądzę, że przedstawiciele Kościoła polskiego winni być mnie i innym uczciwie krytykującym — wdzięczni. Bowiem uczciwość krytyki nie oznacza jej prawdziwości (być może się mylę, a nawet — daj Boże bym się mylił), ale oznacza, że jakiś czujnik społeczny zareagował, że może coś nie jest jednak w porządku...

I już ostatnie pytanie: czy wobec rozwoju sytuacji jest w PRL możliwe porozumienie? Wątpię. Nie dlatego, bym takiego nie chciał, ale dlatego, że obecna ekipa partyjno-wojskowa idzie trop w trop za wszystkimi poprzednimi, z których żadna nie potrafiła się w oczach społeczeństwa uwiarygodnić. Ekipa Jaruzelskiego nawet tego nie próbowała, wszystko, absolutnie wszystko budując od początku na kłamstwie. Czy więc w okresie nowego pielgrzymstwa czeka nas permanentny stan wojenny i stan anormalizacji? Nie wiem. Chciałbym widzieć alternatywy, ale ich nie potrafię dostrzec. W każdym razie dziś — w drugiej połowie 83 roku — możliwości porozumienia nie istnieją. Istnieje tylko możliwość wybaczenia. Wybaczenie bowiem to nie oznaka słabości, ale właśnie siły.

Tymoteusz KLEMPSKI

W czym żyjemy?

Z ANDRZEJEM KIJOWSKIM ROZMAWIA
EWA BERBERYUSZ

EWA BERBERYUSZ: — *Bywał pan w życiu dziennikarzem, pisarzem, krytykiem, felietonistą, publicystą, scenarzystą, mówcą, doradcą, działaczem, dyrektorem teatru — niczego nie opuścił?*

ANDRZEJ KIJOWSKI: — *Urzędnikiem bankowym.*

E.B.: — *Tego nie wiedziałam — w każdej z tych dziedzin zaznaczając bardzo wyraźnie swoją obecność. Jednakże według mnie najbardziej pasuje do pana określenie „intelektualista”. Dlatego spytam o coś co, myślę, ludzi nurtuje: Czy żyjemy w „między-epoce”? Co się kończy, co się zaczyna?*

A.K.: — *Bardzo uprzejmie pani ułożyła to pytanie, ale i tak dla mnie brzmi jak wyrzut. W słowie „intelektualista” nie dopatruję się niczego wzniosłego, to tyle co „dyletant”. Wyrzucam sobie nie raz, że żadnej z tych dziedzin, które pani wymieniła, nie oddałem się całkowicie, że w żadnej nie stałem się zawodowcem, tylko od jednej do drugiej wędrowałem, niepewny swego życiowego powołania. Toteż pytanie „czy żyjemy w między-epoce” traktuję prawie jako żart dla zawodowego dyletanta, który umie wymyślać ogólniki. Pani wymaga ode mnie jakiejś superświadomości historycznej, która nie istnieje. Wymaga pani ode mnie świadomości tego co jest i przecucia tego, co będzie, wymaga pani ode mnie, ażebym był całkowicie świadom swojego czasu, co jest po prostu niemożliwe...*

E.B.: — *Ale w swój subiektywny sposób?*

A.K.: — Pewnie, że i mnie się wydaje, iż świat się psuje i zmierzcha ku gorszemu, ale przecież to jest złudzenie, któremu ulegają wszystkie pokolenia.

E.B.: — *Świat się psuje?! No, ja bym się z tym nie zgodziła...*

A.K.: — Ludzie, którzy mnie wychowali, wspominali wojnę. Wspominali pierwszą wojnę i wspominali czasy sprzed minionej wojny. Potem przyszła druga wojna. Dojrzywałem, kształciłem się i zaczynałem pracę zawodową w atmosferze również powojennej. Wspominaliśmy wojnę jako nasze najsilniejsze przeżycie, wspominaliśmy czasy przedwojenne jako coś już prawie nierealnego i patrzyliśmy na nasze życie jako na proces pozbywania się skutków wojny. Wyzbywaliśmy się jej skutków dorabiając się nowych mieszkań, sprzętów, książek. Wszystko robiliśmy przeciwko tej wojnie, która kiedyś nam to zmiotła. W odczuciu społecznym wszystkie niedostatki życia codziennego kładło się na karb wojny; mówiło się: no, nic dziwnego, przecież była taka straszna wojna. Albo: Coś okropnego, takie nieporządki, a przecież już 10 lat po wojnie, 15 lat po wojnie, 20 lat po wojnie; starsi ludzie jeszcze dziś wykrzykują w kolejkach: Coś podobnego 40 lat po wojnie! Żyliśmy w cieniu wojny.

E.B.: — *Ale ten cień już się rozplynął.*

A.K.: — Ten cień się rozplynął. Jesteśmy poza cieniem. Jeśli trwa, to tylko w naszych biografiach. Nie ma go już w społeczeństwie, w jego pracy, kulturze i świadomości. Pani pyta, co się skończyło. Skończyła się epoka dwóch wojen światowych. Żadna z nich nie trwała czterech czy pięciu lat, każda trwała więcej, razem z ich skutkami, razem z ich koszmarami, z systemami analogii, odwołań i alibi. Tej zmiany można być rzeczywiście pewnym. Przynajmniej w naszym polskim wymiarze. Podkreślam to dlatego, że Polska jest krajem dość stabilnym pod względem cywilizacyjnym, obyczajowym i nawet demograficznym; Polska zmienia się mniej niż zmieniają się kraje zachodniej Europy, mniej niż obie Ameryki... Koniec wojny jako epoki jest pierwszą istotną zmianą, jaka w Polsce nastąpiła.

E.B.: — *Jezu, a ja wciąż myślę, że Polska zmienia się jak szalona...*

A.K.: — Nie, nie. Zna pani Zachód, wie pani, jak pędzą tam zmiany obyczajowe! Jak się rodzice z dziećmi już dogadać nie mogą na tematy podstawowe, jak tam co innego znaczy już „rodzina”, co innego znaczy „miłość”, co innego znaczy „sztuka”, „wykształcenie”, „praca”. Przecież późne lata sześćdziesiąte na

Zachodzie były rzeczywiście głęboką rewolucją obyczajową, która się nie skończyła na ulicznych barykadach i paleniu samochodów, lecz trwa po dziś dzień i my, opuszczając kraj, z naszymi pojęciami, które nam się wydają bardzo nowoczesne, tam natrafiamy na rzeczy, które nas zdumiewają. Co więcej, nasza młodzież, która wyjeżdża stąd i spotyka się z młodzieżą na Zachodzie, wydaje się sama sobie konserwatywna, tradycyjna, niemal starcza...

E.B.: — *Mam odczucia dokładnie odwrotne. Patrząc na te kontakty i to nasza młodzież wydała mi się „awangardowa”; nie w sensie zewnętrznym, ale w spojrzeniu na sprawy podstawowe, zachodnia młodzież to naiwniacy...*

A.K.: — Chciałbym wrócić do tego, od czego wyszliśmy: co nam się skończyło. Skończył nam się cień wojny. Jedno w tym jest ważne: o ile dla naszej generacji powojennej pokój był wartością najwyższą, dla pokolenia, które już swego życia i wszystkich okoliczności nie odnosi do wojny — pokój wcale nie jest wartością najwyższą. A do wojen dochodzi właśnie wtedy, kiedy nowe generacje zapominają o dawnych wojnach, kiedy się zmienia hierarchia wartości. I o ile dla nas porównanie wolności z pokojem wypadało na korzyść pokoju, o tyle dla pokolenia młodego i najmłodszego wynik tego równania wcale nie jest pewny.

E.B.: — *A te wszystkie młodzieżowe ruchy „za pokojem” na Zachodzie?*

A.K.: — Ile w nich umiłowania pokoju, a ile potrzeby ruchu? Ruchy masowe łatwo obracają się w swoje własne przeciwieństwo. Ten sam tłum może wyjść na ulicę i manifestować za wojną. Zresztą, tam istnieją jeszcze inne procesy, w Polsce prawie niezauważalne; mianowicie procesy dezintegracji struktur państwowych. Te ruchy, o których pani wspomniała, są w równej mierze antywojenne, co antypaństwowe. To, co zdumiewa starsze pokolenie Niemców czy Francuzów, czy Amerykanów nawet, to brak przywiązania młodego pokolenia do państwa jako wartości. W Polsce jest nieco inaczej. Wciąż jeszcze trwa u nas paradygmat państwa-narodu, i gdyby nam kto rzekł, że jest niemożliwy do zrealizowania, że państwo-naród jest polityczną fikcją, to oczywiście każdy poczułby się do głębi dotknięty. Ale jeśli chodzi o Europę, skąd to pojęcie państwo-naród przyszło — a przyszło z Francji i Włoch rewolucyjnych — to tam już ono nie istnieje. I to jest pewien proces, któremu Europa podlega. Nie jest to proces tylko psychologiczny, nie są to tylko ruchy buntownicze, przejściowe nastroje, to jest odzwierciedlenie stanu

faktycznego — to znaczy, że dziś wspólnoty gospodarcze znaczą więcej niż wspólnoty polityczne, że światem rządzą wielkie organizmy gospodarcze a nie rządy, które padają, powstają, odbywają swoje parlamentarne rytuały coraz bardziej fikcyjne. Świat się zmienia od strony organizacji swojej gospodarki, co również Polski nie dotyczy, ponieważ tutaj system gospodarczy trwa w swojej strukturze organizacyjnej nienaruszonej, choć naruszony swoim funkcjonowaniem.

E.B.: — *No, to że „między-epoka” wygląda inaczej na Zachodzie niż u nas, każdy wie...*

A.K.: — Zupełnie inaczej. My żyjemy w społeczeństwie bardzo stabilnym, w społeczeństwie w bezruchu, w społeczeństwie, które dopiero przed dwoma laty zaznało rzeczywiście dużych ruchów społecznych i pierwszego prawdziwego kryzysu gospodarczego, który przedtem dotknął już wiele krajów Europy; doznało galopującej inflacji, która całkowicie zmieniła świadomość ludzką i zmieniła odruchy ludzkie. Ale poza tym jest to społeczeństwo nieruchome, społeczeństwo, które nie podróżuje, nie emigruje, nie przyjmuje imigrantów...

E.B.: — *Nie dlatego, że nie chce...*

A.K.: — *Wszystko jedno, ale tak jest.*

E.B.: — *Nie wszystko jedno...*

A.K.: — *Niech pani nas porówna np. ze społeczeństwem niemieckim. Co to jest dziś społeczeństwo niemieckie? Są to Niemcy plus imigranci, plus masa imigrantów; Francuzi to są Francuzi plus masy imigrantów; nie mówiąc o Amerykanach, którzy są *ex definitione* stale ruszającą się masą. My natomiast jesteśmy wciąż w tym samym składzie społecznym; w tym samym systemie gospodarczym, na tej samej z grubsza biorąc stopie życiowej...*

E.B.: — *To skąd u nas poczucie — bo przecież i pan go zaznaje — tego galopowania wypadków?*

A.K.: — *No stąd chyba, że się tutaj po raz pierwszy coś stało. Po raz pierwszy doszło do jawnego kryzysu, którego nie można zamazać żadną propagandą i takimi fantazjami, jakimi zamazywało się kryzysy dawne. Najważniejsze jednak jest to, że doszło do głosu pokolenie, które ma zmienioną hierarchię wartości.*

E.B.: — *Więc jednak sam pan przyznaje, że są zmiany...*

A.K.: — *Jak przedtem mówiłem, porównanie wolności i spokoju*

wypada dziś inaczej niż wypadało dla nas, starszych. Mówię już o „spokoju”, nie o „pokoju” bo nie chcę wszystkiego sprowadzać do pokoju międzynarodowego, na który w końcu niewiele mamy wpływu. Mówię o spokoju, bo mam na myśli spokój wewnętrzny. Nasze postępowanie zbiorowe przez lata powojenne było sterowane nie tylko pragnieniem zachowania pokoju zewnętrznego, ale także lękiem przed wojną domową. Istniało bardzo silne przekonanie, że wszystkie straty, jakie ponieśliśmy po wojnie, opłacają się o tyle, o ile udało nam się uniknąć gwałtownych wstrząsów wewnętrznych. To pragnienie pokoju wewnętrznego powodowało, że ludzie ulegali niepopularnej doktrynie, że współpracowali od początku z władzą, że wyrzekali się swoich dawnych związków, wiar, przekonań, nadziei, że zaprzeczali swojej przeszłości — po to tylko, ażeby uchronić kraj, rodzinę, siebie od nieszczęść.

E.B.: — *Dzisiaj tak nie jest, skończyło się tłumaczenie: bo ja mam żonę i dwoje dzieci...*

A.K.: — *Dzisiaj tak nie jest. Także dlatego, że kryzys stworzył sytuacje skrajne, jakich dotąd w Polsce nie było. Życie w Polsce powojennej polegało na cichej niepisanej umowie między społeczeństwem a władzą. Władza powiedziała tak: my was nie będziemy zmuszać do ideologii, której nie lubicie, nie będziemy was masowo rozstrzeliwać, ani masowo więzić — uwięzimy tylko tych, którzy są najbardziej aktywni. A wymagamy tylko jednego: abyście przeciwko nam nie konspirowali i przeciwko nam nie walczyli. Przrzekamy wam w zamian minimum życiowe... I przy wszystkich fikcjach gospodarczych ten status był długo możliwy; przy wszystkich podwójnych buchalteriach, jakie państwo prowadziło, było to tak długo możliwe, dopóki w tej całej fikcji nie znalazł się jeden pierwszy element prawdziwy: prawdziwe pieniądze, które trzeba było zwrócić. One zburzyły całą tę fikcję. Drugim elementem prawdziwym był nadmiar ludzi. Nadmiar ludzi, których nie można obdzielić pracą, nie można obdzielić żywnością, jeżeli trzeba ją kupować za prawdziwe pieniądze, i co najgorsze: nie można wszystkich obdzielić mieszkaniem...*

E.B.: — *W początkach lat siedemdziesiątych napisałam takie zdanie: „Dach nad głową warunkuje nasze myślenie o władzy”. Dzisiaj już bym tego nie powtórzyła...*

A.K.: — *Jak nie ma gdzie mieszkać, pojawia się rozpacz. I młody człowiek, który nie ma gdzie wprowadzić swojej dziewczyny i gdzie założyć swojej rodziny, który nie ma ujścia dla tej biologicznej energii, która się tutaj narodziła, i która szuka swojego*

ujścia w najprostszy sposób: w produkowaniu dzieci — czuje się zagrożony w swym istnieniu. Nie to, że „naród jest zagrożony”. Po prostu, każdy młody człowiek, który ma czekać 10 czy 15 lat na mieszkanie czuje się zagrożony. Ma wizję piekła: w wynajętym pokoju lub piekła współżycia z teściami. Są to sytuacje skrajne, tragiczne i z nich bierze się to przyspieszenie psychiczne, a z niego galopada wypadków...

E.B.: — *No nie. Czuję wewnętrzny opór przed sprowadzaniem dzisiejszej kondycji młodych Polaków do przyczyn czysto ekonomicznych, zresztą i moje obserwacje temu przeczą...*

A.K.: — One są zapalnikiem. Ekonomia budzi i usypia. Ekonomia jest jak klimat: albo jest to taki klimat, który pobudza do działania, albo taki, który właśnie usypia. Ekonomia zrównoważona, nawet zła, ale zrównoważona, usypia ludzi i wtedy nie zastanawiają się nad wartościami i nie myślą o przyszłości w kategoriach historycznych, kategoriach wolności, w kategoriach rozwoju, tylko jakoś żyją, tak jak żyli ludzie na Zachodzie w okresie tej wspaniałej *prosperity*. Gdy natomiast klimat ekonomiczny staje się ostry, ludzie zaczynają myśleć o wszystkim naraz. I wówczas ekonomika może odegrać również rolę podniecającego narkotyku, rolę zapalnika do wszystkich społecznych i intelektualnych ruchów.

E.B.: — *Czy mam rozumieć, że gdyby ów arcywolny, ale zrównoważony przyrost, jak za Gomułki, dał się utrzymać, nie mielibyśmy obecnej sytuacji społecznej? Nie mielibyśmy postawy: lepiej nie żyć niż t a k żyć?*

A.K.: — Mówi pani o jakimś powolnym przyroście „jak za Gomułki”. Była to już stagnacja i było to już cofanie się. Dynamika przyrostu ekonomicznego nie nadążała za dynamiką demograficzną. Nie tylko to: społeczeństwo jako całość musi mieć poczucie, że z siebie, ze swojego wnętrza, ze swojego łona wydaje własną elitę. Elitę intelektualną i elitę władzy, elitę duchową i elitę gospodarczą. Ten proces został zahamowany, ponieważ zakłócono proces kształtowania się tych elit. Elita władzy kształtowała się osobno w świecie zamkniętym; w odrębnych szkołach, w odrębnych kręgach, w odrębnym obyczajach. Młode pokolenie wzrastało więc w poczuciu takiej bierności, takiego wyobcowania we własnym państwie, w jakim z dobrej woli żyło starsze pokolenie, które swoje aspiracje oddało tej władzy za cenę spokoju. Nowe pokolenie z tym się już pogodzić nie może; chcą mieć swoich przywódców, swoich reprezentantów — chcą być reprezentowani przez ludzi takich jak oni. I żeby nie wiem

jak się sekretarze przebierali, w nie wiem jakie sweterki i nie wiem jakie dzinsy, jest między nimi a tą klasą, z której wyszli, obcość. Obcość formowania intelektualnego i życiowego. Obcość losu. Obcość perspektywy.

E.B.: — *Ale gdyby warunki ekonomiczne były lepsze, gdyby młode pokolenie miało mieszkania, gdyby ich potrzeby konsumpcyjne na różnych poziomach były spełniane — czy myśli pan, że ten „nowy duch” w ogóle by nie zaistniał?*

A.K.: — Nie wiem, może. Myślę, że tak, bo jednak te procesy buntu młodzieży na Zachodzie też się tu zaczęły przedostawać. Proces tworzenia się subkultury młodzieżowej, który obserwowaliśmy w latach sześćdziesiątych, świadczy, że młodzież czuje się kim innym w tym społeczeństwie, że szuka własnej drogi wyrazu. Trudno wyobrazić sobie, że wystarczyłyby im tylko te hałasy, które wyprawiali na festiwalach i w dyskotekach. Przecież są to znaki jakiejś głębokiej reakcji. Oczywiście, ta głębsza reakcja mogłaby się objawiać też na przykład w ruchach pacyfistycznych, jak w NRD. U nas jednak musiała się objawić inaczej ze względu na specyficzny rodzaj kultury społecznej, która ma gotowe wzory buntu. W każdej sytuacji kryzysowej pojawia się od razu klasyczna problematyka polska, wyrażająca się w walce o niezawisłość, godność, tożsamość, zgodność z przeszłością; w tym wszystkim, co się w polskiej filozofii życia zawiera...

E.B.: — *Odpowiadając raz na ulubiony dziś zarzut, że budowa kościołów pochłania materiały na tak potrzebną „mieszkańcówkę”, powiedziałaś, że ludzie tych kościołów chcą, ponieważ nie mają mieszkań...*

A.K.: — Ech!

E.B.: — *To czemu tak tam wala? Nigdy ludzie tak do kościoła nie szli, ani przed wojną, kiedy mieliśmy Konkordat i gdy Kościół szedł ramię w ramię z państwem; ani w czasie wojny, kiedy groza życia powinna „napędzać” ludzi do świątyni, ani po wojnie. Pamiętam ten wstyd, tę prywatność religii — a dziś? Trzeba było widzieć ten jawny tłum brodatych, młodych mężczyzn na rekolekcjach wielkopostnych w Warszawie, w Katowicach czy gdzie indziej. Spędzali tam, stojąc, długie wieczory po pracy. Dlaczego? Duszpasterze mają „swoją wersję”, ale co by pan powiedział?*

A.K.: — Kościół tu zawsze był. Nigdy nie przestał być. Gdyby przestał, gdyby z życia zniknął, to byśmy dzisiaj nie mieli dokąd pójść. Kościół w znacznie głębszym stopniu w życie nasze wni-

kał niż wnika dzisiaj. Wnikał w każdy najdrobniejszy szczegół życia, dzień zaczynał i kończył modlitwą, i każdy posiłek. Kościół był obecny w wojsku, w szpitalu, urzędzie. Później zniknął z oficjalnej powierzchni życia. Dziś jest to po prostu powrót...

E.B.: — *Inny. Wtedy był to obowiązujący rytuał, trochę machinalny, a dziś...*

A.K.: — No, bo każdy powrót jest inny, uintensywniony przez lata nieobecności, przez nostalgię, która w ludziach powstała, gdy zostali od tego Kościoła odseparowani. Dalej, uintensywniony przez zmianę techniki duszpasterstwa, jeśli tak można powiedzieć, a także dlatego, że w zasięgu Kościoła znaleźli się ludzie nauczeni nowych odruchów zbiorowych pod wpływem kultury masowej, a więc zbiorowych zachowań. Tam się oduczili wstydu ujawniania uczuć. Nauczyli się śpiewać, krzyczeć, wykonywać zbiorowe znaki, ulegać zbiorowemu wzruszeniu. I to do Kościoła wróciło, wzbogacając go i zmieniając jednocześnie. Bo Kościół zawsze się rozwijał przez to, że wchłaniał w siebie to wszystko, co się w świecie jednocześnie działo. To są te zmiany zewnętrzne, które panią frapują.

E.B.: — *Ale one frapują mnie jako „widomy znak czegoś niewidomego”.*

A.K.: — A zatem trzeba zastanowić się nad stosunkiem do prawdy, nad potrzebą prawdy absolutnej, zastanowić się nad tym, na ile ludzie wyzbyli się pragmatyzmu, choćby dlatego, że ten pragmatyzm okazał się nic nie wart; że się wyrzekli gier życiowych, że chcą być jednoznacznymi... Nie to, że odkryli Kościół, że odkryli swoje korzenie; nie, mieli je zawsze, tylko po prostu pragną jednoznaczności. Nie to, że nie wiedzieli, że istnieje prawda ostateczna, której strażnikiem, kustoszem, był i jest Kościół. Oczywiście, obecność tej prawdy cały czas jakoś ludzi niepokoiła, ale ludzie się od niej odwracali, mając do dyspozycji prawdy praktyczniejsze. Dziedzictwo chrześcijańskie niesie z sobą trudną ideę wolności osobowej; ale ludzie się od niej odwracali, mając do dyspozycji szansę wolności bardziej uchwytną.

E.B.: — *Ma pan na myśli „wyzwolenie społeczne”?*

A.K.: — Tak. Mając do dyspozycji wolność, jaką daje zbawienie wieczne kiedyś i w które trzeba dopiero uwierzyć, albo wolność, jaką daje „rewolucja społeczna” zaraz — ludzie oczywiście chwytają się wolności realnej. Gdy nastąpiła cała seria rozczarowań, ludzie wracają do wolności większej i do prawdy większej...

E.B.: — *Ale jak pan powiedział, trzeba dopiero w nią uwierzyć.*

A.K.: — W rewolucję społeczną i w przyszłość socjalizmu też trzeba było uwierzyć. Wiara to nie jest coś, co trzeba w sobie dopiero wzbudzić; to nie jest jakaś nieznaną, tajemniczą, niesłychaną część osobowości człowieka, którą trzeba dopiero wskrzesić do życia, tylko coś, z czym człowiek żyje zawsze. Istnieje natomiast skala wiary. Wiara religijna jest wiarą większą, ku której trzeba się obrócić. Na to obrócenie się społeczeństwa polskiego ku wierze, wolności i prawdzie większej wpłynęły okoliczności, wpłynęły „wydarzenia”, ale to nie jest zmiana okolicznościowa. To zamknął się i otworzył nowy cykl historyczny.

E.B.: — *Z tego, co pan mówi, wynika, że wszystko już było, a ja tymczasem nie mogę wyzbyć się uczucia, że u nas zaczyna się coś unikalnego. Może poddaję się jakiemuś samopocieszeniu, bo przecież wszyscy razem jesteśmy dziś tak strasznie smutni; jakie smutne twarze mają młodzi w tramwaju, żeby pan wiedział, jak smutni są ludzie w fabrykach, w swoich „gniazdach”, przy warsztatach...*

A.K.: — O smutku społeczeństwa trzeba mówić inaczej niż się mówi o smutku człowieka. Człowiek smutny ma wyraźne po temu przyczyny: bo chory, bo kogoś stracił, bo mu ciężko żyć. Ale człowiek potrafi ten swój smutek wypowiedzieć. Smutek społeczny jest mniej określony, i zgadzam się z panią, że ludzie skądinąd zdrowi albo tacy, którym się jako tako powodzi, którzy nawet nie mają indywidualnych powodów do smutku, mogą razem wytwarzać jakiś smutek ogólny, i dla jego nazwania trzeba szukać innych przyczyn, innych źródeł. Smutne społeczeństwo to jest takie, które żyje w świecie niechcianym, które wie, że cywilizacja, jaką samo stworzyło, nie odpowiada jego wewnętrznym aspiracjom. I to rzeczywiście można o Polakach powiedzieć — nie tylko o Polakach dzisiejszych. Kto był wesołym Polakiem? Szlachcic, żył w środku świata przez siebie stworzonego; świata, który go słuchał, którego instytucje, urzędnicy, wygląd zewnętrzny, był taki, jakiego szlachcic chciał: taki chciał mieć dwór, takie konie, takie obory, taki kościół, taką karczmę i takich chłopów — to miał! Promieniował zadowoleniem i radością życia, które widzimy w literaturze szlacheckiej, w malarstwie szlacheckim i w architekturze; była to klasa, która rzeczywiście stworzyła swoją własną kulturę. Taka z niej biła radość i pewność życia, jaka bije z mieszczaństwa holenderskiego czy niemieckiego, którego domy śmiały się do przechodniów...

E.B.: — *Buddenbrookowie byli zawsze dla mnie przeraźliwie smutni.*

A.K.: — Mogli być ponurzy i na ponuro mogli chęptać swoje piwo, ale byli wewnętrznie spokojni. Na krótko osiągnęła ten stan polska inteligencja. Inteligencja polska pod koniec XIX wieku i w dwudziestoleciu międzywojennym stworzyła świat dla siebie; świat, który po dziś dzień wspomina z prawdziwym i uzasadnionym wzruszeniem. To był pewien model miasta, obyczaju, literatury, prasy, gdzie ludzie mieli poczucie panowania nad rzeczywistością i że między nimi a cywilizacją, kulturą i ustrojem zachodzi zgodność. Polska międzywojenna była państwem inteligencji, państwem, w którym inteligencja czuła się znakomicie; czuła się dobrze w wojsku, na uczelni, w gimnazjum, na ulicy, w kościele — wszędzie. Inteligencja polska przedwojenna rzeczywiście miała tę radość życia i starzy jej przedstawiciele wspominają swoje młode lata z prawdziwym rozrzewaniem.

E.B.: — *Więszym jeszcze o to, co się później z nią stało.*

A.K.: — To, co nastąpiło później dało poczucie totalnej nieidentyfikacji, które może właśnie jest właściwe okresom zmian, rewolucji. Z nowym ustrojem nie identyfikował się nikt: ani chłop, ani robotnik, ani oczywiście inteligent, który od razu położył uszy po sobie i powiedział: nic, trzeba służyć i cicho siedzieć. Po dziś dzień mamy poczucie, że żyjemy wśród instytucji, które nam nie służą: w miastach, które nam się nie podobają, wśród usług nie spełniających swoich funkcji, z elitą władzy, która nas nie reprezentuje, z ekonomią, która nie zaspokaja naszych potrzeb. Stąd smutek. Nie to, że jesteśmy zrozpaczeni czy przerażeni, nie. Jest to uczucie nieustannej irytacji i pewnie ją na naszych twarzach widać. No i teraz możemy wrócić do początku; pani pytała: co się kończy, co się zaczyna. Tajemnicą życia w PRL była nadzieja: że to się jakoś lada moment ułoży; może następne plenum coś przyniesie? Może kogoś zmienia, może następny sekretarz?... Z każdą nową zmianą personalną, z każdą nową odwilżą spodziewaliśmy się, że teraz to już będzie inaczej.

E.B.: — *Ale przecież, jak pan mówił, przez cały czas była stagnacja.*

A.K.: — Ale dzięki marginesowi nadziei, że jednak się odetka. Toczył się cykl odkręcania i przykręcania, przymrozków i odwilży, cykl nadziei i jej utraty. I to się skończyło. Nadziei było mnóstwo: na liberalizację wewnętrzną, na współpracę z Zachodem, na Bóg wie co. Przez pewien czas młodzi działacze partyjni z ZMP mówili, że wszystko będzie inaczej, kiedy dokona się

rewolucja na Zachodzie, jak wchłoniemy tę Francję i tę Anglię, jak zaczniemy stamtąd czerpać wzory, wszystko się wyrówna. Ta nadzieja była stałym czynnikiem życia w PRL. Jak mówiłem, to się skończyło, to się nie naprawi, to wymaga zmian systemowych, których rezultaty dadzą się odczuć po latach. A co gorsza, po to, żeby te zmiany zaprowadzić, trzeba sporo przeżyć, sporo zaryzykować. Więc na twarzach Polaków pewnie się rysuje i strach, i determinacja, a przede wszystkim brak tej nadziei.

E.B.: — *Czy nie zauważył pan w tym wszystkim jakiejś gwałtownej polaryzacji ludzkich odruchów i postaw? Jedni na oślep rzucają się w „byznes”, dorabiają się szybkich fortun, które błyskawicznie materializują w postaci złota, domów, kolejnych biznesów... Drudzy, przeciwnie, jakby wyrzuci z poczucia własności, żyjąc z dnia na dzień, śledząc wypadki światowe, nie obchodzi ich bieżąca chwila, jakby ją przeskakiwali... Moje pytanie brzmi: czemu ten stan tymczasowości sprzyja?*

A.K.: — Sprzyja złu. Tak jak wojna była złem od początku do końca. Tylko w filmowych serialach i powieściach społeczeństwo polskie jest ascetyczną wspólnotą walczącą o niepodległość, a naprawdę było to społeczeństwo głęboko zachwiane w swojej równowadze moralnej, toczone przez wszystkiego rodzaju klęski społeczne jak złodziejstwo, zanik etosu pracy, przez alkoholizm, przez rozbitcie rodzin, przez potworny egoizm i okrucieństwo, tak i ten kryzys niesie ze sobą zło i tylko zło.

E.B.: — *Tak mówiąc, przekreśla pan bohaterów.*

A.K.: — Dlaczego przekreślam? Każde społeczeństwo składa się z inercyjnej masy i z elit. W czasie wojny społeczeństwo wyłania swoich prawdziwych bohaterów i to oni — odwrotnie niż pani mówi — przesłaniają inercyjną masę. Podobnie dzisiaj...

E.B.: — *Czy można powiedzieć, że dziś w ogóle mamy do czynienia z inercyjną masą?*

A.K.: — No pewnie, że mamy. Niech pani przejdzie się wśród tych niekończących się kolejek, niech pani wsiądzie do pociągu... Obraz jest straszny: gdzieś tam towar rzucą i gromadzi się ta wielka kolejka, a potem do tych drzwi ciągną starcy, kaleki, kobiety z wielkimi ciężarami i zaczyna się walka u drzwi, kto pierwszy chwyci za klamkę — czy ten kto pierwszy, czy ten kto uprzywilejowany — i te przywileje, które władza rozdziela w skomplikowanych systemach...

E.B.: — *Więc to jednak nieprawda, że moralność dokonuje się w napięciu.*

A.K.: — Co innego moralność indywidualna, co innego — społeczna. Moralność indywidualna polega na świadomym wyborze, moralność społeczna rodzi się z odruchów.

E.B.: — *Czyli nie istnieje.*

A.K.: — Tak, w masowych skalach trudno mówić o moralności, trzeba przewidywać, opisywać, rejestrować odruchy i liczyć się z odruchami. Społeczeństwa jako masa nie są moralne ani niemoralne. Moralne lub niemoralne są tylko jednostki.

E.B.: — *Ale suma jednostek...*

A.K.: — ... Społeczeństwo nie jest sumą jednostek, jest iloczynem jednostek. Człowiek, który znajdzie się w tłumie ogarniętym paniką lub nienawiścią jest odpowiedzialny za siebie tylko do pewnego stopnia.

E.B.: — *Nie zaprzeczy pan jednak możliwości oddziaływania na tłum — różny tłum — wybitnej jednostki, np. Papieża...*

A.K.: — Człowiek może zwiększać zakres swego oddziaływania, może i powinien ten zakres rozszerzać nieustannie, ale musi wiedzieć, że społeczeństwo w swojej masie zachowuje się tak, jak zachowuje się przyroda, jak woda, ogień, ziemia, jak każdy żywioł; i nie tylko wtedy, kiedy ucieka przed wodą czy ogniem, ale i wtedy, kiedy „leci za towarem”. Im społeczeństwo bardziej zdestabilizowane, im bardziej zdegradowane, im bardziej zaspokajające swoje potrzeby w sposób masowy, tym bardziej jest bezwładne, tym groźniejsze i tym nieszczęśliwsze, bo każdy człowiek czuje się pozbawiony swojej wolności. Nie dlatego, że go pilnuje milicjant, ale dlatego, że jest w masie i zależy od masy.

E.B.: — *Więc co w tym wszystkim powinien robić intelektualista — potraktujmy to słowo jednoznacznie — jaka jest jego rola?*

A.K.: — Rola intelektualisty jest żadna, i dlatego intelektualista jest dziś również istotą smutną i bezrobotną. Dziś ludzie wymagają prawd zupełnie prostych; wymagają potwierdzenia tego, co noszą w sobie. Pani pytała, dlaczego ludzie biegną do kościoła. Bo chcą usłyszeć to, co już wiedzą. Duszpasterz jest od tego, żeby powtarzał rzeczy znane; intelektualista nie jest od tego. Intelektualista ma otwierać coś nowego. Ale przyszłość składa

się z samych niewiadomych. Dziś rzeczywistość galopuje przed siebie i wymaga rozwiązań praktycznych i nie intelektualista je znajdzie. Co tu intelektualista ma do roboty? Pisać pamiętniki, jeżeli jest stary, albo przestać być „intelektualistą”, jeżeli jest młody.

E.B.: — *Nie zgadzam się z wielu rzeczami, a zwłaszcza już z tą „inercyjną masą”; Sierpień wykazał jak ta masa nie „leci za towarem”. Czytam w pańskich słowach wielki pesymizm. Nie są one w każdym razie stereotypowym mówieniem „ku pokrzepieniu serc”. I za to panu dziękuję.*

Powyższy wywiad został skonfiskowany w *Tygodniku Powszechnym*. Drukujemy go bez wiedzy i zgody pisma i rozmawiających osób. (Red.)

Ś. † P.

PROF. DR KAROL BUCZEK

ur. 26.10.1902 w Kaszowie pod Krakowem, ochotnik w wojnie 1920 roku, profesor zwyczajny Instytutu Historii PAN, jeden z najwybitniejszych historyków-mediewistów polskich, twórca historii kartografii polskiej, bibliotekarz Muzeum Książąt Czartoryskich, dyrektor Archiwum Głównego m. Warszawy, członek redakcji Polskiego Słownika Historyczno-geograficznego; w czasie okupacji działacz podziemnego ruchu Ludowego (ROCH) okręgu krakowskiego, redaktor pism konspiracyjnych *Mysł i Czyn*, *Za Pługiem*; od 1945 prezes PSL w Krakowie i redaktor naczelny tygodnika *Piast*, organu PSL na Małopolskę. Aresztowany przez U.B. 17. 9. 1946 i 10. 4. 1947 skazany na 15 lat więzienia w tzw. „procesie krakowskim” PSL i WIN-u (Niepokólczyckiego i Mierzwy) za rzekome „dążenie do obalenia władzy ludowej we współpracy z podziemiem WIN-owskim i gromadzenia dokumentów szpiegowskich”, więzień Montelupich w Krakowie, Mokotowa w Warszawie, Wronek i Rawicza; autor ok. 170 prac naukowych, zmarł w Krakowie 6 lipca 1983 roku, pochowany 15 lipca br. na cmentarzu Rakowieckim.

Z głębokim bólem i żalem żegnają ukochanego Ojca i Dziadka

CÓRKA BARBARA RACZKOWSKA
Z MĘŻEM I DZIEĆMI

Dziennik pisany nocą

Neapol, 13 sierpnia 1983

Po wyborze Andropowa na stanowisko generalnego sekretarza Dubczek wysłał do niego gratulacje i życzenia. I otrzymał za nie podziękowanie. Ujawnił to Jiri Pelikan w telewizji włoskiej, w piętnastą rocznicę inwazji Czechosłowacji. Ostrzegł przed przywiązywaniem nadmiernej wagi do incydentu, przed dopatrywaniem się w nim na przykład preludium do powtórzenia na odcinku czeskim powrotu Gomułki w roku 1956, ale nie ukrywał równocześnie satysfakcji z domieszką nowej nadziei. Potwierdzając z podziękowaniem odbiór gratulacji i życzeń Dubczeka, Andropow dał jeszcze jeden dowód że nie zamierza trzymać się niewolniczo polityki Breżniewa, że względny pragmatyczne stawia wyżej od sowieckich pryncypiów „ideologicznych” (cudzołsów zapisując na rachunek Pelikana, skoro mówił też przy okazji o agonii ideologii komunistycznej). Kto wie, czy rządy Andropowa nie zapiszą się w historii ZSSR wkroczeniem na scenę nowego pokolenia działaczy partyjnych i państwowych, trzeźwych, bardziej realistycznych, zmęczonych końskimi okularami doktryny, takich krótko mówiąc co to chcą by nareszcie „obóz socjalizmu” zaczął jakoś względnie sprawnie funkcjonować, bez okresowych wstrząsów i zaburzeń, bez konieczności wysyłania od czasu do czasu półmilionowej armii przeciw dwóm tysiącom słów. Jeżeli nie możemy ani wpłynąć ani liczyć na radykalne zmiany w ZSSR — a nie możemy — cóż nam zostaje poza stawką na częściowe choćby oprzytomnienie i zmądrzenie władców Kremla?

Słuchałem Pelikana raczej ze smutkiem, niż z irytacją. Co innego sam Dubczek: ostatecznie jest dzieckiem „aparatu” z trudnymi już widać do wykorzenia szczątkowymi odruchami

warunkowymi, jakkolwiek na zesłaniu (i w niebycie) politycznym mógłby sobie doprawdy oszczędzić listownego wyściskania i wycalowania człowieka, który piętnaście lat temu nadzorował policyjną stronę operacji praskiej, łącznie z dostawą do Moskwy skutych sterników „nowego kursu”. Ale Pelikan, jeden z ambasadorów Karty 77 za granicą? Po klęsce idei „reformowalności socjalizmu realnego”, po husakowskiej „normalizacji”, po wydarzeniach w Polsce, nie można już chyba mieć wątpliwości, że została nam nie żadna rachuba na oprzytomnienie i zmądrzenie władców Kremla, lecz świadomość stopniowego i przypuszczalnie długotrwałego murszenia sowietyzmu. Rzecz w tym by uniknąć murszenia razem z nim, oczekując z niepoprawną ufnością że ulegnie jednak w końcu łagodnym perswazjom i rozluźni ciut ciut swój imperialny uchwyt na wasalnych karkach.

15 sierpnia

Przypadkowo natknąłem się dziś na szkic Edmunda Wilsona z roku 1944, zatytułowany *A Treatise on Tales of Horror*. Sławny krytyk amerykański dziwi się, że nie wyszedł jeszcze z obiegu gatunek pisarski zwany *tale of horror* bądź *ghost story*. Na dobrą sprawę powinien był wygasnąć z wynalazkiem elektryczności. Duchy prosperowały w epoce świecy, lampy naftowej, latarni gazowej. Byle powiew wiatru mógł zdmuchnąć płomień świecy, a czas potrzebny na jej ponowne zapalenie sprzyjał pojawieniu się duchów. Podobnie z lampą naftową i latarnią gazową, wolno zatem powiedzieć że warunkiem urodzaju *tale of horror* bądź *ghost story* jest poczucie kruchości i mdłości oświetlenia nocnego. Odkąd wystarczy nacisnąć kontakt by rozjarzyło się i dotarło wszędzie światło elektryczne, zjawy nadprzyrodzone znalazły się w kłopotliwym położeniu. Co prawda Henry James pokazał w *The Turn of the Screw*, że duchy nie zawsze czatują na zapadnięcie ciemności i stronią od światła dziennego, jego nowela jest jednak dość wyjątkowym okazem gatunku. James zapewniał o zamiarze napisania konwencjonalnej *ghost story*; napisał rzecz o wiele ambitniejszą i dwuznaczną. Guwernantka-narratorka nie broni oddanych pod jej opiekę dzieci przed wpływem złych duchów — pary poprzednich i zmarłych opiekunów, lecz straszy je sama projekcjami własnych, spychanych w podświadomość emocji: taką interpretację wysuwa Wilson, nie on jeden zresztą. A przecież zdaje sobie sprawę z jej ograniczoności i natychmiast dodaje: „Prawdopodobnie sam James nie uświadamiał sobie, że odsłonił w noweli coś znacznie bardziej przerażającego, niż wywołane na jej stronicach duchy”. Wilson nie

wyjaśnia w swoim „traktacie”, co mianowicie odstąpił bezwiednym piórem autor *The Turn of the Screw*, niezbyt konwencjonalnej *tale of horror*.

Nic nie wskazuje że ktokolwiek w noweli, poza nową guwernantką-narratorką, widzi duchy dawnych opiekunów-deprawatorów. Dzieci poruszają się jakby w oparach zatrutej mgły przeszłości. Dopiero w scenie końcowej, kiedy guwernantka widzi za szybą „białą potępieńczą twarz” Quinta, mały Miles pyta: gdzie on jest? Szczęśliwa przyciska go z całych sił do piersi: to połowiczne przyznanie ma dla niej smak triumfu. Ale spostrzega naraz, że trzyma w ramionach martwego chłopca. „Jego małe serce, wywłaszczone, przestało bić”. Duch Quinta był nie za szybą, lecz w dziecięcym sercu Milesa. Przestało bić „wywłaszczone” z czego? Z dziecięcej fascynacji złem.

Zupełnie możliwe że James nie uświadamiał sobie, czy w każdym razie po wiktoriańsku wzdragał się przed uświadomieniem sobie, zjawisk przyrodzonych znacznie bardziej przerażających od zjaw nadprzyrodzonych. Napisał swoją nowelę pod koniec zeszłego stulecia. Wkrótce potem, na początku naszego stulecia, Robert Musil opisał „tragedię dziecięcą” zła w *Niepokojach wychowanka Törlessa*, przesunąwszy trochę wiek bohaterów. Gaśły świece, lampy naftowe, latarnie gazowe, szybkim krokiem nadchodził nowy wspaniale oświetlony świat, w którym dziecięca fascynacja złem nie musiała się już ukrywać w ciemnych zakamarkach, wylęgarni duchów.

18 sierpnia

Ten rok jest rokiem Marksa i Kafki, stulecia śmierci pierwszego, stulecia urodzin drugiego. Przyszły będzie rokiem Orwella, bez żadnych okrągłych rocznic śmierci czy urodzin. Po prostu rok 1984. Zauważa się już przygotowania do „obchodów”, a raczej do rozmaitych „przymiarek”. Co się spełniło, a co nie? Jak daleko posunęliśmy się na drodze do obrazu Orwella? Dużo nam jeszcze brak do „końca historii i człowieka”? Zastanawia a nawet niepokoi trochę jedno: od pewnego czasu przymiotnik „orwellowski” tak się rozpanoszył w naszym języku, że powstaje niekiedy podejrzenie, czy aby sam nie stał się elementem „nowomowy” na wskap, paraliżującej nas przerostem wizjonerstwa, jak w świecie opisanym przez Orwella paraliżowała ludzi kalcem ślepoty. Orwell nie byłby tym zachwycony. Temperament pisarski popychał go w stronę literatury dramatycznych ostrzeżeń, co nie znaczy delectacyjnego pławienia się i licytowania w apokaliptycznych katastrofizmach. Był pisarzem głęboko

przywiązany do swoich przekonań i zasad, jedną z nich mógłby w formie przykazania wyrazić słowami Malraux: „Przekładaj zawsze na język sumienia maksimum własnych doświadczeń”. Czyli był przeciwieństwem wielu współczesnych intelektualistów o pokrewnej na pozór orientacji politycznej, którzy od pokłonów (wczorajszych) przed Historią i Człowiekiem przeszli z dezynwolturą do lamentów (dzisiejszych) nad „końcem człowieka i historii”.

Bertrand Russell wspomina w *Portraits from Memory*, jak przyjeżdżał w Anglii Rok 1984: tłumaczono go chorobą Orwella. Był rzeczywiście ciężko chory, pisał swoją ostatnią książkę w wyścigu ze śmiercią. Ale pozostał do końca wierny sobie. „Pozostał — powiada Julian Symons, jego bliski przyjaciel — do ostatniego dnia swego życia socjalistą wolnościowym; ci co dostrzegają w gorczy Roku 1984 zmianę w jego podstawowym wyznaniu wiary, popełniają ciężki błąd”. Należy o tym pamiętać w przyszłym roku, by wielkiej powieści Orwella odebrać charakter jadowitego pamfletu i przywrócić charakter książki wycierpianej i nie wyzutej z wszelkiej nadziei. „Każdą linijką moich utworów serio, powstałych po roku 1936, była pisana pośrednio lub bezpośrednio przeciw totalitaryzmowi i na rzecz demokratycznego socjalizmu, tak jak ja go rozumiem”. Jak go rozumiał? „Sądzę — pisał w przedmowie do ukraińskiego przekładu *Folwarku zwierzęcego* — że nic tak nie wpłynęło na degenerację pierwotnej idei socjalizmu jak przekonanie, że Rosja jest krajem socjalistycznym i że każde posunięcie jej władców należy usprawiedliwiać, o ile nie naśladować. Toteż od dziesięciu lat jestem przekonany, że rozbicie mitu sowieckiego jest rzeczą istotną, jeśli chcemy przywrócić do życia ruch socjalistyczny”. Mit sowiecki leży dziś prawie w gruzach, i jakaś w tym drobna zasługa także Orwella. Czy odżywa ruch socjalistyczny? Jakkolwiek go nazwiemy (a wiadomo co dla Polaków na przykład oznacza dziś samo słowo „socjalizm”), można z myślą o „socjalistycznej” Polsce przytoczyć dwa zdania Orwella z *Homage to Catalonia*: „Nie otaczam żadną szczególną miłością robotnika wyidealizowanego, jaki pojawia się w wyobraźni mieszczańskiego komunisty. Ale kiedy widzę prawdziwego robotnika z krwi i kości w walce ze swoim naturalnym wrogiem policjantem, nie muszę zadawać sobie pytania, gdzie jest moje miejsce”.

Uważał się za ateistę, chociaż w testamencie kazał się pochować w poświęconej ziemi według obrządku anglikańskiego. Ma rację Broński twierdząc, że jego przeżyciem religijnym był patriotyzm jako świadomość przynależności do większej i trwalszej wspólnoty ludzkiej. W jednym z felietonów na łamach socjalistycznej *Tribune* pisał: „Prawdziwym problemem naszych cza-

sów jest odnowienie poczucia absolutnego dobra i zła w sytuacji, w której przekonanie stanowiące oparcie dla tego poczucia — mianowicie przekonanie o indywidualnej nieśmiertelności — zostało zniszczone. Wymaga to wiary, która jest czymś odmiennym od łatwowierności”. Zniszczone czy nie „przekonanie o indywidualnej nieśmiertelności”, bez „poczucia absolutnego dobra i zła” tak zwany „ethos socjalistyczny” jest pustym dźwiękiem.

W przyszłorocznych „obchodach” i „przymiarkach” nie powinien być odsunięty na bok Orwell socjalista, skromny i uparty głosiciel *ordinary human decency*. Brzmi to banalnie w zestawieniu z zawrotnymi rozważaniami o „końcu człowieka i historii”, ale wśród wielu nauk Roku 1984 nie najmniej ważna jest pośrednia apologia rzekomego banału w kościele międzyludzkim.

23 sierpnia

Ze skrupulatnego „kalendarza rocznic” jednej z gazet włoskich widzę, że w tym roku przypada jeszcze jedno stulecie: śmierci Turgieniewa. Dostojewski przesłonił *Biesami jego Ojców i dzieci*, ale myślę że tej świetnej powieści nie grozi zapomnienie.

W styczniu 1860 roku Turgieniew wygłosił w Petersburgu odczyt pod tytułem *Hamlet i Don Kichot*. Pomysł był błyskotliwy: pierwsze wydanie *Hamleta* zbiegło się prawie (na początku XVII stulecia) z wydaniem pierwszej części *Don Kichota*, może więc warto postawić pytanie, czy obie postacie nie zainaugurowały nowej, porennesansowej ery „problematicznego” bohatera literackiego. Turgieniew był zdania że tak i wykreślił dwie rozchodzące się w przeciwne strony linie: Szekspir stworzył typ bohatera zamkniętego w swoim świecie, Cervantes typ bohatera otwartego wyłącznie na świat zewnętrzny (choćby urojony). Wywód Turgieniewa, zredukowany tutaj do jednego zdania, był naciągany i mało przekonujący. Z równym powodzeniem dałoby się rzecz odwrócić, twierdząc że Don Kichot był zamknięty w swoim świecie, a Hamlet otwarty po swojemu na świat zewnętrzny (najlepsze przedstawienie *Hamleta* widziałem przed laty w Londynie, przygotował je Alec Guinness w duchu „wykładni” Salvadora de Madariagi, grając królewicza duńskiego w tonacji przebiegłego księcia renesansowego z bródką i brzuszkami; uczciwość każe dodać że to przedstawienie, wygwizdane i wytupane przez publiczność, zdjęto z afisza po kilku dniach...).

Petersburski odczyt odnotowuje się — zrobił to ostatnio ruscysta włoski Vittorio Strada — z dość istotnego powodu. Wkrótce po jego wygłoszeniu, w sierpniu 1860 roku, Turgieniew zabrał się do pisania *Ojców i dzieci*; zamierzając jakoby prze-

ciwstawić w osobie „dziecka”, nihilisty Bazarowa, linię Don Kichota hamletycznej linii „ojców”. Co mniej jeszcze trafia do przekonania, niż wywód zawarty w petersburskim odczycie.

Ojców i dzieci czyta się wciąż z ogromnym zainteresowaniem, chwilami nawet z podziwem, jako pierwszy chyba zarys „nowego typu” człowieka. „Prawdziwym człowiekiem jest ten — wypala Bazarow — nad którym nie ma co się zastanawiać, którego jednak słuca się lub nienawidzi”. I dalej: „Nie ma żadnych zasad, istnieją tylko doznania. Mnie odpowiada negacja, właśnie dzięki doznaniom. Negacja sprawia mi przyjemność, tak jest zbudowany mój mózg”. Katia nazywa intuicyjnie Bazarowa „drapieżnikiem”. Turgieniew dojrzał protoplastę nowego rodu, rodu który w różnych odmianach oglądamy po dziś dzień.

Czy Turgieniew „płaszczyl się przed młodym pokoleniem Bazarowów” (jak chciał Katkow), czy odmalował je karykaturalnie, z małoduszną „ojcowską” zgrozą na widok „wynaturzonych dzieci” (jak chcieli młodzi admiratorzy Bazarowa)? Ani jedno, ani drugie. Po prostu „wymierzył sprawiedliwość widzialnemu światu”, miałoby się ochotę powiedzieć, pamiętając że był jedynym pisarzem rosyjskim cenionym przez Conrada. Smętnie elegijne zakończenie powieści nastrojone jest na nutę „wszystko płynie i mija”. I na bardzo daleką metę Turgieniew miał pewnie rację, ale na bliższą lepiej i ostrzej od niego widział Dostojewski.

25 sierpnia

Poznański krytyk literacki Ryszard Kazimierz Przybylski (nie mylić z Ryszardem Przybylskim, autorem książek o Dostojewskim i Mandelsztamie) ogłosił w poznańskim miesięczniku dominikanów *W Drodze szkic W Perspektywie cierpienia*. Podtytuł jest taki: *O „innych światach” Tadeusza Borowskiego i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*. Bardzo drobiazgową i subtelną analizą porównawczą, a poza tym, mój Boże... Długi i śmiały krok na właściwej drodze.

28 sierpnia

Późna noc, blisko do świtu, ciągle wracam myślą do nadanego dziś wieczorem w telewizji godzinnego programu *Renato Caccioppoli, uczony neapolitański*. Nie znałem go osobiście, sam nie wiem czy z braku dobrej okazji, czy też z winy jakichś moich podświadomych oporów, a przecież stanowił ważny składnik początków mojego pobytu w Neapolu.

Geniusz matematyczny według powszechnej opinii kolegów włoskich i zagranicznych, profesor uniwersytetu w Neapolu. Rozkochany w literaturze, filozofii, a zwłaszcza muzyce. Znakomity pianista. Wnuk Bakunina. (Formalnie tylko, bo historycy — E. H. Carr, na przykład — nie ukrywają faktu, że Bakunin był do ojcostwa niezdolny, a jego polska żona miała trwałą i płodną romans z pewnym adwokatem neapolitańskim, zakończony powrotnym małżeństwem po śmierci pierwszego męża). W okresie przedwojennym i podczas wojny *Wunderkind* na wydziale matematyki, a jednocześnie *enfant terrible* w stosunku do faszyzmu: często aresztowany za „prowokacyjne wystąpienia” i zwalniany dzięki interwencjom możnych protektorów, raz nawet osadzony na dłużej w klinice psychiatrycznej zamiast procesu i wysokiego przypuszczalnie wyroku. Po wojnie „towarzysz podróży” komunistów, szybko obrzydzony i nad „podróż” w karnych szeregach przekładający własne „ścieżki”.

Te „ścieżki” trzeba rozumieć dosłownie, i one właśnie sprawiły, że go tak na odległość polubiłem. Osiedliwszy się w roku 1955 w Neapolu, pokonywałem uczucie wyobcowania i izolacji w jedyny dostępny sposób: przemierzając codziennie po pracy wzdłuż i wszerz miasto nie stworzone zaiste dla cudzoziemców, którzy nie są turystami. Codziennie spotykałem go to tu to tam, jakbyśmy byli umówieni. Wałęsał się zawsze sam, wolnym i posuwistym krokiem, lekko przygarbiony, nie patrzył przed siebie ani na boki, miał półprzymknięte oczy w szczupłej, udręczonej, ptasiej nieco twarzy, z lokiem na czole, ze zgąstłym papierosem przyklepionym do kącika ust. Przystawał niekiedy na ulicy, wyciągał paczkę papierosów i oparty o mur pisał na niej jakieś formuły. Rzadko wpadał do baru, wypijał jednym łykiem kieliszek koniaku i natychmiast wracał na swoje „ścieżki”. Był wędrownym pomnikiem samotności i — jak to określić? — „wyłączenia” a raczej „autowylączenia”. Może idąc za nim, wymijając go, przypatrując mu się z drugiej strony ulicy, czułem przyciąganie lustra bez odwagi podejścia za blisko do ciemnej tafli? Nasze wspólne włóczęgi po Neapolu skończyły się w maju 1959 roku, gdy któregoś popołudnia zastrzelił się w swoim mieszkaniu w *Palazzo Cellamare*. Byłem na jego pogrzebie, w tłumie ludzi którzy tak samo jak ja znali go jedynie z widzenia. Ze świadectw w programie telewizyjnym dowiaduję się, że jego przyjaciele spodziewali się tego strzału od dawna. Podobno szykował się do niego jak aktor na próbach przed premierą, studiując wygodną pozycję na kozetce, położenie głowy, przytknięcie lufy pistoletu do skroni w odpowiednim miejscu.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Gatunek: podróż*

Słońce miało się ku czerwieni. Płaty śniegu, rozmazana czerń gleby, drgająca czerń cieni, zieleń oziminy. Sarny pasły się spokojnie, nie zważając ani na fukanie lokomotywy, ani na bliskość chałup-nie-chałup, domów-nie-domów. Pociąg pospieszny włócił się niczym czas w poczekalni u dentysty. Wiadomo było, że do Przemyśla dotrzemy z kilkugodzinnym opóźnieniem.

Tam zaraz, na sąsiednim peronie — poinformował mnie Gucio Syberyjski, który w Przemyślu zna jedynie dworzec — stoi barak. Niby komora celna. Może jednak zdążymy na nasz pociąg. Ale ja byłem zdania, że czeka nas upojna noc listopadowa. W Przemyślu. I że najlepiej byłoby... Po raz n-ty w życiu pomyślałem, że należało zrobić coś innego niż zrobiłem. Prawdę mówiąc, tym razem niczego innego nie mogłem zrobić. Najwyżej nie pojechać, a przecież pojechać chciałem.

W pewnym momencie Gucio zaczął mnie egzaminować: jak mam iść z Dworca Głównego na Kochanowskiego. Powiedziałem, że przez Focha, Gródecką, Legionów... Gucio twierdził, że przez Sapięhy ku Pełczyńskiej, a potem przez Zyblikiewicza... Jak już będę na Pełczyńskiej, obruszyłem się, to krócej będzie przez Jabłonowskich.

Z ulicą Sapięhy, to miał rację. Ale za to wyliczając ulice świętych zapomniał o św. Zofii i św. Jacka. Więc wyszliśmy na remis.

Właściwie powinienem powiedzieć coś więcej o Guciu Syberyjskim i o tym, w jaki sposób znaleźliśmy się obaj tej właśnie

* Artykuł skonfiskowany w grudniowym (1982) numerze *Znaku*, przedrukujemy go z jednego z krążących po kraju odpisów.

środy w tym cholernym szlepcugu co miał być sznelcugiem. No, ale o Guciu nie da rady bez Michała. A skoro o Michale, to o Maurze (Gucio bardzo się martwił, że Maura za nim tęskni), o Maurze to o Szachu, o Szachu to o Barbarze. I robi się kompletny tristramszندی, na co nie mam najmniejszej ochoty.

I

W czwartek około dziesiątej wieczorem — czasu obowiązującego — znalazłem się wreszcie w pokoju hotelowym. Tam, gdzie kiedyś rozciągała się zgiełkliwa gmatwanina straganów, czyli na Krakiedałach. Hotel jest nowy, nowoczesny i żeby wszystko się zgadzało kontakty wypadają ze ścian. Sposób na otrzymanie miejsca w tym hotelu opisał mi zawczasu kolega, można więc nazwać to, jak w tatarnictwie, wariantem Romana L.

Wariant oparty jest na trafnym założeniu, że człowiek dociera do Dworca późnym wieczorem i że nikt na niego nie czeka. (Spóźnić może się pociąg, albo telegram, albo i jedno i drugie). W tej sytuacji należy iść do hotelu na Krakiedałach i tak długo wymachiwać służbowym paszportem, aż się wreszcie otrzyma przepustkę, na podstawie której klucznica wyda klucz od numeru. 20 do 25 karbowanów za dobę; zależnie od tego, jaki pokój jest wolny. I płaci się to z własnej kieszeni następnego dnia, tj. po podjęciu diet, które skądinąd nie obejmują opłat hotelowych. Potem można spróbować wytoczyć proces: instytucji macierzystej, PKP, ministerstwu łączności... Możliwości wyboru są znaczne, włączając w to Historię, ale wariant Romana L. nie przewiduje wytaczania procesu.

Ja spóźniłem się o całą dobę. Albo o dwie. Albo o trzy. Bo to zależy jak liczyć, a tajemnica tego rachunku spoczywała na dnie szklanek po herbacie pracowników wydziału zagranicznego Polskiej Akademii Nauk i została, wraz z fusami, wylana przez sprzątaczkę. Tak spóźniony usiłowałem ominąć wariant Romana L. i direttissimā dotrzeć do hotelu George'a. Co też, przy pomocy Gucia, który zapłacił za taksówkę, uczyniłem. Na nic się to nie zdało. Odprawiono mnie z kwitkiem, jako iż nikt nie wiedział o tym, że mam tu zaistnieć. Stałem sobie tedy w hallu i zastanawiałem się usilnie nad tym, gdzie by tu można w spokoju ducha zapalić papierosa, bo to wydawało mi się sprawą nie cierpiącą zwłoki. (Następnego dnia dowiedziałem się, że palić wolno na ulicy, w parkach, w klozetach, w prywatnych mieszkaniach, w swoim numerze w hotelu. I na tym koniec). Stałem tedy i marzyłem o papierosie, Gucio polecał do automatu telefonicznego szukać noclegu dla mnie, a przez hall prze-

walał się tłum Węgrów. I wtedy podeszła do mnie panienka, która była odprawiła mnie z kwitkiem i zapytała, czy mam na pewno paszport służbowy. Co też jej natychmiast dowiodłem naocznie, dokładając jeszcze kilka papierków, z których wynikało, że Akademia, że Biblioteka, że służba, a nie drużba. To sobie obejrawszy, panienka skierowała mnie na Krakiedały, czyli za jedyne możliwe uznała przejście wariantem Romana L. Co nie znaczy, że wiedziała co to są Krakiedały i jakie są założenia wariantu opracowane przez mego kolegę.

Mimo śnieg z deszczem wierny Gucio pomaszerował ze mną przez plac Mariacki i całą Legionów. I dopiero kiedy upewnił się, że dostanę pokój — ruszył do któregoś ze swoich kolegów gimnazjalnych, co mieszka tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, czyli tuż pod Skniłowem.

II

Tak więc w czwartek około 22.00 zacząłem się zastanawiać, czy zażyć środki nasenne, czy też wyjść do miasta. W końcu uznałem, że jeśli połknę reladorm i mogadon oraz zamówię budzenie na pół do ósmej, to mogę wyjść na trzy kwadranse. Akurat tyle, by dojechać na Akademicką i popatrzeć na dom, w którym mieszkała Irka Z.

Kilka lat temu z *Zeszytów Historycznych* dowiedziałem się, że Irka mieszka w Kalifornii. Ale nie zdobyłem się na napisanie listu. („Szanowna Pani, pozwalam sobie skreślić do Niej słów tych nieśmiały parę. Wiosną 1939 roku całowaliśmy się w szkolnym ogrodzie i jest Pani pierwszą dziewczyną, którą całowałem naprawdę. Wywarło to na mnie wówczas ogromne wrażenie. Większe niż moment, kiedy na Pani imieninach pojawił się ojciec Pani w całej okazałości swego generalskiego munduru i przywitał się z każdym z nas jak gdybyśmy byli dorośli. A mieliśmy dwanaście do piętnastu. Najbardziej dumny byłem jednak ze szczególnego wyróżnienia: byłem jedynym chłopcem z naszej klasy, którego chciała Pani zaprosić...”. Nie, no list bez sensu. Irko, Irko zostańmy tam, na ścieżkach ogrodu szkoły im. Zofii Strzałkowskiej, albo na spacerze: przez Chorążczyzny, obok Osolineum w górę ku Cytadeli. Mieszkała tam Twoja przyjaciółka, Danką, którą my, chłopcy, nazywaliśmy „adiutant trzy kroki z tyłu”. Czy wiesz, że nasza szkoła była założona w 1895 roku jako pierwsze w Galicji żeńskie gimnazjum? Nie pensja, lecz właśnie normalne gimnazjum).

Trochę mnie w planie tego spaceru niepokoił fakt, że paszport

zostawiłem w recepcji pod zastaw jutrzejszej zapłaty, ale uznałem, że przepustka do hotelu może ująć za dokument.

III

Iks Siostra twierdzi, że jestem sentymentalny. I że sentymentalni są wszyscy mężczyźni. Czego ona nie lubi.

Wybacz — odpowiadałem — ale wolałbym, o ile to tylko możliwe, byś w stosunku do mnie używała taksonomii innej niż „wszyscy mężczyźni”. Nie przemawia przeze mnie pycha, ale kategoria „wszyscy mężczyźni” pasuje do dekretu o powszechnej mobilizacji.

Skądinąd część mężczyzn to zapewne ludzie sentymentalni. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, czy należę do nich. Wedle mego rozumienia sentymentalizm nie jest sprawą płacziwej uczuciowości — co trudno byłoby mi przypisać — lecz sposobem widzenia i opisywania świata. Nie wydaje mi się, bym był sentymentalny w tym rozumieniu, ale nie mnie o tym wyrokować.

Dawno temu Ronsarda powiedziała mi: dlaczego tylo uroczych cyników w łóżku zmienia się w płacziwych werterów, a na odwrót nigdy?

Zapytałem, czy mam powiedzieć coś cynicznego, ale odpowiedziała, że nie i dodała:

— To jedna z twoich nielicznych zalet.

— Co?

— To, że tak naprawdę wcale nie jesteś cyniczny. Co gorsza, masz zasady, a to bywa zupełnie nie do zniesienia.

— Och, tak niewiele — odpowiedziałem.

No, bo po pierwsze, co niby miałem odrzec, a po drugie, całość jej wypowiedzi wydawała mi się trochę niezborna.

IV

Więc wyszedłem z hotelu. Wciąż wiało i padał śnieg z deszczem. Robiło się nieco cieplej.

Ale nie poszedłem na Akademicką, gdzie mieszkała Irka, a naprzeciw, na tym samym piętrze Zdzisiek F. z dziesiątej budy, który zginął w 1942 albo 1943 roku. Raczej nie w Europie.

Przez Wały Hetmańskie doszedłem do placu Mariackiego i skręciłem w Sobieskiego. Tak mi nagle wyszło, że nasamprzód powinienem poszukać choćby śladów bóżnicy Złotej Róży (Szoszana Zachawa). Chyba się to wszystkim należy. Ojcu, Matce. Nawet mnie. Ostatecznie tu rozwinęto przede mną zwój Pisma,

tu srebrną rączką wskazano mi fragment, który mam odczytać na głos. Tu zostałem — w każdym razie przed obliczem Pana — uznany za dorosłego, to znaczy odpowiadającego za swoje uczynki. Był rok 1939, pochmurny dzień listopadowy.

I tylko nikt nie wiedział, że według ludzkich rachunków jest już po herbacie. Wszyscy myśleli, że to mała, nieprzyjemna przerwa, która skończy się na wiosnę. No, może latem.

Trochę błądziłem, bo na Blacharskiej stoi jakiś parkan, którego sobie nie przypominam, a brama obok zamknięta jest na głucho. Ale po chwili, idąc ku Podwału zobaczyłem puste miejsce i tylko jedną wznoszącą się wysoko ścianę z zamurowanymi wykuszami okiennymi. Na jednym gotycko-renesansowym wykuszu ktoś napisał grażdanką: haraż. Na drugim — serce przebite strzałą i łacinką: *Love hippy*. U stóp ściany zdążyły wyrosnąć dwa drzewa. Więc tyle osiągnęli do spółki: Austriak-ideolog, posłuszny mu naród poetów i myślicieli oraz anonimowi miłośnicy samochodów i hippiesów.

Postałem chwilę i powiedziałem: Panie, w którego nie jest mi dane wierzyć, Ty wiesz, że to jest moja prywatna Ściana Zachodnia. Tu mógłbym stać i płakać. Ale nie płakałem. Postałem niemy w sobie. Potem odmówiłem *Szema*: Słuchaj Izraelu, Bóg Twój jest Bogiem jedynym. I przez Serbską, Rynek, plac Katedralny, przez Ruską i Wały Hetmańskie wróciłem do hotelu.

Padął deszcz ze śniegiem.

Środki nasenne zaczęły działać i po przeczytaniu kilku stron Musila zasnąłem.

Następnego dnia poszedłem jeszcze raz w to miejsce, by w świetle dziennym sprawdzić, czy się nie pomyliłem. Tym razem od placu Bernardyńskiego i Wałowej, tak jak chodziliśmy z ojcem, więc trafiłem od razu. Ściana stała równie wysoka jak minionej nocy, jak na początku XVI wieku.

V

W piątek po południu zasypiałem nad szkicem Wiktora Hahna o „Samuelu Zborowskim”. Dziwaczna to lektura, ale jeszcze dziwniejszy jest powód, dla którego po nią sięgnąłem.

Okazało się mianowicie, że bardzo nie lubię, gdy się mnie nie dopuszcza do katalogów. Nie, żeby ze względów zasadniczych, choć i te można nazwać bez trudu, ale przede wszystkim dlatego, że bobrowanie po katalogach uważam za jedną z nielicznych przyjemności związanych z tym zespołem zachowań się, za

które na całym świecie humaniści otrzymują co miesiąc, lub co rok określoną — dla danego kraju i danej kategorii służbowej — sumę pieniędzy. Kiedy więc miła, uprzejma i przystojna panienska powiedziała mi, bym dał jej spis tytułów, o które mi chodzi i po chwili przydzwigała trzy szuflady, poczułem się jak mały chłopiec, któremu miast spodziewanej kolejki na szynach wręczono jeden odcinek szyn i węglarkę. (Później zrozumiałem, że wręczając mi całe szuflady, panienska i tak przekroczyła swoje kompetencje).

No, to już z samej złości nie przepuściłem ani jednej fiszce. A kiedy okazało się, że książeczkę Hahna mogę dostać szybciej niż czasopisma i że część czasopism jest gdzie indziej, to zacząłem od tego nieszczęsnego „Samuela Zborowskiego”, który jest nudny w wykonaniu Wiktora Hahna, nudny w wykonaniu Hanuszkiewicza i — podejrzywam — nudny w wykonaniu samego Słowackiego.

Ale przedtem jeszcze załatwiłem wszystkie sprawy, które można określić mianem akredytacji i około południa tryumfalnie wylądowałem u George'a, którego to tryumfu oprócz mnie jakoś nikt nie zauważył.

I tym razem zacząłem swoją pielgrzymkę na dobre. Raz jeszcze, jak wspominałem, na Blacharską. Potem Akademicka, Romanowicza, przeciąć Zyblikiewicza i przez Kącik na Jabłonowskich. (Jabłonowskich w tym miejscu poszerzono, a kawałek dalej, na Zielonej przebito przedłużenie Konopnickiej wychodzące wprost na halę sportową i krytą pływalnię). Potem w górę Zieloną obok sklepu Mincerki, za którym zaczynały się ogrody i boiska szkoły. Sklepu Mincerki, rzecz jasna, nie ma, szkolnych boisk i ogrodów też nie, ale szkoła stoi. Potem przez Zamoyskiego na Kochanowskiego, w dół do Batorego, obok Kasy Chorych na Fredry i obiad w Romie. W Romie mieści się dietetyczny bar samoobsługowy. Jest zresztą rzeczywiście samoobsługowy. A w Szkockiej prawdziwa — i chyba jedna z nielicznych — prawie-kawiarnia.

Ja bym jednak na murach Szkockiej przybił tablicę z napisem: Tu w latach... powstawała przy stoliku kawiarnianym słynna „Księga Szkocka”, żartobliwe zwierciadło problemów, rozwiązań i wielkości polskiej szkoły matematycznej.

Regina opowiadała mi, że w 1941 roku okazało się, iż właściciel Romy od dawna był agentem hitlerowskiego wywiadu. A ja pamiętam, że w Romie były wspaniałe lody kawowe i że od ojca najłatwiej było wyciągnąć 50 groszy (suma niebagatelna), gdy w bocznej salce grał w karty.

VI

Ogromne przestrzenie dla wyrwijającego się spod opieki dziecięco-, dwunastoletniego chłopca. Obszary między Pohulanką, Zniesieniem, Wysokim Zamkiem, basenem na Zamarstynowskiej, cmentarzem Janowskim, między Kaiserwaldem a Żelazną Wodą, między cmentarzem Łyczakowskim i cmentarzem Orląt a Dworcem Głównym są *de facto* niewielkim miastem.

Cała moja pierwsza wędrowka nie trwała chyba godziny. A zatrzymywałem się. Na Romanowicza pod jedenastym, na Kochanowskiego pod 27-mym. I tu i tam wszedłem na drugie piętro, a na Romanowicza wszedłem również na podwórze, by zobaczyć powyginane resztki ręcznej windy, przy pomocy której Miła lub jej narzeczony Miśku wciągał węgiel. Kręcenie korbą imponowało mi o wiele bardziej, niż naciskanie guzika w dostojnej i powolnej windzie dla „państwa”.

Z Romanowicza na Kochanowskiego przeprowadziliśmy się, kiedy miałem siedem lat.

Mógłbym więc podzielić moją pamięć. Na przykład: ogród botaniczny, Ruta W., pokój śniadaniowy na rogu św. Mikołaja i... (Dulebianki?), służąca Miła, matura Heli, córki ciotki Rózi z Delatyna — to wszystko należy do Romanowicza. Potem jest ulica Kochanowskiego. A potem miejsce zamienia się w czas. Mobilizacja, oblężenie Lwowa; z Jurkiem M., który mieszkał na Zamoyskiego pod 10-tym, postanowiliśmy przedostać się do Gródka Jagiellońskiego, gdzie toczyła się bitwa z Niemcami, ale już na Batorego złapała nas jego matka i nieświadoma naszych planów zapędziła do kolejki po mięso. Budowanie barykad. Milczenie radia. 19 września.

I dwa ostatnie wspomnienia.

10 kwietnia. Idziemy — matka, Zygmunt, mój najstarszy brat i mecenas Kaufmann — do prokuratury Żelaznodorożnego Rejonu przy ul. Brajerowskiej by wyjaśnić, dlaczego aresztowano ojca.

Mamo, nie gniewaj się, ja wiem, że to było tragiczne, ale cały ten pomysł, a już w szczególności ten adwokat (czy zdawał sobie sprawę, że dokonuje bohaterstwa wyczynu, czy też uważał, że nadal normalnie wykonuje swój zawód?), cały ten pomysł był z innego świata. A pierwszym rezultatem naszej interwencji było to, że obywatelka prokurator tegoż wieczora wprowadziła się do naszego mieszkania.

Potem świt nad Filipkówką. Siedzimy w ciężarówce. Mama, ja i młody żołdat. I czekamy. Potem doładowują młodą ko-

bietę z dwoma chłopcykami i jedziemy na Podzamcze. Z za-ryglowanego wagonu towarowego nie widać ani dworca, ani Wysokiego Zamku.

Ta periodyzacja pamięci jest względna. Obejmuje pewne jej obszary, nie dotyczy innych.

Na przykład weteranów Powstania Styczniowego. Po prostu ich pamiętam. I tyle. Należą do całości, a nie do jakiegoś jej fragmentu. Tak jak do całości należy niemal bezbłędna pamięć topografii. Nie umiałbym powiedzieć w jaki sposób, bez cienia wahania trafiłem przez Ogród Jezuicki do cerkwi św. Jura, a potem na ulicę Bema (gdzie mieszkała ciotka Ruchla, lub — jeśli kto woli — Rachelą). I to mimo, że na rogu Gródeckiej i Bema nie ma śladu po składzie drzewa, który należał do ojca i jego brata, i w którym pracowała jedna ze staropanińskich córek ciotki Judyty z Zamoyskiego; ta młodsza, weselsza. Po prostu wiedziałem jak iść. Tak jak po prostu, idąc wieczorem od strony nowego parku przy Żelaznej Wodzie przez nową Zieloną, nagle w pewnym momencie wiedziałem, że znajduję się u wylotu Tarnowskiego. Wiedziałem i tyle. I tylko nie pamiętam, czy pani Terlecka mieszkała na Tarnowskiego pod 30-tym czy pod 32-gim.

Całą tę trzygodzinną wyprawę odbyłem w niedzielę i jeszcze do niej wrócę. A na razie trzymamy przy piątku.

Periodyzacja pamięci w niewielkim stopniu uwzględnia siłę konkretnych wspomnień. W „Wysokim Zamku” Lem do najtrwalszych „obrazów” swego dzieciństwa zalicza sklep z zabawkami Kłaftena oraz stukot kopyt końskich na drewnianej kostce, którą wyłożona była jezdnia między Uniwersytetem a Ogrodem Jezuickim. Ja też, mimo że w przeciwieństwie do Lema nie lubiłem Ogrodu Jezuickiego. I byłoby nieprawdą, gdybym powiedział, że wspomniane przed chwilą wydarzenia z Brajerowskiej, Filipkówki czy Podzamcza pamiętam silniej od owego stukotu kopyt po drewnianej jezdni. Co gorsza, na nic bym tego stukotu kopyt nie zamienił. Było i jest w tym coś cudownego, niezwykłego. Pięćdziesiąt lat XX wieku i kopyta końskie na drewnianej jezdni! A wywózki są w XX wieku normalne i nie ma w nich niczego cudownego. O ile wiem, jako sposób rozwiązywania problemów politycznych wywózki stosowali Rzymianie (po zburzeniu Świątyni i w sześćdziesiąt lat potem, po upadku powstania Bar Kochby) i zupełnie niezależnie od nich, w XII i XIII wieku Mongołowie. Co prawda Rzymianie wymyślili jeszcze parę innych rzeczy, zaś Mongołów nie chciałbym obrażać niestosownymi porównaniami... Zresztą historia jest kiepską pocieszycielką wywożonych. Więc wracam do piątku.

VII

Nie wiem jakby to miało o mnie świadczyć, ale lubiłem swoją szkołę.

Jedyną koleżanką szkolną, którą udało mi się spotkać po wojnie jest Maja. Niedawno widzieliśmy się na jakimś zebraniu w auditorium maximum gmachu fizyki. Kiedy po zabranii głosu wróciłem na miejsce, Maja odwróciła się ku mnie i powiedziała: nie przynosisz wstydu szkole im. Strzałkowskiej.

Mam nadzieję, że w sumie ta nieistniejąca szkoła nie potępi mnie.

Sklep Mincerki był nieodłączny od szkoły. Rączki, stalówki, zeszyty, cyrkle, kredki, raderki. No i „Świat Przygód”, „Karuzela”, „Harry Dickson”, „Lord Lister”, „Sierżant King z Królewskiej Konnej”. Mincerka pozwalała przeglądać te skarby bez obowiązku kupowania. Może nas lubiła, może wiedziała, że i tak wyjdzie na swoje, może i jedno i drugie. Sklep Mincerki był swoistym klubem jedenasto- i dwunastolatków. Jedynym klubem towarzyskim, do jakiego udało mi się należeć.

I rodzice, i szkoła zwalczali te lektury (słowa komiks jeszcze nie znano; zresztą były to nie tylko komiksy). Ale prawdę mówiąc, niemrawo. Najpewniej i rodzice i nauczyciele sądzili, że lektura „Harry Dicksona” jest stratą czasu, ale ich upomnienia pełne były rezygnacji. Wiedzieli, że tej bitwy z połączonymi siłami Mincerki i „Lorda Listera” nie wygrają.

Z Mincerką wiąże się jedno bardzo silne i ważne wspomnienie.

Po głośnym przemówieniu Sławoja, w którym użył on osławionego zwrotu „bojkot gospodarczy — owszem”, kuratorium najwidoczniej kazało — mówiąc dzisiejszym językiem — przemieścić je do szkół. W mojej klasie zadanie to przypadło w udziale naszej pani od polskiego.

Pani Terlecka była jedyną prawdziwą nauczycielką, jaką miałem w życiu. Przed tamtą wojną była w PPS-D, potem w P.O.W. Często prowadziła nas do dworku, w którym zatrzymywał się Piłsudski jako komendant Strzelca. Nie pamiętam już, czy dworek ten należał kiedyś do rodziny jej męża, czy też do jej rodziców. Dla niej te wycieczki miały zapewne charakter pielgrzymki do sanktuarium bohaterskiej młodości. Ale ponieważ nie robiła tego z namaszczeniem (jak się rzekło, była znakomitym pedagogiem), więc lubiliśmy te wyprawy, het w górę ulicą Zieloną i potem gdzieś w stronę parku Żelazna Woda, właściwie za miasto.

Otóż przemówienie pani Terleckiej o bojkocie gospodarczym Żydów było kompletnym niewypałem. Nasza biedna pani wiła

się nieporadnie. A ja po raz pierwszy w życiu doznałem owego straszego uczucia dziecięco-młodzieżowego wstydu za osobę dorosłą, którą się kocha lub szanuje. (Opisał to Salinger, w którymś z opowiadań o Franny i Zooey).

Właśnie przy okazji tego bojkotu padło nazwisko Mincerki, choć wcale nie wiem czy była ona „z Niemców w szlafmocy”, czy też „miała cadyka w rodzie”. Myślę, że pani Terlecka też tego nie wiedziała.

No i tyle. Gmach szkoły stoi i nawet mieści się w nim szkoła. A sklepu Mincerki nie ma.

VIII

Może jednak coś dodam.

Dzieciństwo spędziłem w świecie, w którym istnienie antysemityzmu było czymś w pewnym sensie normalnym. Ale był to też świat, który uznawał prawo do inności. Moi koledzy-chrześcijanie nigdy nie telefonowali do mnie w sobotę czy w święta żydowskie, podobnie jak ja nie dzwoniłem do nich w niedzielę, czy w dniu Bożego Ciała. I widzę w tym dowód wzajemnego szacunku, a nie dyskryminacji.

Wiedza o istnieniu antysemityzmu miała różne skutki. W tym również zabawne.

Uczyłem się dobrze i bez trudu. Ale jedynym przedmiotem mojej troski było mieć jedynekę z gimnastyki. Jedynekę, tzn. bardzo dobrze. Bo jeśli źle gimnastykował się czy partaczył w futbolu, powiedzmy, Tadzio T., znaczyło to tyle jedynie, że Tadzio jest ciapa. Ale gdybym źle gimnastykował się ja... O, to inna sprawa. Grałem w nożną czy w dwa ognie z jakimś niejasnym poczuciem, że kopię i biegam za zbiorowość, za którą czuję się odpowiedzialny. I miałem jedynekę z gimnastyki. Co sobie po dziś dzień chwalebę. (Dbałem też o to, by nie mieć „bardzo dobrze” z zachowania, bo to znaczyłoby, że jestem prymusem).

I historyjka, którą opowiedział mi Gucio Syberyjski, kiedy w sobotę poszliśmy na Zamarstynów, gdzie pokazał mi swój dom i swoją — piątą — budę.

Syn dyrektora Guciwego gimnazjum był ONR-owcem. Paradował w dekle, z lagą i mieczykiem Chrobrego w klapie. Ktoś mu kiedyś powiedział: Ta pani Edku, ta wyjuł by pan ten parasul z klapy, bo jeszcze jakiś batiar panu przyleje.

Na co pan Edek odpowiedział: Ta mnie tu, na Zamarstynowi, wszyscy Żydzi znaju. Mnie tu nikt nie pozwoli dotknąć.

Różne rzeczy można o przedwojennych ONR-owcach powie-

dzieć, ale nie to, że byli odważni w pojedynkę. Preferowali taktykę dziesięciu na jednego.

O ile pamiętam, gatunek podróz uznaje coś takiego jak przypisy. Więc na zasadzie przypisu.

Pierwszym polskim uniwersytetem, na którym jako argument polityczny i symbol pojawiła się gruba laska był Uniwersytet Jana Kazimierza. Laskami zaczęła się posługiwać około 1910 roku młodzież narodowo-radykalna, tyle, że ukraińska. Bardzo byli tym wszyscy zgorzseni. Później niektórzy jakoś się przyzwyczaili, a laski zmieniły narodowość.

IX

Wieczory piątkowy i sobotni włóczyliśmy się z Guciem po mieście. W piątek ja go oprowadzałem po Romanowicza, Zielonej i Kochanowskiego z przyległościami. W sobotę on mnie po Zamarstynowie.

Od Gucia dowiedziałem się, że rabina Kahane, który uczył mnie w szkole religii, ukrywał w swoim pałacu metropolita Szeptycki.

Nie pamiętam już gdzie przeczytałem, że kiedy metropolita spotykał się ze swoim bratem-generałem, to rozmawiali po francusku.

Napisawszy poprzednie zdanie nagle uświadomiłem sobie, że władcyka łucki, który za papieża Klemensa VII podpisywał Unię, nazywał się Terlecki. Niewykluczone, że Ostap Terlecki, działacz ukraińsko-wiedeńskiej „Siczy” z lat 70-tych u.w. był bliskim krewnym męża „naszej pani”, kpt. Terleckiego, legionisty, który zginął, zdaje się, w 1920 roku.

Ten kawałek kuli ziemskiej zwariowany był akurat w taki sposób.

X

Iris. Pismo Literackie i Artystyczne. Organ Koła Literacko-Artystycznego. Ukazywał się w latach 1899 i 1900 najpierw jako miesięcznik, potem jako dwutygodnik.

Kazimierz Czapelski w korespondencji z Krakowa (*Iris* nr 4): „Czasopismo akademickie, założone w setną rocznicę urodzin Adama Mickiewicza, pt. *Młodość*, a więc organ uniwersytetu krakowskiego i lwowskiego, poważyło się w łamach swych wśród mniej lub więcej udałych artykułów zamieścić rzecz posła Ignacego Daszyńskiego « O stanowisku młodzieży akademickiej w społeczeństwie ». Nie poruszając treści artykułu przeciętnej war-

tości (obejmującego jednak doskonały ustęp o kulcie... nagiej duszy), sam fakt, iż młodzież dopuściła do współpracownictwa w swoim piśmie socjalnego demokrate, nie uznającego ojczyzny, narodowości — fakt ten daje sporo do myślenia, a zarazem wywołuje zupełnie uzasadnione oburzenie. Znaczna też część młodzieży, na umyślnie zwołanym wiecu zaprotestowała przeciw temu, uchwalając równocześnie, nieznaczną niestety większością, iż odtąd *Młodość* nie może się uważać za organ akademicki, co też wyrażono w ciepło napisanym z miłością ojczyzny, choć może nieco konserwatywnym zabarwionym liście otwartym”.

Jest sobota. Siedzę w bibliotece na Ossolińskich tyleż jako lektor, co jako skryba i myślę sobie: Marto, Tereso, Grażyno, straszne rzeczy działy się u was, w tym Krakowie! Jakież socjały, jakieś nagie dusze. Gdyby nie Czapelski, pewnie byśmy nie mieli ani ojczyzny, ani literatury.

XI

Niedziela była cudowna.

Wyspałem się.

Przed obiadem byłem w Ogrodzie Jezuickim, przy cerkwi św. Jura, na ul. Bema. Potem Gródecką w dół do Brajerowskiej. Potem Uniwersytet, Kościuszki, plac Smolki, 3 Maja.

Po obiedzie przez Akademicką, św. Mikołaja, Długosza do Ogrodu Botanicznego przy Starym Uniwersytecie. Był smutny, taki jakim go pamiętam i tylko znacznie mniejszy. Chwilę szukałem kamiennego kręgu, przy którym bawiłem się z Rutą. Jest. (Wśród cudownych, zmyślonych na ogół opowieści Piotra Rawicza, jest i taka o Rucie, o nim i o mnie. Nie potrafię jej powtórzyć, choćby dlatego, że fabuły Piotra są znakomicie przezeń odgrywane. Wspomniana przed chwilą jest wspiana i zupełnie nieprawdziwa. Prawdziwa natomiast jest jego opowieść o losie Ruty w latach 1942/1943. Prawdziwa i przerażająca; nawet dla ludzi mego pokolenia w tej części świata).

Snując się po ścieżkach Ogrodu Botanicznego przypomniałem sobie, że bywałem tu również po przeprowadzce na Kochanowskiego; głównie chyba w porze kasztanów. To tu przecież Waldek F., zwany Rudym Napoleonem, powierzył mi straszliwą tajemnicę: jeśli się chce by dziewczynka miała dziecko, należy ją położyć, mocno ugniatać boki i dać do picia mocz. Tak się właśnie uczenie wyraził: mocz.

Do dziś zachodzę w głowę, jak on na to wpadł.

Swoje przezwisko Waldek zawdzięczał temu, że był rudy i żywił bezmierny kult dla Cesarza, o którym, jak na ucznia

trzeciej czy czwartej klasy, wiedział bardzo dużo. Co prawda nie były to informacje tak zbijające z nóg, ani równie tajemnicze, jak jego wiedza o prokreacji.

Waldek był ofiarą swego przezwiska i kultu, jakim otaczał Napoleona. Raczej cherlawy, rzucał się w wir wszystkich szkolnych bijatyk. I obrywał. Nie tylko od Andrzeja B. czy ode mnie, którzy byliśmy najsilniejsi w klasie, ale od wszystkich, z wyjątkiem małego Wojtka J. Żaden z nas nie był na tyle inteligentny by domyśleć się, że Waldek był naprawdę bohaterem. Ruszał do bójki wiedząc, że dostanie, ale wiodła go, silniejsza od tej wiedzy, dziecięca wizja mostu Arcole.

XII

Przez Supińskiego w dół do zbiegu Pełczyńskiej, Zyblikiewicza, Stryjskiej, Jabłonowskich i św. Zofii.

Caracciola na czerwonym Bugatti.

Musiąłem wówczas mieć mniej niż pięć lat, bo była ze mną nie żadna guwernantka, lecz ukochana niania o cudownym imieniu panna Buzia. Z Brodów.

Więc właśnie tu, pod opieką panny Buzi, z balkonu jednego z domów przy placu św. Zofii oglądałem wyścigi samochodowe. Jedyne jakie widziałem w życiu. A i tego widziałem niewiele. Tyle co między słupkami balkonu. Pamiętam ryk motorów, to że wozy wypadały z Pełczyńskiej i skręcały w Stryjską. Ale najsilniej w pamięci utkwiło mi zdanie: Caracciola na czerwonym Bugatti.

Di Di, moja uczona koleżanka, co wielbi Freuda i Bachtina, pewnie by znalazła w tym jakiś klucz i wyjaśniła jaką tajemnicę. Ale ja myślę, że to jest tak jak w „Dunazadgadzie” Bartha: klucz do skarbu jest skarbem. Nie ma w tym żadnej tajemnicy, prócz czystego zachwyty dziwne brzmiącymi słowami: Caracciola na czerwonym Bugatti. I żadnej wiedzy prócz tej, że do takich zachwytyw zdolne jest czteroletnie dziecko.

XIII

W górę ulicą Stryjską ku temu wejściu do parku, od którego skręcało się w lewo do piaskownicy. Za piaskownicą ciągnęła się zawsze cienista aleja, gdzie graliśmy w doglido, albo sczyrykami w kraje.

(Mój zdumiony po dziś dzień zachwyty, kiedy okazało się, że mama świetnie gra w hacce. Gdzie i kiedy się nauczyła? Na

jakimś podwórku zamożnej, żydowskiej dzielnicy Stanisławowa? W *Hochschule für Mädchen*, do której nie mogła długo uczęszczać, bo przecież wyszła za męża za ojca, mając szesnaście lat?).

Jest i piaskownica i aleja. A w dole staw. Potem obok pomnika Kilińskiego do piaskownicy na przeciwległym zboczu i w górę na plac Powystawowy. Górna część ulicy św. Zofii (gdzieś tu była pętla tramwajowa, ale jej nie ma) i boczną uliczką w lewo. Wertepy, resztki lasu, niemal chałupy, prawie wille. I jest: Żelazna Woda.

Żelazna Woda. Opaleni zawodnicy mistrza miasta — Czarnych, szmer podziwu, gdy na basen wchodziła 14-letnia chyba wówczas Basia Bittnerówna. Ale przede wszystkim pływanie. I zawody: kto dłużej wytrzyma pod wodą. Mój rekord — 81 sekund.

Robi się już ciemno. Poszedłem jednak na Dwernickiego pod gmach VIII budy, a potem znowu pod górę. Tu gdzieś powinien być dworek, o którym wspominałem. I w tej samej okolicy kąpielisko Zielone Oko. To wszystko nazywało się Snopkówka. Dla wtajemniczonych topografia była dokładniejsza: jary i wertepy Fulipkówki, Kwiatkówki. Ale jest tylko nowy park. Choć nie — zostały jakieś resztki wertepów, tyle że w mesztach nie przejdę po tym błocie. Jest ścieżka. I w tym kierunku musi być Zielona rogatka. Jakaś szeroka ulica. Prawda, Gucio mówił mi, że Zieloną przedłużono i że zbudowano nowe osiedla. Więc w dół. I to musi, musi być Tarnowskiego. Zgadza się.

XIV

Tak się złożyło, że większość tego co zwiedzałem w Europie, zwiedzałem z Kosią. Ale w paru pięknych miejscach byłem sam. W Atenach, w Jerozolimie, w l'Argentiere. Sam byłem pierwszy raz we Wiedniu i w Holandii. Sam zjeżdżałem z Le Grand Monté i w pewnym sensie sam z Aiguille du Midi. W pewnym sensie, bo tak naprawdę, to samoczwart z przewodnikiem.

Czasami, na przykład w Delfach, myślałem sobie z kim bym tu posiedział i pogadał. Kiedy indziej, na przykład na przyładku Sunion, do głowy mi nie przyszło, by znaleźć się w czymkolwiek towarzystwie.

Idąc od Żelaznej Wody w górę i dalej przez Zieloną i Tarnowskiego do miasta zastanawiałem się czy chciałbym tu być z kimś. Myślałem też o tym w ciągu następnych dni i w końcu. I w końcu doszedłem do wniosku, że nie chciałbym tu i teraz być inaczej niż sam.

Och, oczywiście, przyjechałbym tu jeszcze raz; przede wszyst-

kim z Kosią. Ale mając już za sobą cały ten świat pierwszej podróży, którego nawet jej współczulność — jeśli wciąż trwa — nie mogłaby znieść.

Ta podróż jest moja i tylko moja. Wędrowki po mieście i po dzieciństwie. Godziny w bibliotece. Pisanie tego wszystkiego, nocą, w hotelu. Ale jeśli moje, własne, prywatne, to dlaczego piszę? Bo ja wiem? Głównie zapewne dlatego, że zasypiam bardzo późno, a jakoś nie wciągnąłem się w lekturę „Człowieka bez właściwości”.

Kiedys napiszę dwa pamflety (oczywiście nigdy nie napiszę):

— dlaczego nie należy ufać ludziom, którzy kontaktują się wyłącznie z arcydziełami;

— dlaczego można się nie zachwycać wszystkim, czym wypada się zachwycać.

Jeśli dobrze rozumiałem „Krytykę władzy sądenia”, to zawarta jest tam m.in. taka myśl: sądy estetyczne (w naszym, a nie Kantowskim rozumieniu terminu) są to sądy subiektywne, których cechą wyróżniającą jest m.in. to, że każdy wypowiadający dany sąd zachowuje się tak, jak gdyby był to sąd powszechnie obowiązujący.

Roman ZIMAND

(dokończenie nastąpi)

KONTRAST-OFFSET-DRUCK

BREITENSTEINSTRASSE 33 * D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031 / 77 77

Jedyna w RFN POLSKA DRUKARNIA WYDAWNICZA wykonuje:
książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty, karty świąteczne,
zaproszenia, odezwy, ulotki, blankiety

i tp. organizacyjne, społeczne, prywatne i reklamowe druki.

Skład elektroniczny — także „na wynos” —
zapewniający najwyższą jakość druku.

Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

Wiersze

Jerzy BENDYCH

ZEJŚCIE

Ojciec mi mówi, że człowiek pali się szybko —
przez jeden pacierz setkę można spalić i więcej —
wszystko zależy od wielkości pieca i od drwa.

Przy śniadaniu ojciec mówi o krematorium,
przy obiedzie ojciec mówi o krematorium,
przy kolacji ojciec mówi o krematorium.

Patrzy nieraz na mnie jak na kawałek sosny —
ty synu — powiada — słabo byś się palił —
w mięsie twoim jest dużo kości.

Lekarze powiedzieli, że musimy się jeszcze trochę pomęczyć —
ojciec w środku się pali — to nie potrwa długo.

Jerzy BENDYCH

Wrzesień 1965 r.
Mława

Jan DAROWSKI

WÓZ

Najlepsi — pod wozem
na wozie nawóz

jak zawsze
nie wiem jakim cudem
jeszcze Polska nie zginęła!

Jedzie jedzie ten wóz
w jarzmie wół niewoli
przez płaski kraj
przepite rzeki i przegrane lasy
przejechane życie

Tu i tam dymi
szara mierzwa przemysłowych miast

Tu i tam kona
warcząc wśród zaszachowanych pól
wieś pod sierścią siarki

Płaski kraj
pusty kraj
niemy postument wygnanej nadziei

Kukłę nam wiozą co połknęła kij
w kiju mądrość Wschodu
kukła krzyczy
kukła strzela batem
kukła wyprostuje
wszystko wszystkich raz na zawsze tutaj
a nie
to pod ziemią

którą oświeca przez mrożące mgły
raz pięść krwawa
raz posmarowana łapa

KWIATY

Czołgi mają i łzawiące gazy
a boją się kwiatów
z furią je depczą i na stosach palą

Słusznie!

Kto zna grzechy kwiatów?
Kto zmusi je milczeć?
I kto wie czym pachną
ich prawdziwe odbarwione sny?

Ja bym też się bał
gdybym nic nie miał prócz sierpa i młota
w życiu ku pomocy

bałbym się najbardziej
niezapominając

Jan DAROWSKI

Andrzej KORASZEWSKI

Witam się z tobą fugą bachową
przez sen twój mroczny,
witam się z tobą skrzypeczkami,
światełkiem skocznym.
Niech się spoi z twoim oddechem,
niech spłynie na ciebie wspomnieniem.
Witam się z tobą fugą bachową,
proszę — odpocznij.
Napij się, w ustach masz sucho,
Uśmiecham się nad tobą.
Wargami poruszasz głucho,
wiem, wiem, prosisz mnie — dotknij.
Chcesz trzymać moje palce w dłoni,
tak jest różnie.
I znów idziemy razem
ścieżką do morskiej latarni.

Całą noc wędrowały wskazówki
zegara na kościele,
i znowu mamy ranek,
już czasu jest niewiele.
Dziś pierwsze wstały ptaki,
właśnie dostałaś zastrzyk,
zjadłem śniadanie — ciastko babci,
miałem jeszcze nadzieję w niedzielę.
Minęła noc,
któżby uwierzył,
już wtorek.
Czekaj, poprawię ci koc
i łzę scałuję z powiek.

Andrzej KORASZEWSKI

Maria KURECKA

Z cyklu: „Portrety ze snów”

3. PORTRET Z RYBĄ

J. A.

Oto człowiek z rybią głową:
Skrzelami ciężko porusza,
Łuską próżno połyskuje,
Wąskim pyskiem sucho dyszy

Ręce łamie w przażeniu
Nogą tupie w niemej złości
I wybałuszonym okiem
Łypie jakby w sieć schwytyany

Oto człowiek z rybią głową
Każdy go ugodzić może:
Stąpa — przez powietrze płynie
Dźwiga na głowie milczenie.

7. PORTRET BEZ KRAWATA

Pamięci Arnolda S.

Prorok współczesny natchniony
W otoku włosów ognistych
Prawdy przedziwne prawi
Ku niebu wznosząc ręce.

W kompanii zacnej zasiądzie
I szklanką wina nie wzgardzi
Krawata tylko nie nosi
Rzecz niby błaha — lecz —

Nie zwiąże wstążki tej wąskiej
Bo na dniu jego pamięci
Tkwi obraz mocno zwężlony

Ojca, brata, powroźników
Z ubogiej gminy żydowskiej
A powieszonych w dzień biały

W małej mieścinie polskiej
 Nie w słońcu —
 W popiołów chmurze
 Wysoko
 Wysoko w górze
 Na sznurze
 na sznurze
 na sznurze
 Co pętlą
 zadławi świat

Maria KURECKA

KARDYNAŁ WYSZYŃSKI O WRONIE

17 stycznia 1954, niedziela

Siadła wrona na czole wyniosłej jodły. Spojrzała władczo wokół i wydała okrzyk zwycięstwa. Tej wrzaskliwej zjawie wydaje się prawdziwie, że jodła zawdzięcza jej wszystko: swój byt, wysmukłą piękność, trwałą zieleń, siłę w walce z wichrami. Godny podziwu jest ten tupet wrony. Wielka dobrodziejka stojącej cicho jodły. A jodła ani drgnie; zda się nie dostrzegać wrony; pogrążona w zadumie, wyciąga gałązki ramion swoich ku niebu. Znosi spokojnie wrzaskliwego gościa. Nic nie zmąci jej myśli, jej powagi, spokoju. Wszak tyle chmur już przeszło nad jej czołem, tyle ptaków przelotnych tu się zatrzymało. — Poszły jak ty pójdziesz. Nie twoje to miejsce, nie czujesz się pewna i dlatego krzykiem nadrabiasz brak męstwa. To ja wyrosłam z ziemi i trwam korzeniami w jej sercu. A ty, wędrowna chmuro, co rzucasz cień smutku na złociste me czoło, jesteś igraszką wichrów. Trzeba cię spokojnie wycierpieć. Wykraczesz swoją nudną, bezduszną, jakże ubogą pieśń — i odpłyniesz. Cóż zdołasz krzykiem zdziałać? Ja pozostanę, by trwać w skupieniu, by budować swoją cierpliwością, by przetrwać wichry i naloty, by spokojnie pięć się wzwyż. Słońca mi nie przysłomisz, sobą nie zachwycisz, celu mej wspinaczki nie zmienisz. Był las, nie było was — i nie będzie was, będzie las. Bajka? Nie bajka!

Kardynał Stefan Wyszyński: *Zapiski więzienne*, str. 53-54 (wyd. Editions du Dialogue. Paris, 1982).

Obserwatorium

Po rozwiązaniu ZLP

TREUHÄNDERZY POLSKIEJ LITERATURY

Prezydent m. st. Warszawy na podstawie prawa o stowarzyszeniach podjął decyzję o rozwiązaniu z dniem 19.08.1983 r. Związku Literatów Polskich. Decyzja została wręczona przedstawicielom władz ZLP.

OSWIADCZENIE

Zebrani w dniu 20 sierpnia 1983 roku w Warszawskim Klubie Księgarza pisarze polscy stwierdzają z ubolewaniem, że wielomiesięczne rozmowy przedstawicieli władz politycznych i państwowych z przedstawicielami władz Związku Literatów Polskich skończyły się niepowodzeniem. Wobec rozwiązania ZLP powstał stan szkodliwy dla polskiego środowiska literackiego. W tej sytuacji istnieje pilna potrzeba odtworzenia zawodowo-twórczej organizacji pisarzy, skupiającej wszystkich niezależnie od orientacji politycznej, światopoglądu i artystycznej praktyki, szanujących ustroj i prawa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Stowarzyszenie takie w sposób aktywny walczyć powinno o swobody twórcze, o materialne zabezpieczenie bytu pisarzy, o godność i rangę naszego zawodu w całości socjalistycznej kultury. Sytuacja pisarzy i piśmiennictwa polskiego wymaga bowiem pilnych i rozumnych decyzji.

W tym stanie rzeczy zebrani zgłaszają gotowość do podjęcia prac nad ponownym zorganizowaniem środowiska pisarskiego, apelując do wszystkich koleżanek i kolegów o przyłączenie się do ich inicjatywy

Za przyjęciem oświadczenia opowiedzieli się następujący pisarze: Halina Auderska, Aleksander Barszczewski, Wacław Biliński, Roman Bratny, Zdzis-

ław Brudnicki, Leopold Buczkowski, Zofia Bystrzycka, Alina Centkiewicz, Czesław Centkiewicz, Tadeusz Chrościelewski, Krzysztof Coriolan, Bohdan Czesko, Janusz Domagalik, Zbigniew Domino, Janina Dziarnowska, Feliks Fornalczyk, Krzysztof Gąsiorowski, Jan Maria Gisges, Teodor Goździkiewicz, Jan Górec-Rosiński, Zygmunt Greń, Jerzy Grzymowski, Jerzy Harasymowicz, Tadeusz Hołuj, Stanisław Horak, Tadeusz Jasiński, Jerzy Jesionowski, Tadeusz Kajan, Ireneusz Gwidon-Kamiński, Stanisław Kamiński, Julian Kawalec, Ryszard Kłyś, Bogusław Kogut, Janusz Koniusz, Jan Koprowski, Jerzy Kossak, Zbigniew Kościński, Kazimierz Koźniewski, Zbigniew Krempf, Jerzy Księski, Czesław Kuriata, Jan Kurowicki, Józef Lenart, Zygmunt Lichniak, Henryk Liwor-Piotrowski, Jan Łysakowski, Marcin Łysakowski, Władysław Machejek, Józef Ozga-Michalski, Zbigniew Nienacki, Karol Obidniak, Tadeusz Ostojcki, Hanna Ozogowska, Henryk Panas, Gabriela Pauszer-Klonowska, Jan Pierzchała, Janusz Przymanowski, Andrzej Przykowski, Marian Reniak, Janusz Roszko, Michał Rusinek, Wiesław Rustecki, Waclaw Sadkowski, Zbigniew Safian, Artur Sandauer, Igor Sikirycki, Jerzy Sokółowski, Włodzimierz Sokorski, Tadeusz Sokół, Stanisław Stanuch, Marian Stępień, Stanisław Sulima-Kamiński, Józef Szczawiński, Andrzej Twardochlib, Andrzej Wasilewski, Jerzy Wawrzak, Marek Wawrzekiewicz, Jerzy Wittlin, Zygmunt Wójcik, Stanisław Zieliński, Stanisław Żałuski.

Do tej grupy „inicjatywnej” dołączyły następujące osoby:

Maria Aluchna-Emelianow, Wiesław Andrzejewski, Zdzisław Antolski, Leszek Bakula, Agnieszka Barłóg, Bogdan Bartnikowski, Andrzej Baszkowski, Bazyle Białokozowicz, Anna Bidwell, George Bidwell, Józef Bińczak, Ryszard Bińkowski, Karol Olgierd Borchardt, Stanisław Chaciński, Dorota Chrościelewska, Honorata Chrościelewska, Czesław Czerniawski, Jan Czykwin, Eugeniusz Daszkowski, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Barbara Dohnalik, Irena Dowgielewicz, Zygmunt Flis, Henryk Gała, Andrzej Gerłowski, Jan Goczół, Leon Gomolicki, Helena Gruszczyńska-Dębska, Henryk Hartenberg, Eugeniusz Iwanicki, Henryk Jachimowski, Wiesław Jazdyński, Ryszard Jegorow, Zbigniew Jerzyna, Romuald Karaś, Zbigniew Kiwka, Józef M. Konowicz, Edward Kopczyński, Alfred Kowalkowski, Kazimierz Kowalski, Ryszard Kornacki, Henryk J. Kozak, Sławomir Kryska, Włodzimierz Krzemiński, Janusz Krzemiński, Zbigniew Kuchowicz, Edward Kurowski, Erazm Kuźma, Mirosław Kuźniak, Adolf Lekki, Ryszard Liskowacki, Hieronim Michalski, Ryszard Miernik, Andrzej Mikołajewski, Zygmunt Mikulski, Aleksander Minkowski, Michał Miśniorny, Hanna Muszyńska-Hoffmanowa, Barbara Nawrocka-Dońska, Stanisław Nyczaj, Longin Jan Okoń, Alicja Okońska, Władysław Orłowski, Tadeusz Papier, Jan Piepka, Henryk Pustkowski, Jerzy Putrament, Stanisław Rogala, Wiesław Rogowski, Władysław Rymkiewicz, Dionizy Sidorski, Janusz Skoszkiewicz, Włodzimierz Słobodnik, Eleonora Słobodnikowa, Bronisław Słomka, Władysław Strzelecki, Bernard Sztajnert, Edward Szuster, Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, Wilhelm Szewczyk, Kazimierz Śladowski, Czesław Ślązak, Roman Śliwonik, Ludwik Świerzawski, Maria Tomaszewska, Marian Turwid, Irena Tuwim, Jerzy Waleńczyk, Monika Warneńska, Wiktor Welcz, Jerzy Wilmański, Aleksander Wojciechowski, Janusz Wolniewicz, Józef Wójcicki, Marian Yoph-Zabiński, Zygmunt Zeidler-Zborowski, Janusz Zernicki, Tadeusz Żółciński, Leszek Żuliński i Andrzej Żurowski.

Kolejną aprobatę dla przyjętego w oświadczeniu stanowiska zgłosili następujący literaci:

Eugeniusz Banaszczyk, Maria Bartman-Suszyńska, Tadeusz Becela, Włodzimierz Blatton-Segal, Władysław Bochenek, Lech Borski, Stanisław Broszkiewicz, Lech Budrecki, Leszek Bugajski, Tadeusz Chudy, Jerzy Czajkowski, Ryszard Danecki, Zbigniew Dolecki, Władysław Dunarowski, Mieczysław Działek, Ryszard Dżaman, Tadeusz Fangrat, Lesław Furmaga, Henryk Gaworski, Stanisław Goszczurny, Ewa Grabowska, Jerzy Roman Jaglarz, Jerzy Jasiński, Wit Jaworski, Jacek Kajtoch, Anna Kajtochowa, Jan Kasak, Wojciech Kawiński, Adam Konarzewski, Nina Kracherowa, Edmund Kosiarz, Jacek Kotlicz, Jerzy Lovell, Anna Łajming, Władysław Łazuka, Dionizy Maliszewski, Jan Marszałek, Leszek Maruta, Józef Maśliński, Jan Meysztowicz, Stanisław Mioduszewski, Józef Narkowicz, Witold Niedźwiedzki, Józef Olszewski, Bohdan Petecki, Janina Preger, Kazimierz Przytocki, Jerzy Pytlakowski, Maria Rosińska, Leopold Rybarski, Roman Samsel, Jan Sawaszkiwicz, Sławomir Sierecki, Krystyna Siesicka, Albin Siekierski, Marek Sołtysik, Krzysztof K. Stolz, Konrad Strzelecki, Jan Alfred Szczepański, Maria Szczepańska, Seweryna Szmaglewska, Ireneusz Szmidt, Olgierd Terlecki, Janusz Termer, Andrzej Krzysztof Torbus, Tadeusz Urgacz, Saturnina Wadecka, Leon Wantuła, Maria Wełna-Klonowska, Ryszard Wojna i Bogdan Wrocławski.

PROTEST CZŁONKÓW ZLP ZNAJDUJĄCYCH SIĘ NA ZACHODZIE

Szeroko rozesłany do międzynarodowych organizacji kulturalnych podpisali:

Janusz Anderman, Stanisław Barańczak, Władysław Bartoszewski, Ewa Bienkowska, Jacek Bierezin, Kazimierz Brandys, Andrzej Dobosz, Janusz Głowacki, Wojciech Karpiński, Leszek Kołakowski, Jan Kott, Anka Kowalska, Irena Krzywicka, Maria Kurecka, Irena Lewandowska, Czesław Miłosz, Sławomir Mrozek, Zdzisław Najder, Maria Ochab, Włodzimierz Odojewski, Krzysztof Pomian, Jerzy Pomianowski, Leszek Szaruga, Witold Wirpsza, Jacek Woźniakowski, Adam Zagajewski.

OŚWIADCZENIE ZWIĄZKU PISARZY POLSKICH NA OBCZYŹNIE

Protestując przeciw rozwiązaniu ZLP Związek Pisarzy w swym oświadczeniu podpisanym przez prezesa J. Garlińskiego i ks. J. Mirewicza T.J., stwierdza w zakończeniu:

„Nie da to jednak spodziewanych rezultatów i nie pozbawi polskiego narodu prawdziwej, wolnej literatury. Kilkuset polskich pisarzy, zamieszkających w wolnym świecie i zrzeszonych przeważnie w naszym Związku, kontynuować będzie ze wzmoczoną siłą własną twórczość i wzbogacać polską kulturę.

Tak było za czasów zaborów i najwyższych wlotów wielkich polskich pisarzy, tworzących poza krajem, tak będzie i teraz.

Zaborcy, okupanci i dyktatorzy przemijają, pozostają zdobycze kultury, która z najcięższych doświadczeń wychodzi zwycięsko”.

Archiwum polityczne

Czy Zachód przetrwa do roku 1984?

I

W ostatnich latach zaznaczył się na Zachodzie łatwo dostrzegalny spadek popularności ideologii komunistycznej i partii ją głoszących. Dowodzą tego chociażby wyniki wyborów w poszczególnych państwach (Francja, RFN, Wielka Brytania, nawet Włochy) — coraz mniej korzystne dla lokalnych kompartii, bez względu zresztą na ich wielkość. Równocześnie jednak świat wszedł w fazę przygotowaną tzw. „procesem odprężenia”, kiedy ustalały się kanoniczne — jak widać w tej chwili — zasady polityki Zachodu wobec bloku sowieckiego. Okazuje się zarazem, że powrót do *status quo ante* jest praktycznie niemożliwy, a próby zatrzymania jednostronnych tendencji politycznych są niezwyczajnie rzadkie oraz napotykają na opór opinii publicznej.

Pojawiły się także nowe elementy na scenie politycznej Zachodu, które odgrywają coraz istotniejszą rolę; różne ruchy, których wspólnym mianownikiem jest posługiwanie się frazeologią pokoju i rozbrojenia oraz skrajny antyamerykanizm. Tę nową atmosferę tworzą tzw. „zieloni”, ugrupowania antynuklearne, partie alternatywne, grupy feministek itp. Dla uproszczenia będę nazywał tutaj te organizacje „pacyfizmem”, co jest o tyle uzasadnione, że uczestniczą one w tzw. „ruchu pokoju”.

Należy przypuszczać, że ruchy pacyfistyczno-antyamerykańskie będą wywierały coraz większy wpływ na politykę Zachodu (zwłaszcza Europy Zachodniej) wobec obozu sowieckiego. Ponieważ rozwojowi ich towarzyszy ewolucja wielu tradycyjnych partii politycznych (głównie lewicowych) oraz reorientacja, a także dezorientacja opinii publicznej — wszystkie te czynniki będą w znacznym stopniu decydować o odpowiedzi na postawione w tytule pytanie.

II

Pozwolę sobie przypomnieć dwie tezy z mego artykułu o trzeciej wojnie światowej¹. *Primo*: podjęta przez Reagana próba powstrzymania ekspansji politycznej, ideologicznej i militarnej Związku Radzieckiego wydobyla na światło dzienne zasadnicze rozbieżności między Stanami Zjednoczonymi a Europą Zachodnią. Kilkanaście ostatnich miesięcy przyniosło — z jednej strony — wyraźne złagodzenie linii Waszyngtonu wobec Moskwy, z drugiej zaś — nieustającą w wielu państwach Zachodniej Europy krytykę polityki amerykańskiej wobec tak niewralgicznego punktu na mapie świata, jakim jest Ameryka Środkowa. Druga teza ze wspomnianego artykułu: Sowieci — dla politycznego podporządkowania Europy Zachodniej — dążą do zapewnienia sobie takiej przewagi militarnej, która umożliwi im skuteczny szantaż.

Zdolności sowieckiego szantażu wobec Zachodu przechodzą generalną próbę w związku z genewskimi rokowaniami w sprawie rakiet nuklearnych średniego zasięgu. Negocjacje te przyniosły sukces Sowiecom już w momencie ich rozpoczęcia. Wszelkie rozmowy prowadzone przez komunistów muszą przynieść im korzyść, bowiem podpisane umowy nie zobowiązują ich do niczego. Jednak w tę prawdę, wielokrotnie sprawdzoną empirycznie (także w dziedzinie zbrojeń), Zachód cały czas nie chce uwierzyć. Nie to jest jednak najważniejsze. Dzięki rokowaniom genewskim Sowieci potrafili — przy minimalnych kosztach własnych — stworzyć główny front swej wojny polityczno-propagandowej z Zachodem wewnątrz samego Zachodu.

Związek Radziecki ma przy tym w Europie Zachodniej wielu świadomych i nieświadomych sojuszników. Nie są to tylko ruchy pacyfistyczne; równie istotną rolę odgrywają zachodnie środki przekazu, które narzuciły opinii publicznej schemat fałszywej symetrii, co w tym wypadku jest tym bardziej przerażające, że gra toczy się o najwyższą stawkę. Z pierwszych stron gazet, z ekranów telewizyjnych, z głośników radiowych codziennie niemal atakują zachodnią opinię publiczną informacje typu: „Obie strony odrzuciły wzajemnie swe propozycje”, „Premier (prezydent, minister itp.) X zaapelował o większą elastyczność zarówno Moskwy, jak i Waszyngtonu”. Oświadczenia Reagana zestawia się z oświadczeniami Andropowa, przydając wypowiedziom obydwu jednakowy walor moralny i polityczny.

W sprawie negocjacji genewskich przyjęto zupełnie błędną optykę sugerującą, że oto zasiedli do stołu rozmów dwaj partnerzy, których wspólną troską jest zawarcie kompromisu gwarantującego bezpieczeństwo świata. Fałsz takiego rozumowania — chociażby z logicznego punktu widzenia — wydaje się ewidentny dla bardzo wielu powodów. Wymieńmy chociażby cztery:

1. „Wynik trzeciej wojny światowej”, *Kultura* nr 4/415, 1982.

1^o) Celem Związku Sowieckiego jest utrzymanie przewagi nuklearnej, celem Zachodu — równowaga nuklearna;

2^o) Związek Sowiecki posiada rakiety nuklearne średniego zasięgu wycelowane w Europę Zachodnią, ta zaś nie dysponuje ani odpowiednimi środkami obrony, ani odstraszania;

3^o) Celem ZSSR jest zniszczenie Zachodu, czego zresztą sowiecka ideologia nigdy nie ukrywała;

4^o) Intencją Stanów Zjednoczonych w rozmowach genewskich jest zapewnienie bezpieczeństwa Europie Zachodniej, która obecnie stanowi cel dla sowieckich SS-20.

Hałaśliwa propaganda pacyfistów i bardziej lub mniej świadoma dezinformacja środków przekazu doprowadziły do specyficznego zakamuflowania istotnych problemów stanowiących groźbę dla przyszłości. Nagromadzone do tej pory ilości broni masowej zagłady wystarczyłyby do wielokrotnego unicestwienia życia na Ziemi. W tej sytuacji — gdy dawno przekroczono już próg krytyczny — sto czy dwieście rakiet więcej lub mniej nie odgrywa żadnej roli, czy raczej odgrywa rolę czysto polityczną. I dalej: ruch pacyfistyczny zdołał osiągnąć to, że w tej chwili dla państw Europy Zachodniej (zwłaszcza RFN) największym problemem nie jest zagrożenie nuklearne ze strony Sowietów, lecz sama możliwość zainstalowania rakiet amerykańskich oraz skutki polityczne i społeczne, jakie to przedsięwzięcie wywoła.

Większość ludzi na Zachodzie zdaje się sądzić, że realizacja planów obronnych NATO spowoduje wybuch wojny nuklearnej natychmiast po zainstalowaniu pierwszej amerykańskiej rakiety. Uzbrojony w logikę szachisty i znajomość psychologii przeciwnika, Andropow oświadczał w odpowiednich momentach, że Związek Sowiecki będzie zmuszony podjąć odpowiednie kroki w wypadku rozmieszczenia rakiet amerykańskich, że zainstalowanie tych pocisków zwiększy możliwość konfliktu atomowego i że RFN wystawi się na szczególne niebezpieczeństwo (co zresztą w tym kraju wywołało silny rezonans). Wypowiedzi te stawały się natychmiast *front page news* w zachodniej prasie.

Istniejący na Zachodzie jednostronny nacisk rozbrojeniowy w połączeniu z niezmiennym stanowiskiem sowieckim doprowadził do tego, że w Genewie — jak to ujął George Shultz — Amerykanie negocjują sami ze sobą. Każde ustępstwo ze strony Stanów Zjednoczonych kwitowane było przez ruchy pacyfistyczne wzmożeniem antyamerykańskich nacisków. „Opcja O” prezydenta Reagana (jedyny plan wyeliminowania pocisków nuklearnych średniego zasięgu z Europy) jakoś dziwnie nie spotkała się z poparciem pacyfistów.

I wreszcie: Genewa i rozpoczynająca się w RFN „gorąca jesień” (po której zapewne nastanie równie gorąca zima) kamufluje zasadniczą stawkę w całej grze, którą jest polityczne podporządkowanie Europy Zachodniej Związkowi Sowieckiemu. Jeśli okaże się, że Europa nie jest w stanie zrealizować własnych decyzji obronnych, służących jej

bezpieczeństwu — cel Sowietów zostanie osiągnięty. Kwestia ta rozstrzygnie się na linii frontu przebiegającej wewnątrz Zachodu, jednak już obecnie większym problemem dla Europy Zachodniej jest wola obrony Amerykanów niż sowiecka gotowość agresji.

III

Głównym sojusznikiem Sowietów na froncie wewnątrz zachodnim są ruchy „pacyfistyczne” oraz popierające je organizacje i instytucje rozmaitej maści i proveniencji (od kościołów różnych wyznań po związki zawodowe). Stopniowo dołącza do nich część lewicowych partii politycznych; przypadek SPD jest tu z wielu względów najbardziej symptomatyczny i poświęcę mu jeszcze kilka uwag.

Pacyfiści, „zieloni” i ich sojusznicy stosują niemal wyłącznie akcje wysoce spektakularne (od marszów, demonstracji i pikiet po czynne napaści na swych przeciwników politycznych), co automatycznie daje im przewagę w stosunku do partii politycznych, posługujących się konwencjonalnymi metodami działania. Rzecz jasna akcje pacyfistów i towarzysząca im reklama zwiększają skuteczność presji wywieranej na opinię publiczną. Zresztą tę ostatnią — ze zrozumiałych względów — łatwiej mobilizować wokół hasła „pokój” niż wokół celów związanych ze zbrojeniami.

Niestety tak się dzieje, że masowa informacja zajmuje się przede wszystkim właśnie hasłami, a nie głębszą analizą ideologii ruchu pacyfistycznego i jego celów politycznych. Zupełnym nieporozumieniem jest powszechne niemal nazywanie zachodniemieckich „zielonych” „partią ochrony środowiska”. W rzeczywistości hasła *Umweltschutzu* służą wyłącznie jako kamuflaż ich rzeczywistego celu, którym jest sparaliżowanie mechanizmów demokracji parlamentarnej. W państwie praworządnym, jak RFN, nie trzeba zakładać partii politycznej, aby zająć się problemem zniszczenia lasów. Zupełnie zapomina się, że w Niemczech Zachodnich istnieje partia ochrony środowiska (tzw. *reine Ekologen*), która w ostatnich wyborach zdobyła około 20 tysięcy głosów. Wynika z tego jasno, że 5% obywateli RFN, którzy oddali swe głosy na „zielonych” nie zrobiło tego z pobudek ekologicznych.

Ruch pacyfistów czy „zielonych” określa się często mianem „naiwnych idealistów o dobrych intencjach”. Tymczasem tylko pojęcie naiwności może tu mieć racjonalne zastosowanie i to wyłącznie w bardzo wąskim zakresie; zaiste obraz bloku sowieckiego, jakim posługują się „zieloni”, jest szczytem infantylnizmu. Jednak ani w ideologii „zielonych” ani w ich celach politycznych nie potrafię doszukać się „szlachetnego idealizmu” czy „dobrych intencji”. Tak dziwnie się dzieje, że nie podejmuje się rzeczowej krytyki ruchu politycznego tylko dlatego, że w ideologii swej szermuje on hasłem „pokoju” czy „odprężenia”. Nie pierwszy raz w historii rodzi się ruch społeczny ze „szlachet-

na" ideologią, ale chyba nigdy dotychczas nie unikano z taką konsekwencją (i przy dużej dozie hipokryzji) postawienia pytania, jakie skutki przyniosłoby zdobycie władzy politycznej przez owych „szlachetnych” ideologów.

Nowe ruchy ideologiczne jak np. „zieloni” czy partie alternatywne są w znacznym stopniu następstwem rozczerwiania do komunizmu. Możemy jednak, jeśli tylko zechcemy, odnaleźć w nich szereg typowych cech ruchu politycznego podporządkowanego ideologii totalitarnej. Widzimy zatem utopijną wizję przyszłości; aby ją zrealizować, należy zmienić złe społeczeństwo kapitalistyczne. Koniecznym elementem ideologii totalitarnej jest manicheizm, z tym, że w wypadku „zielonych” i ich sojuszników jest to manicheizm nieco kaleki; biegunem zła jest znany i jasno zdefiniowany — to „kapitalizm”, biegunem dobra nie jest jednak ani komunistyczna utopia, ani „realny socjalizm”. Do realizacji utopii ma wieść niezbyt precyzyjnie opisana „trzecia droga” — między „kapitalizmem” a „socjalizmem”, która doprowadzi do stworzenia nowego społeczeństwa, jeśli nie doskonałego, to co najmniej o wiele lepszego niż to istniejące obecnie.

Wyznawcom ideologii nie jest potrzebna racjonalna diagnoza rzeczywistości, zastępuje ją bowiem ideologiczna fikcja. Zdumiewająca, ale i łatwa do wytłumaczenia, jest chociażby odporność pacyfistów na wymowę faktów. Język ideologii nie opisuje bowiem rzeczywistości, lecz jedynie kreuje fikcję. Już niejako w punkcie wyjścia znajdujemy elementarny fałsz — zestawienie „kapitalizmu” z „socjalizmem”. W języku naturalnym „kapitalizm” może oznaczać system gospodarki wolnorynkowej, w języku ideologii jest natomiast synonimem zła (uosabianego przez największe państwo kapitalistyczne — Stany Zjednoczone). Podobnie mówienie o „socjalizmie” skazuje na poruszanie się w obszarze ideologicznej fikcji.

Nie próbuję tu szczegółowo analizować ideologii „zielonych” czy omawiać książek, spełniających rolę programową tego ruchu. Ważniejsze jest wszelako wyraźne podkreślenie, że jego uczestnicy kierują się motywacją ideologiczną, dążeniem do zniszczenia „starego” i tworzenia „nowego”, do zmiany społeczeństwa (zamiar, którego realizacja przyniosła w efekcie najbardziej nie ludzki system w historii). Ta ideologizacja milionów ludzi na Zachodzie wydaje mi się większym problemem niż rola sowieckich agentów w ruchu pokojowym. Liczne przypadki ujawnienia powiązań finansowych pacyfistów z Moskwą czy demaskowania funkcjonariuszy KGB w „ruchu pokojowym” jakoś ani nie osłabiły jego dynamiki ani nie zmniejszyły liczebności.

Bardzo pouczające jest przyjrzenie się konkretnym akcjom pacyfistów; może to dać lepsze wyobrażenie o tym ruchu niż mówienie o „szlachetnych intencjach” czy „naiwnym idealizmie”.

Próbkę metod stosowanych przez „zielonych” dali ich wyborcy 18 maja, doprowadzając do rękoczynów w Bundestagu (fakt

bez precedensu w historii zachodniemieckiego parlamentaryzmu). Jak słusznie zauważył kanclerz Kohl, wraz z wejściem „zielonych” do Bundestagu forum to wzbogaciło się o nowy element — nienawiść. Parę tygodni później w Krefeld pacyfiści zaatakowali kamieniami samochód wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Busha. Warto przypomnieć ubiegłoroczną wizytę prezydenta Reagana w Berlinie Zachodnim, gdy miasto to na dwa dni zamieniło się w teren walk ulicznych pomiędzy zwolennikami „pacyfizmu”, „antyimperializmu” i „rozbrojenia” a policją. Pacyfistyczne manifestacje przypominają nierzadko sztafeta „gniewu ludu” w wydaniu komunistycznym z okresu zimnej wojny: nawet kukły i plakaty odznaczają się tym samym estetycznym „smakiem”, z tym, że Trumana i Churchilla zastąpili Reagan i Kohl.

Utopijny cel zielonych to nowe, lepsze społeczeństwo. Konkretny (i w pewnym stopniu możliwy do osiągnięcia) cel polityczny to sparaliżowanie mechanizmów demokracji parlamentarnej. Etykietka „szlachetnych intencji” chroni „zielonych” przed rzeczową i głębszą krytyką, która musiałaby wykazać skrajny brak tolerancji, pogardę dla zasad demokratycznych, postawę nienawiści i wreszcie ów żałosny poziom intelektualny, stanowiący mieszaninę ignorancji, lenistwa umysłowego i samooszustwa. Nie po raz pierwszy pokusa totalitarna ogarnia miliony ludzi i nie po raz pierwszy zachodnia demokracja okazuje wszystkie swe słabości, uniemożliwiające jej nawet samoobronę. I wreszcie nie po raz pierwszy sztandarowi intelektualności Zachodu odgrywają niechlubną rolę, firmując poczynania „ruchu pokoju”.

Oczywiście nie sposób przewidzieć, w jakim stopniu nowe ruchy ideologiczne na Zachodzie zdołają osiągnąć swe cele. Sprawa rakiet amerykańskich i gotowość Europy do obrony jest wypadkową procesu, który w ostatnich latach — wraz z pojawieniem się tzw. „ruchu pokojowego” — uległ wyraźnemu przyspieszeniu; myślę o rozbięciu jedności politycznej Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych.

Antyamerykanizm nie jest jakąś przejściową modą, wynika z samego faktu istnienia Stanów Zjednoczonych i rozmiarów ideologizacji młodych ludzi na Zachodzie. Jeśli przez „ideologizację” rozumiemy ów dziwny stan umysłu, który w miejsce rzeczywistości faktów podstawia pseudoreczywistość doktryny, to łatwo zauważyć, że podobny proces dokonuje się w szeregach niektórych partii uznawanych w zachodnich kategoriach pojęciowych za lewicowe. W dziedzinie konkretnych rozstrzygnięć politycznych partie te odegrają rzecz jasną ważniejszą rolę niż „ruch pacyfistyczny”.

Znamienna jest ewolucja SPD w Republice Federalnej Niemiec (najważniejszym państwie dla przyszłości Europy, z czego Sowieci doskonale zdają sobie sprawę). Porażka wyborcza wystarczyła tej partii do wystąpienia z jawnym antyamerykanizmem (w kampanii wyborczej powtarzano jeszcze zapewnienia o utrzymaniu sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi). W sferze ideo-

logii SPD stanęła przed wyborem: albo podjąć konfrontację z „pacyfistami”, albo skłonić się ku podnoszonemu przez nich hasłom i w ten sposób starać się odbudować swą pozycję. Wybrano tę drugą możliwość i nierzadkie są wypadki, gdy SPD wprost licytuje się z „zielonymi” w poszukiwaniu skutecznych metod niedopuszczenia do realizacji planów obronnych: NATO. Jeden z czołowych polityków SPD — Lafontaine — zaproponował strajk generalny; inny — Klose — oświadczył niedawno (25 sierpnia w wywiadzie dla *Frankfurter Allgemeine Zeitung*), że najważniejszym celem socjaldemokratów jest niedopuszczenie do zainstalowania w RFN raket amerykańskich, niezależnie od wyników rokowań w Genewie. Przewodniczący SPD Brandt poparł stanowisko Andropowa², domagające się włączenia do rozmów genewskich brytyjskiego i francuskiego potencjału obronnego. Jeśli przypomnimy sobie, że nie dalej niż przed czterema laty SPD była inicjatorem planu obronnego NATO (zwanego po niemiecku *Doppelbeschluss*), obecna linia tej partii wystawia jednoznaczne świadectwo jej wiarygodności politycznej.

Ideologiczny syndrom w SPD nie kończy się jednak na sprawach polityki obronnej NATO czy chłodnym stosunku tej partii do Parlamentu Europejskiego. Oto coraz częściej zachodni Niemcy socjaldemokraci odkrywają ideologiczne braterstwo z komunistycznymi dyktatorami. W kwietniu zainicjowano oficjalne kontakty między SPD a wschodniemiecką SED; delegacja socjaldemokratów pojechała do Berlina Wschodniego fetować razem ze wschodniemieckimi towarzyszami 100-lecie śmierci Marksa. Gdy kanclerz Kohl uczestniczył w szczycie w Williamsburgu, Hans-Jochen Vogel udał się na spotkanie z Honeckerem, zresztą ku zaskoczeniu obserwatorów politycznych. Delegacje SPD i „zielonych” pojechały do Nikaragui na urządzone przez miejscowy reżim obchody czwartej rocznicy „związków rewolucyjnych”.

2. Przed kilku dniami Andropow ogłosił gotowość rozmontowania części sowieckich pocisków SS-20, jeśli Europa Zachodnia nie zainstaluje raket amerykańskich. Równocześnie podtrzymał żądanie uwzględnienia w ewentualnym porozumieniu niezależnych arsenałów atomowych Francji i Wielkiej Brytanii. Sądząc z pierwszych zachodnich reakcji, i tym razem nie zrozumiemo sowieckiej gry. Adresatem oferty Andropowa nie jest Waszyngton lecz Europa Zachodnia, a celem propozycji szefa KPZS jest niedopuszczenie do rozmieszczenia raket amerykańskich, co ostatecznie przypieczętowałoby rozbięcie sojuszu między Zachodnią Europą a Ameryką. Równocześnie Sowieci wykazują znacznie większą „elastyczność” w rokowaniach na temat redukcji broni strategicznych, wiedząc dobrze, jak ogromne koszty ekonomiczne musieliby płacić za dalsze zbrojenia, konieczne do utrzymania obecnej przewagi nuklearnej nad Stanami Zjednoczonymi (w tej chwili wyraża się ona stosunkiem 3:1). Jakoś dziwnie mało uwagi poświęca się temu, że oferta Andropowa jest jaskrawym dowodem konsekwentnie powtarzanych przez Moskwę kłamstw; Sowieci twierdzili do tej pory, że między Wschodem a Zachodem istnieje równowaga w dziedzinie raket atomowych średniego zasięgu.

„Oferta” Andropowa posłużyła SPD do kolejnej krytyki stanowiska Waszyngtonu.

lucji”. I wreszcie SPD, a także frakcja „zielonych” wielokrotnie domagały się od rządu w Bonn wystąpienia z ostrą krytyką polityki Stanów Zjednoczonych w Ameryce Środkowej.

IV

Region ten jest kolejną linią frontu wojny Związku Sowieckiego z Zachodem, z tą różnicą, że wojna w Ameryce Środkowej jest bardziej „gorąca”, a jej ostatecznym celem jest okrążenie Stanów Zjednoczonych. Jestem jak najdalszy od sprowadzania genezy ruchów partyzanckich w Ameryce Środkowej do wyłącznej inspiracji sowieckiej. Jest niemalże odwrotnie; konflikty społeczne, które przeradzają się w bunty zbrojne, powodowane są brakiem wolności politycznych i permanentnym kryzysem gospodarczym. Rola Moskwy w tej części świata polega głównie na wykorzystywaniu lokalnych kryzysów dla własnych celów. Przykład Nikaragui jest tyleż pouczający co ponury, bowiem — jak się zdaje — Zachód nie jest w stanie zdać sobie sprawy z natury procesu dokonującego się w tym kraju. Do tego potrzebne byłoby zrozumienie sowietyzmu, którego Nikaragua jest tylko kolejnym wydaniem. Kraj ten — to klasyczny przykład powtórzenia paradygmatu bolszewizmu: podobnie jak w Rosji po obaleniu starego porządku, najlepiej zorganizowana i nie cofająca się przed użyciem żadnych metod grupa przejmuje władzę i konsekwentnie eliminuje wszystkich przeciwników politycznych, którzy do niedawna byli jeszcze jej sojusznikami. Junta Ortegi zdobywa władzę absolutną i stopniowo umacnia komunistyczną dyktaturę. To jednak dopiero początek analogii, a wydaje się, że ich listę można ciągnąć w nieskończoność; likwidacja wszelkich praw demokratycznych i wprowadzenie stanu wojennego to też powtórzenie operacji przeprowadzonej przez bolszewików (Jaruzelski wcale nie był pierwszy), zrujnowanie gospodarki (w niektórych jej działach za rządów sandynistów produkcja spadła o ponad 50%) i wprowadzenie racjonowania żywności (to też znamy). Przymusowe wysiedlenie Indian Miskito jest powtórzeniem losu Tatarów Krymskich. Podobnie jak w bloku sowieckim uruchomiono orwellowski mechanizm nieweryfikowalnych zagrożeń zewnętrznych, które mają uzasadniać terror stosowany wewnątrz kraju (w Związku Sowieckim stosowano psychozę „okrażenia”, w Nikaragui — psychozę „amerykańskiej interwencji”). I wreszcie jeszcze jedna symptomatyczna analogia: reżim typu sowieckiego, umocniwszy się we własnym państwie, rusza na podbój krajów sąsiednich. Władze Kostaryki (tej środkowoamerykańskiej Szwajcarii, w dodatku praktycznie bezbronnej, bo nie posiadającej własnej armii), które przez długi czas udzielały pomocy gospodarczej i politycznej reżimowi Ortegi, oświadczyły niedawno, że Nikaragua dąży do narzucenia przymocą komunizmu wszystkim krajom Ameryki Środkowej.

To, co stało się w Nikaragui, stać się musiało i można się

spodziewać, że analogiczny proces powtórzy się w kolejnych krajach Ameryki Środkowej. Ostatecznym celem Moskwy nie jest tylko sowietyzacja tego regionu, celem ostatecznym jest zniszczenie potęgi amerykańskiej. Obecnie Sowieci — przy poparciu większości państw Zachodu — umacniają zdobyte pozycje. Pomoc gospodarza udzielana Managui przez poszczególne kraje zachodnioeuropejskie osiąga w skali rocznej wartość od kilku do kilkunastu miliardów dolarów.

Lecz Waszyngton, świadom zaciskającej się pętli, nie ma nawet prawa do obrony. Podjęta przez Reagana próba powstrzymania ekspansji komunizmu traktowana jest jako „amerykański imperializm” i „awanturnictwo”. Tzw. „postępowa opinia” z furją atakuje fakt obecności w Salwadorze kilkudziesięciu amerykańskich ekspertów wojskowych. Obecności w Nikaragui kilkunastu tysięcy żołnierzy, politruków i czekistów z obozu sowieckiego po prostu się nie dostrzega. Nie dostrzega się również nieustannych wysiłków Waszyngtonu na rzecz demokratyzacji w państwach rządzonych przez militarne reżimy. Nie dostrzega się, bo nie można dostrzec; syndrom ideologii polega właśnie na niewidzeniu faktów.

V

Kiedy nastanie ów symboliczny rok 1984, gdy system totalitarny osiągnie panowanie nad całym światem? Sądzę, że odpowiedź na to pytanie zależy od rozwoju sytuacji na dwóch frontach, na których Sowieci prowadzą wojnę z Zachodem — na froncie wewnętrznym w Europie Zachodniej i zewnętrznym — w Ameryce Środkowej. W sferze konkretnych rozstrzygnięć politycznych oznaczać to będzie rozbitcie sojuszu Europy z Ameryką (mylnie zwane „neutralizacją” Europy Zachodniej) i włączenie obszaru Ameryki Środkowej do tzw. „obozu socjalistycznego”, co umożliwi Sowiecom militarne okrażenie Stanów Zjednoczonych. Istnieje znikoma szansa na powtórzenie sytuacji z początków lat 60-tych, gdy zdecydowana postawa Waszyngtonu zmusiła Chruszczowa do wycofania rakiet nuklearnych z Kuby. Dlatego też ekspansja sowiecka w Ameryce Środkowej może doprowadzić do otwartej wojny; w przyszłości jedyną alternatywą dla Stanów Zjednoczonych może być albo konieczność militarnej kontrakcji, albo zgoda na polityczną zależność od Moskwy. Odpowiedzialność za to ponosić będą ci, którzy dziś krytykują politykę Reagana i nie chcą zrozumieć lekcji nikaraguańskiej.

Rozstrzygnięcie na froncie zachodnioeuropejskim zależy będzie od wielu czynników. Poświęciłem tu tyle miejsca działalności pacyfistów czy „zielonych”, głównie z powodu „syndromu ideologicznego” charakteryzującego te ruchy. Ale bez wątpienia będą one odgrywać coraz donioślejszą rolę, chociażby z uwagi na czynnik biologiczny. Młodzież z zachodnich uniwersytetów, oblepionych antyreaganowskimi plakatami, stopniowo tworzyć będzie elity intelektualne i polityczne. I wreszcie presja rozbro-

jeniowo-pacyfistyczna już obecnie jest na tyle silna, że nawet politycy skłonni zrealizować decyzje obronne NATO biją się w związku z tym w piersi, niczym po popełnieniu śmiertelnego grzechu.

Wydawać by się mogło, że wyniki wyborów w RFN i Wielkiej Brytanii świadczą o wzmocnieniu jedności Europy Zachodniej i orientacji atlantyckiej. Jest to jednak wrażenie mylne; podobnie jest, gdy obserwujemy raptowne pobudzenie gruźlika w ostatniej, przedśmiertnej fazie choroby. Bez porównania łatwiej jest bowiem rozbić jedność Europy Zachodniej, niż ją wzmocnić. Zwycięstwa wyborcze torysów i CDU/CSU przyspieszyły proces ideowej radykalizacji partii lewicowych w Wielkiej Brytanii i RFN. Przywódca Labour Party w czasie kampanii przedwyborczej obiecywał w liście do Andropowa jednostronne rozbrojenie Wielkiej Brytanii w wypadku zwycięstwa swojej partii. SPD otwarcie mówi o wystąpieniu Niemiec Zachodnich z NATO. Jeśli dodamy do tego politykę socjalistycznego rządu Grecji (którego premier okazał się wiernym sojusznikiem Jaruzelskiego) i takiegoż rządu Hiszpanii — łatwo spostrzec, na jak wątpliwych fundamentach trzyma się Sojusz Atlantycki.

Ale przetrwanie Zachodu nie zależy od rozstrzygnięć militarnych i nie sowieckie pociski nuklearne stanowią największą groźbę (nikt zresztą nie zamierza ich wystrzelić). Przyszłość świata zależy od tego, czy ludzie tu, na Zachodzie, zrozumieją system sowiecki i przestaną przypisywać mu cechy, których posiadać on nie może.

Rok 1984 to data symboliczna i rzecz jasna nie wiadomo, kiedy on nastąpi. Nikt już jednak nie stawia pytania: czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?

Dziś jest pierwszy dzień września roku 1983 i w kraju gdzie mieszkam, — w Niemczech Zachodnich — setki tysięcy ludzi ruszyło w marszach protestacyjnych na amerykańskie bazy wojskowe. Po drugiej stronie muru „Volkspolizei” w kilka minut zlikwidowała kilkudziesięciuosobową demonstrację pokojową.

Rok 1984 nadchodzi, czas pracuje dla Sowieców.

Tomasz MIANOWICZ

P



NOWOŚĆ

KSIĘGARNIA
POLEMIKA

WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ

ANTYKWARIAT
49, RUE GAY LUSŒAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48

MÉTRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Medycyna w świecie współczesnym

Chcę umrzeć w domu...

KARTKI Z DZIENNIKA

„Nie mogę milczeć”

Lew Tołstoj.

„Ludzie ludziom zgotowali ten los”

Zofia Nałkowska, „Medaliony”.

Mojej Matce

15 października 1982

Dzień świętej Teresy. Imieniny babci. Wczoraj nieprzytomną przewieźliśmy ją do szpitala. Upadła w przedpokoju na podłogę. Musiała leżeć tam ze dwie godziny, zanim zostały otwarte drzwi. Możliwe, że wołała o pomoc, ale jedyni sąsiedzi to starsi ludzie — nie usłyszą nawet dzwonka do własnych drzwi. Pogotowie przyjechało po trzech godzinach od momentu, gdy zadzwoniliśmy. Stwierdzono ostre zapalenie płuc. W wieku osiemdziesięciu lat to prawie jednoznaczne z innym orzeczeniem. Natychmiast należało zabrać babcię do szpitala. Lekarz z pogotowia powiedział jednak, że brak miejsc. Matka zaczęła dzwonić do różnych znajomych lekarzy, do szpitali. Bezskutecznie. Dopiero, gdy za trzecim razem zadzwoniła do tego samego szpitala, zgodzono się.

Podchodzę z matką do starego, brudnego budynku, prawdopodobnie jeszcze z carskich czasów. Ze ścian opada tynk, w oknach potłuczone szyby. Tabliczka informacyjna: godziny wizyt od 15.00 do 18.00. Z portierni wychodzi stary mężczyzna w brudnej koszuli i krzyczy zachrypniętym z przepicia głosem:

— Przepustka! Gdzie przepustka?!

Żadnej przepustki oczywiście nie mamy. Moja matka tłumaczy mu, że przyszła do chorej, nieprzytomnej matki. Płacze.

— Przecież jest piętnaście po trzeciej — mówię — pora wizyt. Tu jest przecież wyraźnie napisane — i pokazuję tabliczkę.

— Mnie nic nie obchodzi. Mamy nowe przepisy. Przepustka musi być, a jak nie — to do widzenia! — krzyczy zachrypnięty portier.

Wsuwam mu do ręki dwadzieścia złotych. Odsuwa się i przepuszcza nas bez słowa. Po zabłoconej posadzce wchodzimy na pierwsze piętro. Na korytarzu stoją łóżka. Oddział porodowy. Z sali położonej najbliższej schodów dochodzą jęki i krzyki. Słychać ostry głos siostry:

— Jak zachodziłaś, to nie krzyczałaś! A teraz co mordę drzesz?

Idziemy na drugie piętro. Tu też stoją łóżka, na korytarzach, jedno ciasno przy drugim. W końcu odnajdujemy babcię. Leży nieprzytomna pod kroplówką. Nieruchome ręce zwisają bezwładnie z łóżka. Nadgarstki pokaleczone od źle wbitych igieł. Pościel podarta i brudna. Wargi spieczone. Matka szuka wzrokiem siostry albo salowej. Nie ma nikogo. Idę do sali obok. Jest tu jedna siostra. Proszę ją, by zwilżyła babci usta. Nie patrząc na mnie odpowiada z oburzeniem:

— Co innego mam do roboty. Ważniejsze sprawy. O, termometry roznosić muszę.

— Może więc zawoła pani kogoś innego?

— Nie ma nikogo innego! — rozdarła się kobieta. — Sobota jest. Wszyscy już poszli. Ja też zaraz idę.

— W takim razie niech mi pani da trochę gazy.

Ale gazy żadnej nie dostanę, bo magazynierka też już sobie poszła. Zresztą cały przydział na dzisiaj został wyczerpany. Idę więc do łazienki. Na podłodze czarna maź. Czuć moc. Z zepsutego kranu leje się woda. Umywalka czarna. Moczę w wodzie chusteczkę do nosa.

16 października 1982

Niedziela. Babcia nadal jest nieprzytomna. W niedzielę nie ma żadnego personelu. Jest zimno, wyłączono ogrzewanie. Od otwartego okna nad łóżkiem babci wieje. Odsuwamy łóżko. Usiłuję się wdrapać na parapet, by je zamknąć. Niestety bezskutecznie. Wewnętrzna rama jest całkowicie spaczona, a w zewnętrznej nie ma szyby. Zatykam szparę papierem toaletowym. Kobieta siedząca przy sąsiednim łóżku żali się:

— Ja tylko w niedzielę mogę przychodzić do mojej matki. Jestem na popołudniowej zmianie, a przecież tu i w tygodniu nikogo nie ma.

17 października 1982

Dzisiaj byliśmy u lekarza. Stan beznadziejny: zapalenie płuc i zapalenie pęcherza moczowego jednocześnie. Matka powtarza słowa lekarza:

— Dla niej i dla państwa byłoby lepiej, żeby umarła. Zresztą to kwestia godzin, najwyżej kilku dni.

Matka płacze. Idziemy do babci. Pod łóżkiem kałuża. Żadna z siostr ani z salowych nie chce podejść. Replika wciąż ta sama:

— Nie będę sobie teraz brudziła rąk!

Matka podchodzi do nowej salowej, które właśnie przechodzi przez korytarz. Jest to młoda kobieta o przyjemnej twarzy. Matka wsuwa jej delikatnie do ręki pięćset złotych. Salowa ogląda banknot i podchodzi do łóżka babci. Pomaga nam wytrzeć kałużę, przynosi świeżą pościel i opatrunki. Od leżenia w mokrej pościeli całe ciało babci pokryte jest ranami i odparzeniami. Każdą ranę trzeba smarować maścią lub obsypywać pabiamidem i obandażowywać. Mama prosi salową, by jutro, zanim przyjdziemy, zrobiła to samo. Salowa nic nie odpowiada i szybko odchodzi. Po jej odejściu kuśtyka w naszą stronę, opierając się na szcudle i na lasce, stara kobieta z amputowaną nogą:

— Po co pani jej tyle dała? To tylko za to, co dziś zrobiła! Jutro nic nie będzie robić. Za każdym razem trzeba dawać. A kto ma tyle pieniędzy!

18 października 1982

Babcia nadal leży na korytarzu, chociaż obiecywano nam dzisiaj miejsce na sali. Salowa rzeczywiście nic koło babci nie zrobiła. Trzeba było poprosić nową salową i uprzednio jej zapłacić. Stare, popękane i nieszczelne rurki i przewody od kropłówki wrzynają się babci w ręce, ale nowych brak w całym szpitalu, ba, nie ma ich ponoć w całej Warszawie i w całym kraju. Kropłówka działa nierównomiernie. Rany i odparzenia na ciele babci robią się coraz większe. Jest nieprzytomna, ale w krótkich momentach świadomości widać, że bardzo cierpi. Pani z sąsiedniego łóżka informuje nas, że wczoraj wieczorem

przechodzący przez korytarz ksiądz modlił się przy babci i namaścił ją Świętymi Olejami. A więc już koniec. Koniec, którego nikt nie jest w stanie zrozumieć!

19 października 1982

Miejsca na sali nadal nie ma. Powtarza się codzienny rytuał: salowa, pieniądze, zmiana pościeli, wycieranie podłogi. Pod innymi łózkami stoją kałuże moczu. Chore w mokrych pościelach jęczą. Nas stać jeszcze na zbytek. Mama przypomina słowa babci, które często nam powtarzała: „Chcę umrzeć w domu, w domu, nie w szpitalu. Tylko nie w szpitalu!”. Teraz dopiero zrozumiałem ich właściwy sens. Babcia jęczy. Musi strasznie cierpieć. Niewyraźnie bełkocze słowa. Mówi nawet coś po rosyjsku. Nas nie poznaje. Jej słów nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Zamawiamy do niej na noc salową. Ma przy niej czuć. Cena za jedną noc jest już stała: tysiąc złotych.

20 października 1982

Babcia jest wciąż na korytarzu. Dzisiaj odzyskała trochę przytomności. Na ułamki sekundy poznała nas. Uśmiechnęła się. Nie poznała tylko mojego kuzyna, który przyszedł razem z nami. Wzięła go za mojego ojca. Jest wpół do drugiej. Koło niektórych łóżek stoją tace z obiadem. Na talerzach leżą kurze skrzydełka, kartofle, jakaś przezroczyista zupa. Pytam się przechodzącej salowej, dlaczego babcia, która dziś mogłaby coś zjeść, nie dostała obiadu. Jest to stara kobieta o złych oczach. Wzruszyła ramionami i odeszła. Idę więc do kuchni. Stoją tu całe sterty brudnych, poobtlukiwanych talerzy, leżą pogięte i połamane sztucce. Z czarnego zlewu rozchodzi się smród. Zwracam się do tegiej kucharki w podartym fartuchu i proszę ją o obiad dla babci.

— A bo jej się dzisiaj nie należy — odpowiada prędko, nie patrząc mi w oczy.

— Dlaczego się nie należy? — pytam. — Dzisiaj właśnie odzyskała przytomność i może mogłaby coś zjeść!

Nic mi nie odpowiada. Rzuca wolno na talerz trochę kartofli. Ze stojących na oknie menażek wyjmuję kawałek kurzej piersi. Wracam z talerzem do babci. Karmimy ją. Zimne jedzenie nie smakuje jej. Dajemy jej do picia trochę soku z wyciśniętej, przyniesionej przez nas pomarańczy. Kobieta z amputowaną nogą

zbliża się znowu do nas. Nazywa się pani Gąsiorowska. Patrzy na wyciśniętą pomarańcz. Mówi do matki:

— Pani mamusia to ma dobrze. Do innych nikt nie przychodzi. Do mnie, na przykład, to nikt nie przyjdzie. Mąż zginął w powstaniu. Dzieci nie mam, rodziny też żadnej. O, proszę siostrę od tygodnia, by kupiła mi pomarańcz albo cytrynę i nic. Mówi, że nie ma. Może mi pani kupi? — i patrzy błagalnym wzrokiem.

Obiecujemy, że jutro przyniesiemy jej cytrynę. Oczywiście ze swoich zapasów.

21 października 1982

Dzisiaj jestem przy babci sam. Odłączono jej rano kroplówkę. Była potrzebna dla kogoś innego. Natychmiast znowu straciła przytomność. Przepompowywano jej krew, ale przytomności ponownie już nie odzyskała. Teraz leży znowu pod kroplówką. Ponieważ nikt jej w nocy nie przesuwają, odleżyny zrobiły się tak głębokie, że w niektóre można by wsadzić jabłko. Dzisiaj wycieram podłogę, zmieniam babci opatrunki i pościel przy pomocy pielęgniarki. Młody chłopak, studiuje medycynę, dorabia w szpitalu. Mówi mi otwarcie:

— Proszę pana, przecież wszyscy mówią, że tu teraz jest gorzej niż w czasie wojny, gorzej niż w szpitalu polowym w czasie powstania.

Nie miałem dzisiaj w domu pieniędzy. Daję mu za usługę papierosy, czekoladę i paczkę kawy. Myślę o ludziach, którzy nie mają co dawać. Jest pierwszym, który mi w tym szpitalu dziękuje.

Pani Gąsiorowska mówi, że bym nie brał już na noc do babci salowej.

— Przecież ona i tak nic przy niej nie robi. Śpi albo robi na drutach. Jak jęczy, to jej się wcale ruszyć nie chce. Nawet ust nie zwilży ani picia nie da. A dziś nad ranem to jej wcale nie było. Poszła sobie do domu. Płacicie państwo za nic.

Daję jej obiecaną cytrynę. Salową jednak na noc zamawiam.

22 października 1982

Dzisiaj mija tydzień. Lekarz twierdzi, że zapalenie płuc i zapalenie pęcherza moczowego zostały wyleczone. Organizm jest jednak bardzo osłabiony przez duże dawki antybiotyków w kroplówce. Mówi też, że babcia ma mocne serce. Na moje pytanie: „Czy są jakieś szanse...?” — nie odpowiada nic.

Daję mu butelkę koniaku. Mówi, że to niepotrzebne, ale bierze i szybko chowa do szafy.

Jesteśmy dzisiaj we troje: mama, siostra mamy z Wrocławia i ja. Przynieśliśmy swoją pościel, ręczniki, opatrunki, no i jak zwykle picie i jedzenie (to ostatnie na wszelki wypadek, bo babcia właściwie nie je). Chcemy zmierzyć babci temperaturę. Prosimy więc siostrę o termometr: najpierw ciocia, później ja. Bezskutecznie. W końcu mama idzie do niej z przyniesioną „zapasową” paczką angielskiego kakao. Wraca z termometrem. Temperatura jest wysoka. Jest godzina siódma. Musimy wychodzić. Gdy schodzimy po schodach, z kuchni wychodzą obładowane kobiety. Dźwigają torby, z których wystają bułki, słoiki z twarogiem, bańki i menażki.

23 października 1982

Po ośmiu dniach babcia została nareszcie przeniesiona na salę. Okna są tu też nieszczelne i trzeba je zatykać papierem i gazetami. Tak samo jak i na korytarzu trzeba to robić codziennie, bo rano salowe wietrzą, otwierają okna na oścież, wyrzucają gazety i papier, a później nie zamykają ich z powrotem. Łóżko babci się chwieje. Trzeba włożyć pod jedną nogę zwitek papieru.

Gdy stoję koło babci, podchodzi do mnie siwiutka, pomarszczona i strasznie chuda kobieta i woła wesoło:

— Eklerowa jestem. Bardzo mi miło. Zaraz będę tańczyć. Może pan ze mną zatańczy? Bo... bo ja nie mam nikogo — i płacze.

Biorę ją delikatnie pod rękę i odprowadzam do łóżka. Mówię przy tym:

— Niech się ciocia uspokoi. Wszystko będzie dobrze. Nie trzeba tańczyć, trzeba się położyć. Niech się ciocia położy!

Staruszka szarpie się i wyrwa:

— Jaka ja tam dla pana ciocia! Eklerowa jestem. Sama jestem. Nikogo nie mam — i znów płacze.

Na sali są głównie same stare kobiety. Większość z nich ma daleko posuniętą miażdżycę. Pani Eklerowa czeka na miejsce w zakładzie psychiatrycznym. Czeka od dwóch miesięcy.

24 października 1982

Znów jesteśmy we troje. Babcia nadal nieprzytomna. Chcemy dać jej pić, ale przyniesiony kubeczek z rurką zniknął. Widzę, że stoi na szafce pani Eklerowej. Podchodzę więc do niej:

— Pani wzięła chyba przez pomyłkę kubeczek babci — mówię i biorę go.

Staruszka patrzy na mnie zdziwiona, ale nie wyrывa mi go. Pyta tylko:

— A gdzie jest w takim razie mój? — bierze się pod boki i patrzy na mnie podejrzliwie.

— Pani takiego nie miała — mówię — pani może pić z normalnego.

— Jak to nie miałam?! Miałam taki sam — i szuka gwałtownie w łóżku, pod łóżkiem, w szafeczce nocnej, w końcu wchodzi pod sąsiednie łóżko, na którym leży nieprzytomna kobieta. Muszę ją stamtąd wyciągać, bo przy łóżku jest kroplówka. Boję się, że ją potrąci, zresztą sama nie dałaby rady wyjść. Wyrывa się. Trzeba ją wycierać, bo pod łóżkiem stoi kałuża moczu.

— Co mnie pan dotyka! — krzyczy.

Na sali stoi dwadzieścia łóżek, jedno przy drugim. Z niektórych dochodzą jęki. Nikt jednak nie podchodzi, bo nikogo z personelu nie ma.

Pani Gąsiorowska też tu została przeniesiona.

25 października 1982

Stan babci bez zmian. Jesteśmy we troje. Stały rytuał z salową. Później wycieramy babcię ręcznikami. Siostra mamy podaje jej picie. Modli się. Na sąsiednim łóżku leży kobieta z bardzo zaawansowaną chorobą Parkinsona. Siedzący przy niej mąż żali się:

— Jutro już wypisują. Mówią, że nie mają miejsc. Nie mogą dłużej trzymać. A przecież ona nic nie może sama zrobić. Jak upadnie, to sama się nie podniesie. A ja muszę iść do pracy. Nie stać mnie, by kogoś do niej wziąć!

Kobieta leżąca na łóżku w rogu jęczy. Prosi o wodę. Podchodzi do niej ze szklanką. Jest to dziewięćdziesięcioletnia staruszka. Cieniutkie rączki przywiązane ma bandażami do metalowych brzegów łóżka. Dziękuje mi skinieniem głowy.

Wychodząc z sali musimy przejść koło ogromnej kałuży. Ktoś zwymiotował. Pacjentki, które mogą chodzić, roznoszą to po całej sali.

W drzwiach zjawia się salowa z kolacją. Ma czerwone oczy, czuć od niej alkohol. Na kolację jest kawałek bułki, trochę marmolady i małeńka kosteczka masła.

26 października 1982

Babcia jakby troszeczkę odzyskiwała przytomność. Strasznie się męczy. Bola ją odparzenia. Należałoby zmieniać jej opatrunki kilka razy dziennie. Woła, że chce iść do ubikacji. Uspokajamy ją. Mama rozpuszcza na łyżeczkę środek znieczulający. Ostrożnie wlewa go jej do ust. Ja patrzę, czy siostra nie widzi.

Na sąsiednim łóżku na miejscu kobiety chorej na Parkinsona leży inna kobieta, trochę młodsza. Ma złośliwego raka. Jest już prawie w agonii. Krzyczy na siedzącego w jej nogach męża:

— Ty łajdaku! Po coś tu przyszedł? Idź sobie! Idź natychmiast precz! Precz! Ty cholero! Po coś wtedy do Lwowa jeździł?...

Mąż patrzy w ziemię. Milczy. Podchodzi pani Gąsiorowska i oparta na łaskach mówi rzeczowo:

— Niech pani tak nie krzyczy! Powinna pani być zadowolona, że mąż do pani przyszedł... Że jest teraz z panią...

Mężczyzna przerywa jej ostro:

— Niech się pani odczepi! Moja żona umiera... Jej wolno...

Gąsiorowska odwraca się i podchodzi do mnie:

— Niech pan przyniesie basen dla pani Pawlak — mówi, — woła już od godziny.

— Dlaczego więc pani nie zwróci się do salowej — pytam.

— A czy ja wiem, czy jej syn załatwił z salową?

Idę po basen. Spotykam po drodze pielęgniarkę.

— Dlaczego jest tu tak mało personelu? — pytam.

— A bo dwie salowe i jedna pielęgniarka zostały zwolnione w zeszłym tygodniu za alkoholizm. Wypijały spirytus z magazynu w kieliszkach do mycia oczu.

— Dlaczego więc nie przyjęto nowych na ich miejsce?

— A kto to chce się dziś mazać w gównach za marne grosze!

27 października 1982

Początkowo babcia jakby odzyskiwała przytomność. Mówiła nawet coś szeptem do nachylonej mamy. Mama zrozumiała tylko jedno zdanie: „Jak wy sobie dacie radę, ty, chłopaki...?”. Później pytała chyba o ojca. Potem znowu straciła przytomność. Ciocia zaczęła się modlić.

Kobieta chora na raka zmarła w nocy. Na jej miejscu leży przyjemna starsza pani. Uśmiecha się do wszystkich. Ma daleko posuniętą sklerozę. Zapomina chodzić do ubikacji. Koło jej

łóżka strasznie śmierdzi. Przynoszę jej basen. Uśmiecha się i mówi, że nie potrzebuje.

28 października 1982

Dzisiaj babcia jest od rana całkowicie nieprzytomna. Podczas zmiany opatrunków niemiłosiernie jęczy. Siedzimy jak zwykle we troje. Eklerowa podchodzi do nas i mówi:

— No, kiedy państwo wywożą na cmentarz tego biedaka? — i pokazuje na babcię.

— Jak pani może tak mówić — krzyczy mama. — Przecież człowiek jeszcze żyje — i płacze.

— Ale jak żyje? Męczy się!

Po czym dodaje:

— A ja dziś wyskoczę przez okno. I będzie klawo — mruga do mnie porozumiewawczo.

Muszę zamykać okno i odciągać ją w stronę łóżka. Szarpie się. Wchodząca salowa woła w naszą stronę:

— A niech pan zostawi tę wariatkę! Niech skacze! Nareszcie będzie święty spokój!

Staruszka na łóżku w rogu głośno jęczy. Chce krzyczeć, ale nie może, zacina się. Z trudem oddycha. Podchodzę. Gdy się już nad nią nachylam, woła ze wszystkich sił:

— Ręce, ręce... — i usiłuje oswobodzić dłonie z bandażu, którymi są przywiązane.

Bandáže wrzynają się jej w skórę.

— Ciszej, ciszej... — mówię szeptem — bo salowa usłyszysz.

Odwiązuję jej ręce. Rozmasowuję zimne jak dwie kostki lodu dłonie. Staruszka uspokaja się. Nabiera oddechu i zaczyna równie oddychać.

— Proszę pana! Ja pana bardzo przepraszam. Może ja jestem nachalna. Ale pan ma takie ciepłe dłonie, takie przyjemne... Czy mógłby pan troszeczkę potrzymać w nich moje?... To tak dobrze... Dziękuję panu! Pan taki miły... Bardzo dziękuję...

Trzymam delikatnie jej małe, skostniałe z zimna rączki.

— Wie pan kontynuuję — ja tu leżałam przed wojną, w tym samym szpitalu. Na woreczek żółciowy. Tu było wtedy zupełnie inaczej. Tu były inne siostry... Wtedy były takie inne... w kornetach...

— Zakonne — podpowiadam.

— Tak, właśnie zakonne. Jakie one były dobre — w oczach stają jej łzy. — Jakie one były dobre i przyjemne. Jedna to mi nawet całe „Ogniem i mieczem” przeczytała. Calutkie. Na-

turalnie nie w godzinach pracy, ale po pracy. One tu zostawały też po pracy.

Później dodaje cichutko z prośbą w głosie:

— Niech pan gdzieś o tym napisze. O nas. Co z nami tu robią...

Gdzie tu o tym napisać?... Gazety piszą o reformie gospodarczej, o wykonaniu kolejnego planu.

29 października 1982

Agonia rozpoczęła się jeszcze zanim przyszedliśmy. Pod łóżkiem babci stoi kałuża. Bez nas nikt przy niej nic nie zrobił. Babcia jęczy, strasznie cierpi. Mama trzyma ją za dłonie. Ja wycieram jej spocone czoło. Ciocia zwilża wargi. Odmawiamy modlitwę za konających.

Gdy to nastąpiło, przez długą chwilę nie zdajemy sobie z tego sprawy. Milczymy. Później mama i ciocia płaczą. Obejmują je.

Podchodzi Gąsiorowska na swoich laskach:

— Niech państwo powiedzą, żeby natychmiast zabrali stąd trupa. Przy kolacji to niehigienicznie.

— Niech pani stąd idzie, idź babo precz — woła przez łzy ciocia.

Gąsiorowska usuwa się. Mama zamyka babci oczy. Ciocia mówi:

— Trzeba podwiązać szczękę, bo inaczej później połamią.

Podwiązujemy więc szczękę. Babcia jest jeszcze ciepła. Po raz ostatni widzimy jej lekko żółtawe zęby, prawie wszystkie własne, z których zawsze była taka dumna.

Idę do siostry dyżurnej i informuję ją o śmierci babci. Jest to młoda dziewczyna o ordynarnym i wyzywającym wyglądzie, z umalowanymi na niebiesko powiekami.

— To bardzo dobrze — mówi i gasi papierosa.

Cieszę się, że mama i ciocia tego nie słyszą.

Wracam na salę. Podchodzę do łóżka w rogu. Staruszka leży nieruchomo z szeroko otwartymi oczyma i odchyloną do tyłu głową. Jest zupełnie zimna. Musiała umrzeć jeszcze przed babcią. Jej śmierci nikt nie zauważył. Nawet my.

30 października 1982

Wczoraj wieczorem przewieziono babcię do kostnicy. Dziś rano byłem z mamą w zakładzie pogrzebowym. Przynieśliśmy dla babci ubranie, pantofle, różaniec i krzyżyk. Nic od nas jed-

nak nie przyjęto. Trzeba przynieść rano w dniu pogrzebu, bo inaczej może się zgubić.

Później pojechaliśmy na cmentarz. Stoimy przy rozkopywaniu grobu. Jest zimno. Grabarze przytupują nogami:

— Nie pomyślała tam pani szanowna o niczym na rozgrzewkę? — dopominają się.

Częstuję ich papierosami.

— Papierosy papierosami — mówią — ale przydałoby się coś mocniejszego.

Obiecujemy, że jutro dostaną wódkę.

— A kogo pani szanowna chowa? — zwraca się jeden z nich do mojej matki — młodego czy starego?

— Matkę — odpowiada sucho mama.

— A w jakim wieku? — pyta się inny.

— Osiemdziesiąt lat — mówi mama.

— A to nażyło się kobiecisko! Każdy by chciał dożyć takiego wieku! — wzdycha grabarz.

Przystaje przy nas mężczyzna w średnim wieku. W jesionce, jasnym garniturze, krawacie. Długi nos. Na twarzy blizny. W rękę trzyma metalowy wianek z pomalowanymi na żółto chryzantemami.

— A kogo to chowasz, Zdzichu? — zwracają się do niego grabarze.

— Ano kuma chowamy — odpowiada mężczyzna z bliznami na twarzy.

— A co, zmarło mu się? — pytają zaciekawieni grabarze.

— Zaciukali go. Trzy dni temu. Na Grochowie. Wracał do domu. Dziewiąta była. Był leciutko na ... — tu mężczyzna dotknął palcem górnej części szyi. — Miał przy sobie tylko sto siedemdziesiąt złotych. No więc go sztachnęli raz nożem w brzuch. Potem wrócili się, poprawili. Sztachnęli trzeci raz i był gotowy. Ludzie słyszeli, ale się bali otworzyć bramę. Jak wyszli na ulicę, to już był zimny.

31 października 1982

Dzień pogrzebu. Rano jadę z mamą i cicią do zakładu pogrzebowego. Mama podaje grubemu mężczyźnie rzeczy dla babci.

— A dlaczego tak późno? — krzyczy, poczerwieniały z oburzenia.

— Przecież sam pan wczoraj mówił, że rzeczy należy przynieść rano w dniu pogrzebu — przypominam mu.

— Mówiłem, mówiłem! Samemu trzeba myśleć. Teraz to nie wiadomo czy się zdąży — krzyczy.

— Ile mamy zapłacić? — przerywam mu.

— Cena urzędowa jest tysiąc siedemset, a resztę to już jak państwo chcą... — informuje nas uspokojony.

Dajemy mu tysiąc osiemset.

Po jakimś czasie wprowadza nas do sali, gdzie leży już ubrana babcia.

— Czy krzyżyk włożyć do ręki? A różaniec do tej samej? — pyta uprzejmie.

Jedziemy samochodem razem z trumną na cmentarz. Ciočia uchyla jeszcze wieko, by sprawdzić, czy niczego w międzyczasie nie ukradziono.

Później jest msza, kazanie, muzyka, pogrzeb, kwiaty, kondolencje.

Stoję nad świeżo usypanym grobem i myślę o babci. Chciała umrzeć w domu, zmarła zaś w szpitalu. Żegnała się z życiem w piekle, stworzonym tu na ziemi przez ludzi, którzy też przecież kiedyś będą umierać. Uratowało ją to, że była prawie przez cały czas nieprzytomna. Ale inni? Inni byli przecież całkowicie przytomni! Pozostaje więc problem winy. Ten pozostawiam otwarty. Wiem jedno: winni są ludzie.

Rafał DĄBROWSKI

Tortury, medycyna i Narody Zjednoczone

W 1976 roku, z inicjatywy Narodów Zjednoczonych Światowa Organizacja Zdrowia zdecydowała zwrócić się do Rady Międzynarodowych Organizacji Nauk Medycznych z prośbą o opracowanie Zasad Etyki Lekarskiej w dziedzinie ochrony osób poddanych jakiegokolwiek formie aresztu lub uwięzienia, ochrony przed torturami i innymi okrutnymi, nieludzkimi lub poniżającymi zabiegami lub karami. W latach 1977-78 w/w Rada przeprowadziła badania, w których wzięło udział ponad sto międzynarodowych organizacji medycznych i innych instytucji kompetentnych w zagadnieniach tortur, etyki i prawa międzynarodowego. Na podstawie tych badań opracowano raport zawierający Zasady Etyki Lekarskiej, który został zaaprobowany przez Światową Organi-

zację Zdrowia w 1979 i przesłany do Sekretarza Generalnego Narodów Zjednoczonych. Sekretariat Narodów Zjednoczonych rozesał ten raport do wszystkich państw członkowskich z prośbą o komentarze i uwagi. Zasady Etyki Lekarskiej były przedmiotem ożywionych dyskusji na kolejnych sesjach Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych w latach 1979, 1980, 1981 i 1982. W rezultacie w grudniu 1982 Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych na swej 37 sesji uchwaliło jednogłośnie rezolucję nr 37/194 zatytułowaną: „Zasady Etyki Lekarskiej”.

Problem torturowania i niehumanitarnego traktowania więźniów i zatrzymanych jest obecnie zjawiskiem tak ogólnym, że używając terminologii medycznej, można śmiało powiedzieć, że jest to stan epidemiczny. Zjawisko to występuje z różnym nasileniem niemal we wszystkich społeczeństwach, niezależnie od ich stopnia rozwoju cywilizacyjnego i ekonomicznego oraz systemu ich organizacji, i jest to chyba jedno z najbardziej wstydlivych, a jednocześnie oburzających schorzeń naszych czasów. Należy robić wszystko, aby zapobiegać stosowaniu tortur i niehumanitarnego traktowania ludzi, a następnie leczyć i rehabilitować skutki zarówno indywidualnie — w odniesieniu do poszkodowanego — jak i w skali ogólnospołecznej.

Narody Zjednoczone od wielu lat starają się stworzyć podstawy prawne umożliwiające skuteczną walkę z tym patologicznym stanem współczesnych społeczeństw. Szereg deklaracji i rezolucji — żeby wymienić tylko Kartę Narodów Zjednoczonych i Powszechną Deklarację Praw Człowieka — potępia i zakazuje państwom członkowskim stosowania tortur lub innego okrutnego, niehumanitarnego lub poniżającego postępowania lub kar w stosunku do osób zatrzymanych lub uwięzionych i wymaga karnania tych którzy je stosują.

Ostatnio uchwalona rezolucja ONZ zasługuje na szczególną uwagę z dwóch powodów. Po pierwsze, po raz pierwszy Zgromadzenie Ogólne ONZ zwróciło się do wszystkich pracowników służby zdrowia, a w szczególności do lekarzy z zaleceniami o charakterze etycznym i moralnym. W sześciu Zasadach Etyki Lekarskiej Narody Zjednoczone dają jasne wskazówki i moralne poparcie dla wszystkich członków zawodu lekarskiego i innych zawodów medycznych, ułatwiając im opór przeciwko próbom nacisku ze strony władz do używania ich wiedzy i umiejętności w innych celach niż mających na względzie wyłącznie dobro uwięzionego lub aresztanta.

Po drugie, rezolucja ta, jednomyślnie uchwalona przez państwa członkowskie ONZ, daje podstawę do wymagania zarówno od rządów, jak i od pracowników służby zdrowia, a zwłaszcza lekarzy, ścisłego przestrzegania litery i intencji tego dokumentu.

Rezolucje ONZ nie mają mocy wykonawczej a mają wyłącznie charakter zaleceń i niestosowanie ich nie pociąga za sobą żadnych sankcji. Natomiast dają one podstawę do wywierania presji przez społeczeństwa na ich rządy dla przestrzegania kodeksów prawnych obowiązujących w poszczególnych krajach oraz

uchwał międzynarodowych. Praktyczne znaczenie więc tej rezolucji ONZ zależy w ogromnej mierze od tego jak powszechnie będzie ona znana i jak wiele organizacji społecznych i grup nacisku wykorzysta ją jako narzędzie presji opinii publicznej na rządy, w celu uzyskania poprawy obecnego, skandalicznego stanu rzeczy. Oczywiście ostatecznym celem jest zlikwidowanie wszelkich form torturowania i niehumanitarnego traktowania więźniów i aresztantów. Ponieważ jednak osiągnięcie takiego idealnego stanu — o ile w ogóle możliwe — może nastąpić dopiero w odległej przyszłości, teraz już należy wykorzystywać każdą możliwość poprawy. I właśnie ta rezolucja ONZ o Zasadach Etyki Lekarskiej stwarza możliwości pewnej poprawy.

Z. BAŃKOWSKI

REZOLUCJA ZGROMADZENIA OGÓLNEGO ONZ 37/194

9 marca 1983

ZASADY ETYKI LEKARSKIEJ

Zgromadzenie Ogólne

przypominając swą rezolucję 31/85 z 13 grudnia 1976, w której wezwało Światową Organizację Zdrowia do opracowania projektu kodeksu etyki lekarskiej w dziedzinie ochrony osób poddanych jakiegokolwiek formie aresztu lub uwięzienia przed torturami i innym okrutnym, niehumanitarnym lub poniżającym traktowaniem lub karami;

wyrażając swe uznanie dla Rady Wykonawczej Światowej Organizacji Zdrowia, która na swej 63-iej sesji (styczeń 1979) zdecydowała przyjąć zasady zawarte w raporcie pt. „Opracowanie kodeksu etyki lekarskiej”, którego załącznik zawiera projekt zasad opracowany przez Radę Międzynarodowych Organizacji Nauk Medycznych zatytułowany „Zasady etyki lekarskiej”, stosujące się do roli pracowników służby zdrowia w ochronie osób przed torturami i innym okrutnym, niehumanitarnym lub poniżającym traktowaniem lub karami;

pomnie rezolucji 1981/27 Rady Ekonomicznej i Społecznej, z 6 maja 1981, w której Rada zaleciła Zgromadzeniu Ogólnemu podjęcie kroków dla ostatecznego opracowania projektu Zasad Etyki Lekarskiej na swej 36-iej sesji;

przypominając swą rezolucję 36/61 z 25 listopada 1981, w której zdecydowało zbadać projekt Zasad Etyki Lekarskiej na 37-iej sesji celem przyjęcia ich;

zaalarmowane faktem, że nierzadko członkowie zawodu lekarskiego i inni pracownicy służby zdrowia wykonują czynności trudne do pogodzenia z etyką lekarską;

stwierdzając, że na całym świecie liczne zabiegi lekarskie są coraz częściej wykonywane przez pracowników służby zdrowia nie mających ani dyplomu, ani wykształcenia lekarskiego, jak np. pomocnicy lekarzy, personel paralelekarski, fizjoterapeuci i pielęgniarki;

przypominając z uznaniem deklarację Światowego Stowarzyszenia Lekarskiego z Tokio, zawierającą wskazówki pod adresem lekarzy dotyczące tortur i innego okrutnego, niehumanitarnego lub poniżającego traktowania lub kar mających związek z uwięzieniem, przyjętą przez 29-te Światowe Zgromadzenie Lekarskie w Tokio w październiku 1975;

odnotowując, że zgodnie z deklaracją z Tokio państwa oraz stowarzyszenia zawodowe i inne odpowiednie organizacje winny podjąć kroki chroniące pracowników służby zdrowia lub członków ich rodzin przed wszelkimi groźbami lub represjami, wynikającymi z odmowy uczestnictwa w torturach lub innych formach okrutnego, nieludzkiego lub poniżającego traktowania;

potwierdzając raz jeszcze Deklarację o Ochronie Wszystkich Ludzi przed Torturami i Innym Okrutnym, Nieludzkim lub Poniżającym Traktowaniem, przyjętą jednogłośnie w rezolucji 3452 (XXX) przez Zgromadzenie Ogólne 9 grudnia 1976, w której to ostatnie jednogłośnie oświadcza, że jakikolwiek akt tortury lub jakakolwiek inna kara lub traktowanie okrutne, nieludzkie lub poniżające uwłacza godności ludzkiej i winno być potępione jako pogwałcenie celów Karty Narodów Zjednoczonych i Powstającej Deklaracji Praw Człowieka¹;

przekonane, że w żadnym przypadku nikt nie może być karany za udzielanie opieki lekarskiej zgodnej z etyką lekarską, niezależnie od tego, komu ta opieka jest udzielana, ani nie powinien być zmuszany do wykonywania zabiegów lub czynności sprzecznych z etyką lekarską, i że równocześnie pracownicy służby zdrowia, w szczególności lekarze, winni być obowiązani do zdania sprawy z wszelkiego pogwałcenia zasad etyki lekarskiej, które mogłyby im być przypisane;

pragnąc ustalić w tej dziedzinie uzupełniające normy, które powinny być przestrzegane przez pracowników służby zdrowia, a w szczególności lekarzy oraz urzędników administracji państwowej;

1. Przyjmuje „Zasady Etyki Lekarskiej” odnoszące się do roli pracowników służby zdrowia, a w szczególności lekarzy, w ochronie więźniów i aresztantów przed torturami i innym okrutnym, nieludzkim, lub poniżającym traktowaniem lub karami wymienionymi w załączniku do niniejszej rezolucji;

2. Prosi wszystkie rządy o jak najszersze rozpowszechnienie, w oficjalnym języku ich państw, Zasad Etyki Lekarskiej oraz niniejszej rezolucji, w szczególności wśród stowarzyszeń lekarskich i paralekarskich oraz zakładów karnych (aresztów i więzień);

3. Prosi wszystkie kompetentne organizacje międzyrządowe, w szczególności Światową Organizację Zdrowia, oraz wszystkie zainteresowane organizacje nierządowe o zapoznanie z Zasadami Etyki Lekarskiej jak największej liczby osób, w szczególności tych, którzy wykonują zawód lekarski lub paramedyczny.

111-ta sesja plenarna
18 grudnia 1982

ZAŁĄCZNIK

Zasady etyki lekarskiej odnoszące się do roli pracowników służby zdrowia, a w szczególności lekarzy, w ochronie więźniów i aresztantów przed torturami i innym okrutnym, nieludzkim lub poniżającym traktowaniem lub karami

Zasada 1.

Pracownicy służby zdrowia, a w szczególności lekarze sprawujący opiekę lekarską nad więźniami i aresztantami winni są zapewnić im ochronę ich zdrowia fizycznego i psychicznego, a w przypadku choroby leczenie tej samej jakości i odpowiadające tym samym normom, co leczenie z jakiego korzystają osoby które nie są uwięzione lub aresztowane.

1. Rezolucja 217 A (III).

Zasada 2.

Jest rażącym pogwałceniem etyki lekarskiej oraz przestępstwem w świetle obowiązujących międzynarodowych uchwał czynne lub biernie uczestnictwo pracowników służby zdrowia, a w szczególności lekarzy, w czynnościach które stanowią uczestnictwo, współuczestnictwo, namowę lub próbę stosowania tortur lub innego okrutnego, nieludzkiego lub poniżającego traktowania lub kary.

Zasada 3.

Jest pogwałceniem etyki lekarskiej jeżeli pracownicy służby zdrowia, a w szczególności lekarze, w ich stosunkach wynikających z wykonywania ich zawodu w odniesieniu do więźniów lub aresztantów nie mają na celu wyłączenie oceny, ochrony i poprawy zdrowia fizycznego i psychicznego więźniów lub aresztantów.

Zasada 4.

Jest pogwałceniem etyki lekarskiej jeżeli pracownicy służby zdrowia, a w szczególności lekarze:

a) wykorzystują swą wiedzę i umiejętności pomagając w przesłuchaniach aresztantów lub więźniów w sposób mogący mieć szkodliwe skutki dla ich zdrowia lub stanu fizycznego lub psychicznego i nie odpowiadający obowiązującym uchwałom międzynarodowym.

b) zaświadczać lub przyczyniają się do zaświadczenia, że więźniowie lub aresztanci są zdolni do zniesienia jakiegokolwiek formy traktowania lub kary mogącej mieć szkodliwe skutki dla ich zdrowia fizycznego lub psychicznego, a sprzecznej z obowiązującymi uchwałami międzynarodowymi, lub w jakikolwiek sposób uczestniczą w traktowaniu lub karach sprzecznych z obowiązującymi uchwałami międzynarodowymi.

Zasada 5.

Jest pogwałceniem etyki lekarskiej, jeżeli pracownicy służby zdrowia, a w szczególności lekarze, w jakikolwiek sposób uczestniczą w obezwładnianiu więźniów lub aresztantów, chyba że zostanie ono uznane, na podstawie kryteriów wyłącznie medycznych, za konieczne dla ochrony ich zdrowia fizycznego lub psychicznego lub dla bezpieczeństwa więźnia lub aresztanta, innych więźniów lub aresztantów lub strażników oraz pod warunkiem, że nie stanowi ono żadnego zagrożenia dla zdrowia fizycznego lub psychicznego obezwładnianego.

Zasada 6.

Nie może być odstępstw od powyższych zasad w żadnej sytuacji, nie wyłączając bezpieczeństwa publicznego.

Sekcja Lekarska
Prymasowskiego Komitetu
Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności

STAN ZDROWIA LUDZI INTERNOWANYCH W CZASIE STANU WOJENNEGO

Nieoczekiwane i bezprawne wyrwanie ludzi z ich naturalnego środowiska na 12 miesięcy i umieszczenie w warunkach ośrodków internowania, a więc izolacji od rodziny, pracy lub szkoły, przyjaciół i normalnych codziennych zajęć stało się dla wszystkich silnym wstrząsem. Wstrząs ten pogłę-

biony był pewnością, że cierpi się za niepopelnione winy oraz stałym poczuciem zagrożenia i niepewności co stanie się w najbliższej przyszłości. To poczucie zagrożenia wraz ze stałą presją psychiczną wywieraną na internowanych przez władze, niepokojem o bliskich, a u wielu internowanych świadomością odpowiedzialności za losy narodu, musiało odcisnąć swoje piętno na psychicznym i somatycznym zdrowiu tej grupy ludzi.

Świadomi, iż skutki tego okresu mogą być trudne do odwrócenia przeprowadziliśmy badania stanu zdrowia byłych internowanych ze szczególnym zwróceniem uwagi na wpływ jaki wywarł okres internowania na ich zdrowie. Od razu na wstępie należy zaznaczyć, że wyniki naszych badań świadczące o tym jak silnie negatywny był to wpływ i jak wielu internowanych cierpi od tego czasu na różne dolegliwości były dla nas dużym zaskoczeniem.

Badania dotyczyły osób internowanych, które przebywały w ośrodkach internowania od 5 do 12 miesięcy. Tylko w kilku przypadkach uwzględniono osoby, które były internowane przez krótszy okres — 3 miesiące — byli to ci ludzie, którzy ze względów zdrowotnych wymagali po opuszczeniu ośrodka odosobnienia szczególnej opieki.

Warunkiem włączenia poszczególnych osób jako chorych w niniejszym opracowaniu było: 1) zgłoszenie się do badania do naszego zespołu lub dostarczenie wiarygodnej dokumentacji lekarskiej, 2) stwierdzenie obiektywnymi metodami badania lekarskiego istotnych zmian patologicznych czynnościowych lub organicznych.

Przebadano w ten sposób 988 osób (liczba ta obejmuje dane uzyskane od lekarzy z innych, pozawarszawskich ośrodków dotyczące ok. 300 osób).

Wśród 988 badanych — 368 uznano za całkowicie zdrowych bez żadnych uchwytów przy jednorazowym badaniu objawów patologicznych w sferze psychicznej lub fizycznej.

U 620, czyli u ponad 60 % badanych, stwierdzono wyraźne odchylenia od normy. Z tych 494 były szczegółowo przebadane: około 140 osób wymagało hospitalizacji dla celów diagnostycznych lub leczniczych, pozostali mieli zalecone leczenie ambulatoryjne, kilkanaście osób pozostaje w stałej obserwacji lekarzy naszego zespołu.

Około połowa osób, których stan zdrowia po okresie internowania budził zastrzeżenia cierpiała na jakieś schorzenie typu przewlekłego przed internowaniem, a dolegliwości uległy wybitnemu pogorszeniu w tym okresie. Pozostali nie chorowali przedtem lub też choroba została ujawniona w okresie internowania.

Najlichnieszą grupę (ponad 100 osób) stanowiły schorzenia przewodu pokarmowego występujące nieraz w bardzo ostrej formie — u 55 osób stwierdzono chorobę wrzodową żołądka lub dwunastnicy (potwierdzoną badaniem rentgenowskim lub fiberoskopowym). Uderzające jest, że wiele z tych osób przed 13 grudnia 1981 roku nie miało żadnych dolegliwości świadczących o chorobie wrzodowej. W co najmniej kilku przypadkach był to ostry wrzód z burzliwymi objawami bólowymi, który po 3-5 miesiącach po zwolnieniu z internowania ulegał zagojeniu przy stosowaniu intensywnego leczenia.

U 54 osób stwierdzono choroby narządu ruchu, najczęściej chorobę zwyrodnieniową stawów kregostupa, w kilku przypadkach ciężkie reumatoidalne zapalenie stawów i zniekształcające zapalenie stawów kregostupa oraz dyskopatię. Choroby te ulegały w czasie internowania bardzo znacznemu pogorszeniu ze względu na ograniczenie ruchu, niemożność stosowania zabiegów rehabilitacyjnych itd.

Liczną grupę stanowiły choroby płuc i oskrzeli (45 osób). W tej grupie były 4 przypadki świeżej lub uaktywnionej gruźlicy płuc, oraz 1 przypadek zwłóknienia płuc o piorunującym przebiegu prowadzącym do śmierci (Gracyna Kuroń).

Wśród chorób serca i układu krążenia szczególnie często obserwowaliśmy świeżo ujawnione nadeccienie tętnicze (25 chorych) oraz chorobę wieńcową w kilku przypadkach niestabilizowaną. Zazwyczaj po kilku miesiącach objawy ustępowały.

Zaburzenia czynności psychicznej — zazwyczaj typu ciężkich nerwic lub poważnych zaburzeń snu ujawniły się u 26 osób, stanowiąc poważny problem w późniejszym okresie po zwolnieniu.

Osobną grupę stanowili internowani pobici w okresie internowania lub zatrzymania w komendach MO, u których wystąpiły przemijające lub trwałe skutki urazów — głównie bóle głowy, zawroty głowy, pogorszenie wzroku, uszkodzenie kregostupa, objawy padaczki. Dotyczy to w sumie około 100 osób; w tym utrzymujące się objawy, będące skutkiem pobicia, obserwowano jeszcze w kilka miesięcy po pobiciu lub do chwili obecnej mogliśmy stwierdzić u 10 osób (są to przede wszystkim pobici w Kwidzynie).

Pośród pozostałych chorych są choroby nerek, zaburzenia endokrynologiczne, schorzenia neurologiczne, ginekologiczne itp.

7 osób przeżyło w czasie internowania wirusowe zapalenie wątroby.

Większość internowanych cierpiała na grzybicę skóry — dotyczyło to zwłaszcza internowanych w ośrodkach zlokalizowanych na terenie więzień, a kobiety na grzybicę narządów rodnych. Schorzenia te — szczególnie uporczywe — były leczone po zwolnieniu całymi tygodniami. U 2-ch internowanych chorych na łuszczycę nastąpiło wybitne pogorszenie objawów choroby — wymagające hospitalizacji.

Szczególnie dramatycznym (poza Gracyną Kuroń) przypadkiem było zachorowanie Jana Łojaka, u którego w czasie internowania stwierdzono uaktywnienie procesu gruźliczego w płucach; przeniesiony po ok. 2 miesiącach interwencji do szpitala (na skutek przypadkowego, ciężkiego oparzenia) po kilku dniach dostał ostrej niewydolności nerek i wątroby z zespołem śródnaczyniowego wykrępowania. Przez kilka tygodni walczył ze śmiercią, uratowany dzięki dializom i niezwykle intensywnemu leczeniu. W chwili obecnej nadal jest w stanie częściowego inwalidztwa, choć wrócił do czynnego życia zawodowego.

Wnioski:

na podstawie badań ok. 1.000 internowanych (co stanowi około 10 % wszystkich internowanych) należy stwierdzić, iż okres internowania odbił się w istotny, niekorzystny sposób na ich stanie zdrowia. U ponad 60 % internowanych wykryto istotne zmiany chorobowe, upośledzające w znacznym stopniu ich sprawność fizyczną lub psychiczną. Najczęstszym schorzeniem jest choroba wrzodowa, choroby narządu ruchu, nadeccienie i zaburzenia w sferze psychicznej, oraz skutki stosowania przemocy fizycznej.

Znaczna liczba tych ludzi wymaga dalszej pomocy zarówno lekarskiej jak moralnej. Pomocy tej nie wolno zaniechać, gdyż nie można wciąż jeszcze stwierdzić jak długo będą utrzymywać się skutki okresu internowania, tym bardziej, iż schorzenia występujące u tej grupy ludzi mają charakter przewlekły, upośledzający okresowo w znaczny sposób zdolność do pracy i przystosowanie do trudności codziennego życia.

i wierzyciele przyjęli w rozwiązywaniu tego niewątpliwie trudnego zagadnienia.

Tzw. „refinansowanie”

Ekonomiści i eksperci finansowi w kraju nie byli zgodni w sformułowaniu koncepcji czy taktyki negocjacyjnej z wierzycielami zachodnimi. Zdaniem doradców „Solidarności” (Stefan Kurowski), jak również dobrego znawcy zagadnień handlu zagranicznego dr. Stanisława Grużewskiego, zaraz po wydarzeniach sierpniowych 1980 roku należało przystąpić do rozmów z wierzycielami w ramach „kompleksowego”, globalnego i jednorazowego załatwienia sprawy w drodze przesunięcia przypadających w latach 1981-1983 płatności poza rok 1990. Chodziło, krótko mówiąc, o 10-letnie moratorium. Moratorium jest zawieszeniem płatności albo tylko kapitału, albo kapitału i procentów, a więc odroczeniem tych płatności na pewien okres czasu dla umożliwienia dłużnikowi poprawy sytuacji finansowej.

Tej tezie przeciwstawiono koncepcję tzw. „refinansowania” jako ukrytą formę moratorium. Pod tym pojęciem rozumiano nie tylko moratorium, ale też uzyskanie nowych kredytów na pokrycie przypadających spłat, których PRL nie mogła uiścić w poszczególnych latach zapadłości długów i procentów.

Dyskusja na ten temat trwa do dzisiejszego dnia w prasie krajowej. Wmieszał się do niej m.in. Marian Krzak, b. minister skarbu PRL, obecnie ambasador w Wiedniu. Był on odpowiedzialny w rządzie za politykę finansową i jednym z głównych negocjatorów układów oddłużeniowych. Po zwolnieniu go przez Jaruzelskiego ze stanowiska ministra skarbu opublikował w *Polityce* nr 8 z dnia 19 lutego 1983 długi artykuł, rozprawiając się ze stawianymi mu zarzutami. Artykuł ten jest o tyle interesujący, że rzuca nieco światła na „dramatyczne” — jak je Krzak nazywa — rozmowy z wierzycielami zachodnimi.

Z wynurzeń Mariana Krzaka nie wynika wyraźnie, czy koncepcja „refinansowania” była jego własną lub rządową, czy też narzucona została dłużnikowi polskiemu przez wierzycieli zachodnich w negocjacjach. Broni on jej jednak i stara się uzasadnić, że podjęcie globalnego załatwienia sprawy zadłużenia nie było możliwe na przełomie lat 1980/1981. Wyraźnie wynika z tej enuncjacji, że PRL chodziło o ratowanie się przez nowe kredyty finansowe i handlowe.

Krzak twierdzi, że już wiosną 1978 r. podjęto rozmowy w sprawie uzyskania długoterminowych kredytów dla umożliwienia spłaty długów, wobec napiętej sytuacji w bilansie płatniczym. W roku 1979, obok innych, uzyskano pierwszy duży kredyt finansowy od banków prywatnych w wysokości 550 mln dolarów, pozwalający zrefinansować sporą część spłat. Przyjęto wówczas wspólnie z wierzycielami, że operacja ta będzie kilkakrotnie powtórzona dla rządowania „garbu” płatności w latach 1981-1983. Informacja

Sprawy i troski

Dylematy polskiego zadłużenia

Nowa faza rokowań

Po formalnym zniesieniu stanu wojennego negocjacje w sprawie regulacji długów PRL podjęte zostały ze wzmoczoną intensywnością. Rządy wierzycielskich państw zachodnich, które po 13 grudnia 1981 wstrzymały rozmowy do czasu „zniesienia stanu wojennego, zwolnienia internowanych i podjęcia dialogu ze społeczeństwem” gotowe są już do rokowań. Administracja prezydenta Reagana rozważa zniesienie sankcji gospodarczych. Nic nie osiągnięto. Zwiększyła się tylko góra kredytów państwowych o odsetki, których spłaty PRL zaprzestała, wykorzystując sytuację braku nowej umowy. Bardziej „realistycznie” myślący bankierzy zabezpieczyli sobie przynajmniej inkaso odsetek od długów bankowych, częściowo kosztem niepłacenia długów państwowych.

Według oficjalnych danych administracji warszawskiej polskie długi zachodnie (prawdopodobnie łącznie ze zobowiązaniami wobec krajów OPEC-u) wynosiły pod koniec 1982 roku kwotę 24,5 mld dolarów. Zmniejszyły się — choć można w to wątpić — o 1 mld, przede wszystkim z powodu wzrostu kursu dolara. Część kredytów zakontraktowana jest w walutach zachodnioeuropejskich. Stąd ta różnica. Z ogólnej kwoty zadłużenia zachodniego 55% przypada na kredyty państwowe i przez rządy państw gwarantowane. Zadłużenie wobec krajów bloku socjalistycznego (Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, tzw. na Zachodzie „Comecon”) szacowane jest na 6,5 mld dolarów.

Co dalej z długami zachodnimi? Aby odpowiedzieć na to pytanie trzeba uprzytomnić sobie strategię jaką dłużnik

* Artykuł ten jest dalszym ciągiem i uzupełnieniem artykułów drukowanych w *Kulturze* nr. 10, 11 i 12/1981 oraz nr. 3/1982.

ta wymagałaby weryfikacji. Jeśli jest prawdziwa, świadczyłaby o wielkiej krótkowzroczności wierzycieli zachodnich. Finansiści warszawscy uważali te kredyty finansowe, zaciągane na okresy siedmio- lub ośmioletnie, za rozwiązanie optymalne, dające szanse przetrwania trudnego czasu.

W pierwszej połowie 1980 roku wynegocjowano jeszcze dwa kredyty, a mianowicie 1,2 mld marek zachodnoniemieckich i 330 mln dolarów od koncernu banków prywatnych, znów na pokrycie spłat przypadających na 1980 rok.

Broniąc tej metody refinansowania spłaty długów Krzak pisze: „Nieszczęście polegało m.in. na tym, że gdy finansiści zabiegali o to, jak zaradzić problemowi spłaty, to inni... działali ze wzmoczoną energią na rzecz zakupów kredytowych zboża, maszyn i urządzeń, półfabrykatów itp., dalej pogłębiając krytyczny stan bilansu płatniczego”.

Można by uznać tę wypowiedź za znany w historii finansów państwowych wieczny konflikt ministra skarbu z kolegami gabinetowymi. Ale M. Krzak nie umiał wyjść z tego konfliktu zwycięsko. Wszystko zależało od polityki gospodarczej.

Pierwsze podjęte kroki w rozwiązywaniu jakiegokolwiek problemu robią szkółę. W roku 1980 — pisze Krzak — „zanim jeszcze cokolwiek wydarzyło się, powstała w resorcie finansów koncepcja, aby sprawę zadłużenia rozwiązywać kompleksowo i długofalowo”. Koncepcja ta skonkretyzowała się w wyniku żywych kontaktów zwłaszcza z ówczesnym przewodniczącym tzw. „Klubu Paryskiego” p. Haberem, wysokim urzędnikiem Ministerstwa Gospodarki i Finansów Francji, ale „niestety realizacja ustalonego z p. Haberem harmonogramu uległa zakłóceniu”. Dlaczego? Powody jakie przytacza Krzak są zupełnie nie przekonujące. Powodem miały być zmniejszenie się zaufania do Polski przez działalność „Solidarności”, strajki jesienne, „histeria na Zachodzie wobec Polski”, okres przedwyborczy w USA i zwrot na prawo w rządach zachodnich. Wolno zapytać się, dlaczego jednak, mimo tych wydarzeń, partnerzy zachodni w ogóle nie zerwali rozmów i nadal zainteresowani byli w rozwiązaniu zagadnienia długów.

Dlaczego refinansowanie?

Powrócono do koncepcji „refinansowania” z całkowicie innych powodów, które w wynurzeniach Mariana Krzaka mają wydźwięk bardziej rzeczowy. Można je streścić krótko w następujących punktach.

1) Konieczność pozyskania środków, a więc praktycznie nowych kredytów, na import wobec totalnej klęski rolnictwa przy gwałtownym kurczeniu się eksportu.

2) Gdyby podjęto taktykę globalnych negocjacji moratoryjnych mowy by nie było o dalszych kredytach, a wpływy uległyby dalszemu spadkowi.

3) Bezwzględne upieranie się przy koncepcji globalnego rozwiązania byłoby równoznaczne ze stwierdzeniem niewypłacalności, a więc bankructwa, czego nie chcieli ani dłużnik ani wierzyciele.

4) Tego rodzaju krok musiałby mieć także negatywny i długofalowy wpływ na stosunki finansowe pozostałych państw socjalistycznych z Zachodem.

Marian Krzak zaznacza, że w roku 1980 mogło oczywiście wchodzić w rachubę ogłoszenie niewypłacalności, ale:

„Konsekwencje takiego kroku w istniejącej wówczas sytuacji wewnętrznej byłyby dla importu opłakane. Stąd uznano, że trzeba zakończyć operacje finansowe jakie podjęto wcześniej, a więc podpisać umowę z RFN o kredyt 1,2 mld marek i zawrzeć ponowną umowę z Francją o refinansowanie spłaty długu w 1981 roku, bo inni partnerzy nie byli skłonni do rozmów. Po prostu nie chcieli rozmawiać. W listopadzie gotowa do rozmów była tylko Francja. Później dopiero Carter, już po przegranych wyborach obiecał rozszerzyć gwarancje na nowy kredyt zbożowy CCC (500 mln dolarów), co szybko załatwiono. Wówczas to jesienią pytano w USA, czy ogłosimy moratorium, bo jeśli tak, to gwarancje CCC stają się niemożliwe”.

Nie bez znaczenia dla podjęcia (czy przyjęcia pod naciskiem wierzycieli zachodnich) taktyki „refinansowania” były względy prestiżowe. Według M. Krzaka:

„Taka decyzja (j.r. — stwierdzenie niewypłacalności) byłaby finansowym samobójstwem. Oznaczałaby poderwanie wiarygodności państwa, którego ciągłość zapewniał nowy rząd, oznaczałaby też załamanie się na wiele lat systemu rozwiniętych stosunków finansowych i rozliczeń w obrotach z Zachodem, bankructwo polskich banków za granicą i paraliż funkcjonowania polskich firm i przedstawicielstw handlowych w krajach zachodnich. Dlatego też odrzuciliśmy wszelkie propozycje tego typu”.

Można przypuszczać, że Związek Sowiecki poparł taktykę PRL w interesie całego bloku państw komunistycznych. Pobłogosławił wysiłki w kierunku „refinansowania”, udzielając ze swej strony pomocy w walucie wolnodewizowej w wysokości ok. 500 mln dolarów, co — jak stwierdza Krzak — pokryło tylko część ujemnego salda IV kwartału 1980 i I kwartału 1981.

Nie tu miejsce na polemikę. Wartość koncepcji polityczno-gospodarczych oceniać trzeba nie w dyskusjach teoretycznych, ale po skutkach, jakie przynosi ich realizacja. Te skutki stwierdzić można dopiero po wielu latach. Ale już dzisiaj powiedzieć można, że nie zarysowują się one tak optymistycznie, jak to przedstawia Marian Krzak w drugiej części cytowanej relacji.

Dotychczasowe układy

PRL zawarła z wierzycielami zachodnimi dotychczas 3 podstawowe umowy.

Pierwszą umową był układ z dnia 28 kwietnia 1981 zawarty z tzw. „Klubem Paryskim” dotyczący długów państwowych i przez 16 państw zachodnich gwarantowanych, zalecający tym państwom odroczenie płatności na 4 lata¹. „Klub Paryski” jest to zwoływane *ad hoc* zgromadzenie wierzycieli, z reguły rządowych, do rozpatrywania konsolidacji i rozłożenia kredytów państw dłużników.

Drugą umową był układ z 31 września 1981 z około 500 bankami zachodnimi, reprezentowanymi przez tzw. komitet „Task Force” (16 największych banków), dotyczący regulacji długów bankowych i przewidujący moratorium na 7 i pół lat dla 85 % zobowiązań z płatnością w roku 1981. Układ ten, uwarunkowany zapłatą zaległych procentów, podpisany został oficjalnie dopiero wiosną 1982, już po zamachu stanu Jaruzelskiego, we Frankfurcie, wbrew zaleceniom rządów zachodnich, które z powodu tego zamachu wstrzymały rozmowy na temat długów państwowych².

W obu tych układach nie przewidywano jeszcze, mimo żądań strony polskiej, nowych kredytów na „refinansowanie” starych długów. „Refinansowanie” miało miejsce w drodze ulg dla PRL przez częściowe przerzucenie spłat procentów na dalsze okresy, jak również oddzielnie wynegocjowanych kredytów handlowych.

Refinansowanie w ścisłym znaczeniu tego słowa, a więc przez nowy kredyt, pojawiło się dopiero w trzecim układzie, zawartym 3 listopada 1982 roku w Wiedniu, w 7 miesięcy po podpisaniu układu we Frankfurcie. Dotyczył on zapadłości kapitału i procentów tegoż roku 1982.

Układ ten w swych zasadniczych punktach szedł po linii zasad umowy podpisanej we Frankfurcie. Polskie zapadłości 1982 w wysokości 2,4 mld dolarów zostały skonwertowane w 95 % z karencją czteroletnią. Po tych 4 latach PRL zobowiązana została do spłacenia długu w 7 ratach półrocznych. Pozostałe 5 % kapitału dłużnik polski ma uiścić w dwóch ratach, 20 sierpnia i 20 listopada 1983. Podobnie jak dla wierzytelności 1981, oprocentowanie ustalono na 1 3/4 powyżej międzynarodowej stopy bankowej LIBOR (około 12 %). Ponownie zobowiązano PRL do zapłaty jednorazowej opłaty konwersyjnej w wysokości 1 % sum dłużnych.

Wierzyciele zachodni podpisali umowę w pełnej świadomości, że PRL nie jest w stanie zapłacić tego wysokiego oprocentowania, szacowanego dla zapadłości 1982 roku na 1,1 mld dolarów. Dla „ratowania twarzy” i uniknięcia skapitalizowania całości czy części oprocentowania zgodzono się na postawienie do dyspozycji PRL kredytu handlowego w wysokości 550 mln dolarów, a więc „refinansowanie” w formie tego kredytu w okresie najbliższych trzech lat, pod warunkiem, że Warszawa uiści pro-

1. Patrz *Kultura* nr 10/1981, str. 102.

2. Szczegóły układu w *Kulturze* nr 11/1981, str. 94-95.

centy w ustalonych terminach 19 listopada 1982, 20 grudnia 1982 i 30 marca 1983. Na tę przejściową pomoc zgodzono się, przyjmując — choć z powątpiewaniem — optymistyczne zapewnienia negocjatorów polskich, że w ciągu tych 3-ech lat sytuacja gospodarcza kraju poprawi się i umożliwi spłatę kredytu. W tym czasie warszawska *Trybuna Ludu* ogłosiła plan gospodarczy 1983, przewidujący wzrost produkcji przemysłowej o 4 %, rolniczej o 1,5-2,4 %, obrotów handlowych o 11 %.

Kosztem restrykcji importowych i zwiększonego eksportu, głównie węgla, Polska osiągnęła w roku 1982 nadwyżkę bilansu handlowego w wysokości około 400 mln dolarów. 23 listopada 1982 prasa we Frankfurcie doniosła, że pierwsza rata procentów za rok 1982, ustalona w układzie na 19 listopada, została uiszczona. Uregulowane też zostały dalsze raty. Warszawa dotrzymała więc zobowiązań w układzie wiedeńskim wobec banków zachodnich. Polska płaci! Powód do radości w sferach bankowych. Obojętnie jakim kosztem: ludności w kraju, czy zaoszczędzonych sum z kredytów państwowych.

Nie wszystko złoto co się świeci

Obiektywna ocena zawartych dotychczas układów jest bardzo trudna. Nie tylko z braku wiarygodnych statystyk PRL. Mamy do czynienia z rozwiązywaniem równań z wielu niewiadomymi. Oceny zależą też od punktu widzenia.

Administracja warszawska na ogół wyraża zadowolenie z układów i optymistycznie ocenia przyszłość. Zarzuca tylko Zachodowi „zimną kalkulację”. Marian Krzak uważa, że przez umowę wiedeńską „przełamane zostało swoiste embargo i po raz pierwszy banki wraz z polskimi negocjatorami znalazły sposób aby odłożyć także płatności odsetek, co przedtem wydawało się niemożliwe”. Jego następcą na stanowisku ministra skarbu, Nieckarz, zapewnia, że w tym roku PRL będzie mogła spłacić 2 mld dolarów długów zachodnich.

Według Krzaka końcowy rezultat refinansowania w roku 1981 wyrażał się wpływami z eksportu w obrotach wolnodewizowych w wysokości okragło 5,5 mld dolarów przy wypłatach na import 6,2 mld dolarów. W sumie, w roku 1981 uzyskano 4,9 mld dolarów kredytów bezpośrednich oraz 1,8 mld dolarów kredytów refinansowych. Pozwoliły one nie tylko spłacić raty długu, ale w pełni pokryć odsetki, sfinansować płatności importu oraz wytrzymać spadek krótkoterminowych depozytów o niebagatelną sumę 839 mln dolarów. Tak więc z tytułu operacji finansowych polska gospodarka w 1981 roku „nie poniosła żadnego obciążenia, ale przeciwnie, była zasilana z zewnątrz”. Podobnie było w roku poprzednim. Krzak oblicza, że faktyczne obciążenie gospodarki w roku 1982 dzięki zawartym układom wyniosło rzekomo tylko 0,6 mld dolarów.

Zagraniczni eksperci finansowi nie podzielają tego optymiz-

mu. Wyliczają, że nadwyżka bilansu handlowego w roku 1982 w wysokości około 400 mln dolarów, plus wpływy z usług około 300 mln i 1.400 mln nowych kredytów (szczególnie kredytów importowych z Kanady i Francji gwarantowanych jeszcze w roku 1981 i częściowo zrealizowanych) dały PRL rozporządzalne środki pieniężne w wysokości łącznej około 2,1 mld dolarów, gdy zobowiązania w twardej walucie szacowano na około 10 mld dolarów. Z tego efektywnie musiano zapłacić 1,8 mld kapitału i odsetek w myśl układów we Frankfurcie i Wiedniu (procenty i procenty od procentów zaległości), jak również 0,5 mld dla państw wierzycielskich w myśl układu z 1981 roku. Łącznie więc płatności z tytułu zawartych układów wynosiły około 2,3 mld dolarów, i to przy zamrożeniu płatności długów państwowych 1982.

Również wielu ekspertów krajowych, nawet na łamach *Polityki*, jak wspomniany Stanisław Gruzewski czy Daszczyk, nie zgadza się z optymizmem rządowym. Gruzewski oblicza — może nieco z przesadą — że w ciągu najbliższych 9 lat koszt samego oprocentowania wyniesie ogromną sumę 35,8 mld dolarów i przekroczy niemal o połowę sumę ogólnego zadłużenia. Krytykuje — i słusznie — zbyt krótkie terminy ustalonych w układach spłat (4-8 lat). Gdy na początku pertraktacji uznawano termin 10 lat za możliwy dla skutecznej sanacji finansów, dziś krytycy krajowi postulują moratorium na 15-20 lat. Za zupełnie bez sensu uważa Gruzewski praktykę oddłużeniową, przerzucającą spłatę kredytów z zapadłością w pierwszej połowie lat 80-tych na drugą połowę tego 80-lecia. „W drugiej połowie tych lat — pisał — sytuacja bilansu płatniczego Polski nie będzie lepsza, może być nawet gorsza”.

Nie można zamykać oczu na olbrzymie koszty „sukcesów” osiągniętych w drodze układów. Sukcesy te uzyskano tylko wskutek drastycznego zmniejszenia importu. Koryguje się z karygodnym opóźnieniem błędy nie tylko Gierka, ale i jego następców. Ograniczenie importu, nie tylko artykułów spożywczych, spada olbrzymim ciężarem na ludność. Hamuje to z tej strony całą aktywność gospodarczą. Przez duszenie importu cierpi eksport jako główne źródło dostarczające twardą walutę na pokrycie zobowiązań finansowych. Na eksporcie węgla, siarki czy miedzi nie można *à la longue* budować nadziei lepszej sytuacji bilansu płatniczego. Katastrofa w przetwórstwie jest już widoczna. Produkcja wyrobów tego przemysłu cofnęła się w 1982 roku o 10% w porównaniu z rokiem poprzednim i leży już o 38% poniżej stanu z roku 1980.

Przyszłe obciążenie gospodarki PRL płatnościami zagranicznymi nie jest jeszcze możliwe do obliczenia. Efektywne obciążenie skorygowane być musi przez brak sumy, jaką PRL powinna była i musi w przyszłości zapłacić z tytułu długów państwowych. Nie jest rozwiązana jeszcze sprawa płatności kredytów dłużnych krajom komunistycznym (Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej). Zobowiązania płatnicze wobec tych krajów sza-

cowano w roku 1982 na 0,5 mld dolarów przy około 6,5 mld ogólnego zadłużenia. Nie są też zapłacone zobowiązania wobec krajów arabskich, Argentyny i Brazylii (około 1 mld zadłużenia).

Co dalej?

Wydaje się, że partnerzy rokowań oddłużeniowych nie mają odwagi spojrzeć prawdzie w oczy. Nikt nie chce uznać, że układy zawierane na dotychczasowych zasadach są — jak to powiedział St. Gruzewski — „drogą do nikąd”. Dłużnik nie chce, i nie może, stwierdzić niewypłacalności. Usiłuje podtrzymać wiarygodność płatniczą. Czaruje wierzycieli zachodnich rzekomym uspokojeniem politycznym w kraju, postęпами reformy gospodarczej, spłacaniem wynegocjonowanych rat długów; *coûte que coûte!*

Warszawa ciągle ma nadzieję, że skoro wierzyciele zagraniczni już raz podjęli operację „refinansowania”, to muszą być one „podejmowane w przyszłości” (M. Krzak). Żąda się więc nadal nowych kredytów, zabiegając o możliwie niskie oprocentowanie, oraz skłonienie ich do poparcia wniosku o przystąpienie Polski do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. W toczących się pertraktacjach o uregulowanie zapadłości bankowych 1983 mówi się już o konieczności moratorium na 20 lat, potwierdzając tym pośrednio nierealność dotychczasowych układów, ale nie wysunęto jeszcze wyraźnie żądania rewizji zawartych już umów.

Wierzyciele zachodni też prowadzą strusią politykę chowania głowy w piasek. Zdają sobie niewątpliwie sprawę z napiętej sytuacji finansowej PRL, ale nie mają odwagi wyciągnięcia z tego własciwych konsekwencji. To co proponują, to małe poprawki kosmetyczne.

Banki zachodnie zaproponowały umowę dla długów 1983 niewiele odbiegającą od dotychczasowych układów. Proponują odłożenie płatności 95% kapitału w sumie około 1,5 mld dolarów na dziesięć lat (dotychczas 7) przy oprocentowaniu 1 i 7/8 powyżej londyńskiej stopy procentowej dla transakcji międzynarodowych (Libor), a więc nieco wyższym niż w poprzednim układzie dla wiarygodności 1981 i 1982. Dla ułatwienia PRL spłaty tegorocznych odsetek, szacowanych na 1,1 mld dolarów (tylko od kredytów bankowych) banki zachodnie gotowe są udzielić nowego kredytu handlowego w wysokości 60% tej sumy.

W dniu, w którym piszę te słowa Warszawa nie ustosunkowała się jeszcze do tych propozycji. Jeszcze raz trzeba podkreślić, że dotyczą one tylko długów bankowych, a więc około 45% ogólnej sumy zadłużenia zachodniego. Rządy krajów wierzycielskich nie sprecyzowały jeszcze swego stanowiska. Zawieszono pertraktacje dla uregulowania dłużnych i przez PRL niespłaconych sum z zapadłością w latach 1982 i 1983 mają być podjęte we wrześniu.

Zachód i długi polskie

Trzeba wyraźnie stwierdzić, że nie tylko taktyka PRL ale i polityka wierzycieli zachodnich w sprawie długów polskich zawiodła i nie gwarantuje na dłuższy dystans ani możliwości wyjścia PRL z kryzysu gospodarczego ani możliwości odzyskania lekkomyślnie zainwestowanych w Polsce kapitałów.

Między „Komitetem Paryskim” i Komitetem Bankowym (Task Force) nie było pełnego uzgodnienia. „Komitetowi Paryskiemu”, który jest swojego rodzaju emanacją rządów 16 krajów zachodnich, zabrakło wyraźnego rozeznania sytuacji politycznej, wyobraźni i konsekwencji, a bankowcom zrozumienia związku między polityką i gospodarką. Oba komitety kierowały się w pertraktacjach odmiennymi celami i zasadami.

Między gospodarką i polityką istnieje ścisły związek nie tylko w skali wewnątrzpaństwowej ale i międzynarodowej. Niestety nie wszyscy luminarze zachodni rozumieją, że pożyczone lekkomyślnie pieniądze można odzyskać tylko jeśli w kraju dłużniczym panuje sytuacja umożliwiająca twórczą pracę produkcyjną. Wywiązanie się ze zobowiązań możliwe jest tylko przy funkcjonowaniu gospodarki, a to uzależnione jest od wewnętrznej sytuacji społeczno-politycznej.

Poparcie przez Zachód postulatów ruchu „Solidarności” było właściwą i logiczną drogą wiodącą do tego celu, choć rządzący krajem reżym protestował przeciwko tzw. „mieszaniu się do wewnętrznych spraw suwerennego kraju”. Niestety kraje zachodnie nie umiały zdobyć się na skuteczną strategię. Wstrzymanie pertraktacji oddłużeniowych i sankcje gospodarcze mogłyby tylko wtedy należycie zagrać, gdyby konsekwentnie zastosowane były nie tylko do Polski, ale do wszystkich krajów bloku sowieckiego.

Jeśli chodzi o sfery bankowe, może się wydawać, że nie bardzo rozumie się jak dalece reżym Jaruzelskiego przekreślił możliwość szybkiego wyjścia PRL z kryzysu gospodarczego. Jego „pacyfikacja” i podjęta „reformacja gospodarcza”, w której skuteczność nikt w Polsce nie wierzy, nie stworzyły możliwości rzetelnej pracy produkcyjnej. Formalne zniesienie stanu wojennego i zastąpienie go przez nowy system rzekomej „stabilizacji i konsolidacji”, ucisku opartego na ustawach nadzwyczajnych gwałcących prawa ludzkie, pełnomocnictwach rządowych i powodzi biurokratycznych przepisów hamujących inicjatywę ludzi przedsiębiorczych, jeszcze bardziej pogłębiają stan depresji i beznadziejności. Ta socjalno-polityczna sytuacja kraju przez długi jeszcze czas będzie przeszkodą w uzdrowieniu gospodarki.

W tej sytuacji regulacja długów polskich — jak to słusznie pisał austriacki ekspert finansów światowych i dobry znawca stosunków polskich dr Adam Zwass — tylko wtedy może doprowadzić do spłat (i Polska stać się wypłacalnym dłużnikiem), jeśli konwersja całej masy dłużnej związana zostanie z progra-

mem uzdrowienia całokształtu stosunków w kraju. Jednakże tego rodzaju zamierzenie i potrzebne do tego środki mogłyby być zrealizowane tylko w ramach współpracy Wschodu z Zachodem.

W obecnym stanie stosunków Wschód-Zachód o takim rozwiązaniu trudno oczywiście marzyć. Trudno też sformułować jakiś inny program załatwienia sprawy długów w realnie istniejącej sytuacji, nad czym głowią się eksperci finansowi, nie tylko w zakresie długów polskich. Można jednak sformułować parę stwierdzeń, które powinny być wzięte pod uwagę w nowej fazie pertraktacji oddłużeniowych, jeśli nie stoi się na stanowisku „im gorzej tym lepiej”:

1) W świetle dotychczasowych doświadczeń wydaje się, że podjęta strategia „refinansowania” długów w corocznych układowych odcinkowych w skali długofalowej nie zapewni pożądanego rezultatu ani dla dłużnika ani dla wierzycieli. Terminy moratorium są za krótkie, oprocentowanie za wysokie.

2) Należałoby powrócić do koncepcji skonsolidowania długów i ustalenia planu ich globalnej konwersji w obu grupach kredytów państwowych i bankowych, z przesunięciem ich płatności na 15-20 lat, przy możliwie niskim oprocentowaniu i pomocy w tym celu międzynarodowych instytucji finansowych (Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Międzynarodowy Bank Rekonstrukcji i Rozwoju).

3) Tego rodzaju pomoc nie może być udzielona bez niezbędnej rewizji planu uzdrowienia gospodarki polskiej przy współdziałaniu fachowców zagranicznych i pod kontrolą reprezentantów wierzycieli.

4) Przy braku takiego planu i kontroli, zarówno z politycznych względów jak też przestrzegania podstawowych reguł sa-nacji finansowej, praktyka refinansowania długów nowymi kredytami powinna być zaprzestana. „Nie ma powodu — jak to powiedział dr Robert Holzach, prezydent „Schweizerische Bankgesellschaft” w Zurychu — traktowania dłużnika państwowego inaczej niż prywatnego kredytobiorcę... Jeżeli rządy nie są w stanie wiarygodnie udowodnić, że są w stanie wywiązać się ze swych zobowiązań, nowe kredyty powinny im być zamknięte. Udzielanie nowych zaliczek dla umorzenia starych długów lub utrzymania spłaty procentów nie powinno być dopuszczalne i w ogóle nie powinno być praktykowane³”.

Decyzje są trudne. Trudność tę wyraził dobrze przed paru laty pewien amerykański dyplomata mówiąc: „daje się kredyty złemu rządowi, umacnia się go w siodle; nie daje się kredytów złemu rządowi, szkodzi się dobremu narodowi”. Tu leży dylemat.

Janusz RAKOWSKI

Zurych, 10 sierpnia 1983

3. *Neue Zürcher Zeitung* z 11 lipca 1983.

POSŁOWIE

Wcześniej niż można się było spodziewać negocjatorzy PRL podpisali w dniu 19 sierpnia w Wiedniu zasadniczą umowę dotyczącą konsolidacji długów bankowych 1983. Szczegóły mają być podane oficjalnie do wiadomości po ostatecznym sformułowaniu układu i wyrażeniu zgody ze strony 500 zainteresowanych banków.

Według wiadomości prasowych zgodzono się na odroczenie 95 % tegorocznych zapadłości kapitału (1,5 mld dolarów) na 4 lata ze zobowiązaniem dłużnika do spłaty tej sumy w ciągu następnych 6 lat. Koszta tegorocznego oprocentowania wszystkich długów bankowych (1,1 mld dolarów) mają być formalnie zapłacone. Dla umożliwienia tej zapłaty zgodzono się na udzielenie PRL nowych krótkoterminowych kredytów handlowych w wysokości 65 % tych kosztów (pierwotna propozycja 60 %).

Pospieszono się zawrzeć ten układ jeszcze przed podjęciem rokowań o konwersję długów państwowych 1982 i 1983. Nowe kredyty „refinansowe” świadczą wyraźnie o pesymistycznej ocenie możliwości płatniczych PRL ze strony międzynarodowej finansjery. Ale kredyty znów udzielono. Wygląda to na dalszy *non stop nonsens*.

Zurych, 20 sierpnia 1983

j.r.

Uniwersytet letni wolnego świata

Trzydziestu studentów i trzynastu profesorów zjechało w dniach 15 sierpnia - 3 września do Domu Polskiego w Rzymie. Uczestnicy przybyli z krajów tak geograficznie odległych jak Kanada (13 osób) i Australia (1), a politycznie jak Wielka Brytania (2) i Jugosławia (1). Sześć osób przyjechało z Francji i po jednej ze Szwecji i Szwajcarii. Stosunkowo mała, pięcioosobowa grupa przyjechała z USA, gdzie zawieść musiała informacja, gdyż większość dowiedziała się o imprezie jedynie dzięki osobistym kontaktom z centralą kanadyjską. Uczestnicy przyjeżdżali na własny koszt, a za kurs płacili \$300, co pokrywało również pełne utrzymanie i wycieczki. Większość otrzymała pomoc finansową od organizacji polonijnych. Zaproszeni wykładowcy nie pobierali honorariów; zwracano im jedynie koszty podróży i pobytu.

Od strony akademickiej zjazd prowadził Henri Adamczewski, profesor Sorbony. Udało mu się sprowadzić do Rzymu wyjątkowo ciekawą grupę wykładowców. W pierwszym tygodniu Tadeusz Nowakowski i rotmistrz ks. Peszkowski opowiadali o podróżach Papieża. Relacje z pierwszej ręki przekazali też: Zbigniew Gryszkiewicz — o narodzinach Solidarności i prelegent z Kraju na temat literatury drugiego obiegu. Przez kilka dni był obecny w Domu Polskim biskup częstochowski Bareła. Dał on wykład o 'stanie ducha narodu', a następnie pozwolił wziąć się w krzyżowy ogień pytań i na wszystkie sumiennie odpowiedział, te o wypowiedzi Prymasa Glempa i diecezje lwowską i wileńską włączając. Nie sposób zrelacjonować wszystkich wykładów, było ich kilkadziesiąt. Największe cykle: Andrzeja Kawczaka, Jacka Woźniakowskiego, Jerzego Wojciechowskiego i Normana Daviesa znalazły niezamierzony wspólny mianownik. Czterej wykładowcy, każdy z innej pozycji: filozofii, kulturoznawstwa, socjologii i historii wykazywali *wielokulturowość* tradycji polskiej. Dla tych studentów którzy po raz pierwszy słyszeli o wielonarodowym państwie Jagiellonów była to rewelacja. Motyw ten został zaakcentowany pięknym gestem pojednania — koncertem chóru unickiego, który obok hymnu ukraińskiego śpiewał *Gaude Mater Polonia*.

Fenomenem którego nie sposób nie wspomnieć jest Norman Davies — Anglik pochodzenia walijskiego, oksfordczyk, który wydał niedawno „Boże igrzysko” — dwutomową historię Polski. W kilku godzinach rozprawił się przekonywująco z kilkoma mitami historiografii polskiej: odwieczną polskością ziem od Odry do Bugu (przez wszystkie kraje Europy przechodziły w wiekach średnich fale najazdów, tylko przez Polskę nie?), w polskością Gdańska (95 % ludności stanowili Niemcy, co nie przeszkadzało im być lojalnymi poddanymi króla polskiego i nienawidzić Prusaków), z teorią praw historycznych jako podstawą wytyczania granic (jest to według niego fikcja, która utrudnia tylko porozumienie między narodami), a wspólnie z Jackiem Woźniakowskim wyjaśnili sens funkcji Polak = katolik (nie zawsze i niekoniecznie). Do ciekawszych momentów należało opowiadanie Normana Daviesa o sesji w Chinach, gdzie do pięćdziesięciu skośnookich słuchaczy wygadał... po polsku. Prof. Daviesowi wyraźnie przypadł do gustu polski sposób bycia, doszukano się nawet śladów umyślnego akcentu polskiego w jego angielskim, pod koniec określał się już jako „dobry polski patriota” i „bardziej piśmudczyk niż dmowszczyk”.

Kilka wieczorów zajęły dyskusje „przy okrągłym stole”. Ochotnicy prezentowali społeczności polonijne swoich krajów i dyskutowano nad różnymi możliwościami koordynacji działań. Ogólnym wnioskiem było: Uczmy się od Żydów! Doszło do poważnej różnicy zdań między grupą kombatantów kanadyjskich a przedstawicielami części polonii francuskiej. Kombatanci, o przeciętnej wieku 25 lat (to oni sami się tak określali) byli członkami Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, które w Ka-

nadzie przyjmują młodych, aby udostępnić ram administracyjnych już istniejącej organizacji dla działalności polonijnej. Lansowali oni koncepcję *dużego marszu*, aby użyć modnego zwrotu. Według nich polskość ma szanse przetrwania w Kanadzie co najmniej przez trzy, cztery pokolenia i na tak długi czas zaplanowanej wspólnocie należy zapewnić podstawy organizacyjne i finansowe. Wspólnota ta powinna też mieć reprezentację polityczną, aby móc egzekwować od rządu kanadyjskiego oficjalnie uznaną politykę tolerancji kulturowej. Przeciwny punkt widzenia prezentowali Francuzi. Był to, wyrażając się obrazowo, program zorganizowanego demontażu polskości. Harcerstwo, kółka folklorystyczne, fundusze samopomocy itd., to etap przez który Polacy we Francji przeszli pięćdziesiąt lat temu. Nie zdało to egzaminu: asymilacja jest nieunikniona. Teraz, w drugim pokoleniu, powinno się zdobywać sympatię dla Polski *wśród Francuzów*. Niepokojące wieści przywieziono również z USA. Zaprzestano tam wprawdzie praktyki zmieniania nazwisk polskich na anglosaskie, ale np. w Chicago, drugim pod względem ilości mieszkańców miastem polskim na świecie, prowadzi się obecnie politykę rozbijania dzielnic polskich drogami przelotowymi i siedliskami murzyńskimi. O całości polonii wolnego świata mówili: współtwórca Uniwersytetu, prezes Jan Kaszuba i ksiądz biskup Szczepan Wesoły. (O polonii świata niewolnego nie mówiono).

Pobyt byłby z pewnością niepełny, gdyby uczestnicy będąc w Rzymie na polskiej imprezie nie widzieli polskiego papieża. Grupa została przyjęta na audiencji w letniej rezydencji papieża w Castel Gandolfo. Ojciec Święty zachęcił do kontynuowania przedsięwzięcia, podarował Uniwersytetowi pamiątkowy medal i pozował z grupą do zdjęcia.

Uniwersytet powinien być kontynuowany. Takie było odczucie uczestników, taka była wola Ojca Świętego. Przy pierwszym tego rodzaju zjeździe nieuniknione były niedociągnięcia: brak było biblioteki polskiej, plan zajęć mógł być ułożony z góry na trzy tygodnie. Pomysł zdał jednak egzamin na piątkę. Dobra wydaje się formuła selekcji, jaką wybrał w tym roku profesor Adamczewski: do większości urodzonej za granicą dobrać kilka osób niedawno przybyłych z Kraju, co dało tym pierwszym możliwość osłuchania się ze współczesną polszczyzną. Biegłość językowa słyszalnie wzrastała z każdym dniem. Wydaje się, że aby utrzymać wysoki poziom akademicki Uniwersytetu należałoby wprowadzić w przyszłych latach wybór kandydatów także pod kątem ich wiedzy o Polsce i znajomości polskiego. Wielką pomocą byłaby ułożona i rozesłana odpowiednio wcześniej lista lektur. Pozwoliłaby ona na zaznajomienie się ze słownictwem specjalistycznym i pomogła w lepszym zrozumieniu wykładów. Warto by też może zaczynać kursy z wykładów w językach obcych, tak aby sami uczestnicy zmęczyli się tym i poprosili o przejście na polski a nie na odwrót, jak to miało miejsce w tym roku.

Funkcji kształcenia działaczy polonijnych nie mogą wypełnić uczelnie PRL, Polacy za granicą muszą to zrobić sami. W tak olbrzymiej masie ludzi na pewno znajdzie się co roku kilkudziesięciu młodych ludzi dostatecznie zainteresowanych kulturą polską, aby podjąć podróż do Rzymu i spędzić trzy tygodnie na Uniwersytecie. Jako uczestnik dodać mogę tylko, że na pewno nie pożałują.

Radek SIKORSKI

KOMUNIKAT

W Paryżu został utworzony polski uniwersytet — Wolna Wszechnica Polska, zarejestrowany pod nazwą *Université Polonaise Indépendante*. Jest to placówka naukowa na poziomie szkolnictwa wyższego. Ma za zadanie studia i badania naukowe w zakresie nauk humanistycznych i społecznych, służąc zarówno kulturze polskiej i francuskiej poprzez więzy z francuskimi uniwersytetami oraz z francuską akademią nauk — C.N.R.S.

Idąc śladami warszawskiego „Latającego Uniwersytetu” okresu zaborów, Wolnej Wszechnicy Polskiej okresu międzywojennego i jej Kolegium z lat 1978 - 13.12.1981, oraz w łączności z Polskim Uniwersytem na Obczyźnie (P.U.N.O.) w Londynie, Wolna Wszechnica Polska w Paryżu prowadzi wykłady, seminaria i badania naukowe z zakresu filozofii i socjologii, historii Polski współczesnej i krajów z nią sąsiadujących, kultury mniejszości narodowych w Polsce, pedagogiki społecznej oraz ruchów związkowych i społecznych.

Na czele W.W.P. stanął jako jej rektor prof. Jerzy S. Langrod, prorektorem został wybrany przez biuro organizacyjne prof. Przemysław Gorecki. Siedziba W.W.P. w okresie jej organizacji mieści się 88, Boulevard Péreire, 75017 Paris; ewentualne zgłoszenia studentów, magistrantów i doktorantów należy kierować na adres sekretarza: Mgr Maria Lamzaki, 69, rue Brancion, 75015 Paris (tel. 531 43 25 — od godz. 19-tej lub w soboty od godz. 10-tej do 13-tej).

Inauguracja odbędzie się na początku listopada bież. roku. O terminie i miejscu będą osobne zawiadomienia. Broszura zawierająca program Uniwersytetu i dokładne informacje ukaże się w połowie października i będzie w polskich księgarniach w Paryżu.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI • PRZEKŁADY Z JĘZYKA
POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie.

Kraj

Trzy rozgłosnie

I

Spośród kilku nadających w języku polskim rozgłośni zachodnich trzy są słuchane powszechnie — są to: Radio Wolna Europa, Radio France Internationale oraz Głos Ameryki. Można przy tym założyć, iż ta ostatnia rozgłosnia zdobyła sobie największą ilość słuchaczy, co jest nie tyle efektem wysokiej jakości programu, co faktu, że jest ona najmniej spośród nich zagłuszana. Ilość słuchaczy nie jest też dobrą miarą — w krajowych warunkach odbioru — popularności: największą bowiem popularność zyskało sobie bez wątpienia RFI, choć stacja ta odbierana jest bez zakłóceń przez mniejszą niż Głos Ameryki grupę zainteresowanych.

Bez wątplenia te właśnie stacje — wraz z brytyjską BBC, o której programie najmniej mogę powiedzieć ze względu na fakt, iż jest to program na moim odbiorniku najtrudniej osiągalny — odegrały i odgrywają do dzisiaj wielką rolę w kształtowaniu opinii publicznej w Polsce po zamachu z 13 grudnia 1981. Warto przy tym zauważyć, że w okresie jawnego działania „Solidarności” ilość słuchaczy rozgłośni zachodnich (przynajmniej w tych kręgach, w których ja się obracam) gwałtownie się zmniejszyła.

Na ogół najlepszą słyszalność uzyskuje się w Polsce w godzinach wieczornych, od mniej więcej godziny 20-tej — choć nie jest to regułą: wszystko zależy od takich czynników jak zagłuszanie na danym paśmie, pogoda, także odległość od dużych ośrodków miejskich (na ogół na prowincji słyszalność jest lepsza). Zmienny jest także odbiór w zależności od pory roku: tutaj

jednak nie potrafię odtworzyć dokładnie różnic w odbiorze poszczególnych zakresów w odpowiedniej porze roku — w zasadzie lepszą słyszalność uzyskuję w zimie i na wiosnę. Nie ulega też wątpliwości, że najlepiej słyszeć programy na falach najkrótszych — 13, 16 i 19 m. Ogólnie panuje przekonanie, iż jedna z fal jest zawsze wolna od zagłuszania z tego powodu, iż władze muszą prowadzić własny nasłuch nadawanych audycji.

Trudno oczywiście bez przeprowadzenia stosownych badań określić liczbę słuchaczy rozgłośni zachodnich, lecz nie ulega wątpliwości, że — jak to się określa potocznie — „słuchają wszyscy”. Do zabawnych potwierdzeń tego faktu należy cytowanie prasy podziemnej w oficjalnych środkach masowego przekazu za... RWE: swego czasu uczynił to w *Tu i Teraz* Urban podejmując polemikę z jednym z pism „Solidarności”. Można z tego wyciągnąć budujący wniosek, że władze nie rozporządzają dobrze prowadzonym archiwum prasy podziemnej, zdając się w tej mierze na wybór tekstów dokonywany przez „wrogą rozgłosnię”. Świadczyć by to mogło o niekompetencji odpowiednich służb informacyjnych aparatu władzy nie potrafiących przedstawić właściwym organom i instytucjom przynajmniej ogólnego wyciągu nieocenzurowanej prasy. Być może i w innych sferach dotyczących badania nastroju społeczeństwa panuje podobna sytuacja.

II

Zaletą RFI jest lakoniczność nadawanego programu. Główny nacisk położony został na informację, przy czym w większości wypadków dziennik redagowany jest w oparciu o wiadomości sprawdzone. Niestety — rozgłosnia ta czasami powtarza pojawiające się na Zachodzie „przekłamania” — tak było swego czasu z plotką o zatruciu Wałęsy środkami farmakologicznymi, tak też było z powtórzeniem pogłoski o schwyтaniu Bujaka. Tego typu „wpadki” informacyjne zdają się świadczyć o „wyciskaniu” ze źródeł wszystkiego, co się da — ma to swoje zalety, lecz czasami, gdy wiadomość jest ważna a pochodzi ze źródeł nie do końca pewnych, może spowodować trudne do wymierzenia szkody, zwłaszcza gdy chodzi o informacje dotyczące istotnych spraw życia społeczno-politycznego w kraju. Ostatnio, na szczęście, podobnych wpadek nie było.

Dziennik RFI redagowany jest żywo, z poczuciem humoru (czasami tonacja głosu spikera starcza za komentarz), bardzo osobiście. To zindywidualizowanie tonu w dużej mierze jest czynnikiem zdobywającym dla rozgłośni popularność. Znam wielu

ludzi, którzy układają plany popołudniowe w ten sposób, by móc wysłuchać przynajmniej jednej z audycji wieczornych.

Zapewne — lakoniczność dziennika, jego żywe tempo i świetna dynamika są efektem stosunkowo krótkiego czasu emisji poszczególnych audycji. Te ograniczenia czasowe są bez wątpienia czynnikiem wpływającym na szczególnie staranne redagowanie serwisu informacyjnego. Warto jednak zwrócić przy tym uwagę na fakt, iż RFI najszybciej ze wszystkich znanych mi rozgłośni polskich wykorzystuje agencyjne serwisy informacyjne — często wiadomości podawane w dzienniku RFI o godz. 19.30 znajdują w dzienniku RWE dopiero o godz. 23-ej: dotyczy to zwłaszcza wydarzeń krajowych.

Zręcznie i nie bezkrytycznie redagowana jest część dziennika poświęcona sprawom francuskim. Słuchacz w Polsce odnosi wrażenie, że niezależnie od rzeczywistego stanu rzeczy, którego nie znam — redakcja posiada spory stopień niezależności. To bardzo istotny czynnik w kształtowaniu zaufania słuchaczy. Dotyczy to także przeglądu prasy francuskiej podawanego w obu wieczornych audycjach RFI — na uwagę zwłaszcza zasługuje ironiczny dystans wobec korespondencji przekazywanych z Polski przez B. Margueritte'a. Przy tym — trzeba to podkreślić — w przeglądzie otrzymujemy panoramę stanowisk całej liczącej się prasy francuskiej, zaś prezentacja tych stanowisk jest dość wyraźnie oddzielona od redakcyjnego komentarza.

Najwięcej uwag krytycznych wywołuje ostatnia część w trzeciej z codziennych audycji RFI, nierzadko poświęcona problemom mało interesującym słuchaczy krajowych, jak choćby nowinkom technicznym itp. (Być może wielu to rzeczywiście interesuje, lecz nie po to przebijają się przez zagłuszaczkę). Nie jest to zjawisko nagminne, niemniej często bywa irytujące — nie dla takiego programu rezerwuje się czas na słuchanie tej rozgłośni. To samo dotyczy części programów kulturalnych — streszczanie mało istotnych filmów (uzasadniane tym, że ze względu na koszty nieprędko da się je zobaczyć na polskich ekranach) jest zwykłym traceniem czasu antenowego. Brak w sferze kultury jakiejś spójnej koncepcji programowej — poszczególne audycje sprawiają wrażenie przypadkowego, dyktowanego doraźnymi względami doboru materiału. Wyjść z tej sytuacji może być wiele: np. redagowanie 10-15 minutowej „kroniki kulturalnej” z eksponowaniem poloników, opracowanie serii audycji problemowych, serii wywiadów z wybitnymi osobistościami polskiej emigracji (ta forma wykorzystywana jest zbyt rzadko) itd. Trudno tu coś konkretnego doradzać — jedno jest pewne: widoczny jest brak koncepcji redakcyjnej w ostatniej części trzeciej audycji. Być może

wynika to z faktu, iż — w związku z tym, że dodatkowym czasem antenowym RFI dysponuje niewiele ponad rok — brak było dotąd czasu na opracowanie takiej koncepcji.

III

RWE jest niewątpliwie rozgłośnią najbardziej w Polsce znaną, a tym samym, zwłaszcza na prowincji, uznawaną za najbliższą. Największą rolę, jak we wszystkich rozgłośniach, odgrywają audycje informacyjne. I tutaj uwaga natury zasadniczej: często w ciągu jednego dnia te same problemy pojawiają się w kilku różnych audycjach — w dzienniku, w „Faktach, wydarzeniach, opiniach” i w „Panoramie dnia”. Wszystkie te audycje są powtarzane w ciągu doby kilkakrotnie — należałoby się zastanowić czy tak częste powtarzanie tej samej wiadomości jest w programie konieczne. Nadto — o czym wspominałem wyżej — informacje serwowane w RWE są często spóźnione o kilka godzin, czasami o dobę, w stosunku do RFI. Wynika to zapewne z faktu, iż w RWE obowiązuje zageszczone sito informacyjne — każda wiadomość musi być sprawdzona w kilku niezależnych źródłach. To opóźnienie jednak wydaje się czasami zbyt duże.

Audycją, która wzbudza najwięcej kontrowersji są „Rozmowy o prasie krajowej”. Być może w pierwszych miesiącach stanu wojennego tego rodzaju omówienia miały swoje uzasadnienie — dziś traktowane są przez większość znanych mi odbiorców jako swego rodzaju „wata” programowa. Nie znaczy to jednak, że audycje poświęcone prasie krajowej nie są potrzebne — ale konieczna jest zmiana formuły. Zamiast „rozmówek” można np. nadawać audycje poświęcone analizie poszczególnych problemów, analizie całego systemu oficjalnej i podziemnej prasy krajowej, analizie języka tej prasy itp.

W ogóle sprawa prasy polskiej — podziemnej, oficjalnej i emigracyjnej — wymaga w RWE nowego podejścia. Poszczególne sfery izolowane są od siebie. Czas wreszcie znaleźć syntetyzujący punkt widzenia, tak np. obok prezentacji tekstów prasy podziemnej konieczna się wydaje ich analiza problemowa. Podobnie z prasą emigracyjną, której struktura w ostatnich latach zmieniła się w sposób bardzo widoczny. Warto zestawiać np. różne punkty widzenia na możliwość rozwiązania kryzysu polskiego we wszystkich typach prasy polskiej. W kraju brak czasu na podjęcie takich syntetycznych opracowań, gdy tymczasem wydaje się, że redakcja RWE w niedostatecznym stopniu wykorzystuje tu swoje zasoby archiwalne i ludzkie możliwości.

Ogólnie rzecz ujmując — RWE jest rozgłośnią, która może

i powinna spełniać dwie podstawowe dla kraju funkcje: 1) może stać się rodzajem agencji informacyjnej pełniącej funkcje podobne jak w okresie jawnego działania „Solidarności” pełniły Biuro Informacji Prasowej „Solidarności” (BIPS) oraz Agencja „Solidarności” (AS), 2) może stać się ośrodkiem prezentującym analizy oraz syntetyczne opracowania poszczególnych problemów. Tymczasem materiał informacyjny RWE jest dość „rozproszkowany”, zaś poszczególne problemy zatowiszowane. Wymaga to, moim zdaniem, sporych zmian strukturalnych w programie: prędzej czy później zmiany te wydadzą się nieuniknione.

Rozgłosnia Polska RWE nie działa w izolacji — jest fragmentem większego systemu. Ta sytuacja wydaje się niedostatecznie wykorzystana. W kraju brak np. opracowań syntetycznych (w rodzaju opracowań prezentowanych przez PPN) na temat sytuacji w poszczególnych krajach bloku czy w ogóle w systemie komunistycznym wraz z jego przyległościami. O potrzebie tego rodzaju informacji świadczy np. wprowadzenie na łamach warszawskiego *Tygodnika Wojennego* stałej rubryki „Socrealia” (opracowywanej, nawiasem mówiąc, głównie na podstawie nasłuchu radiowego) — tutaj możliwości RWE są ogromne. Bez wątplenia przydałoby się syntetyczne, systematyczne nadawanie audycji o sytuacji w Czechosłowacji, Rumunii, na Węgrzech, Kubie czy też w poszczególnych republikach sowieckich. Takie materiały od czasu do czasu się pojawiają, lecz przypadkowo. Swego czasu przez RWE nadawana była audycja „U naszych sąsiadów”, która w pewnej mierze spełniała funkcje, o których piszę — warto by pomyśleć o reaktywowaniu tego rodzaju programu.

Najlepiej prowadzonym działem w RWE wydaje się dział kulturalny, lecz i tutaj daje się dostrzec istotne braki: 1) brak dobrze prowadzonej kroniki kulturalnej, która eksponowałaby obecność kultury polskiej w świecie, problemy kultury niezależnej w krajach bloku, np. bardzo dla słuchaczy krajowych interesujący ruch wydawnictw pozacenzuralnych w Czechosłowacji, na Węgrzech itp., 2) w prezentacji zawartości pism emigracyjnych, na ogół dobrej, brak podawania spisu treści poszczególnych numerów omawianych periodyków, 3) recenzje z wydawnictw emigracyjnych są często spóźnione, brak przy tym stałej rubryki (np. raz w miesiącu) podającej pełen wykaz najnowszych publikacji. Do osiągnięć tego działu zaliczyć natomiast trzeba wprowadzenie stałych mniej więcej wywiadów z wybitnymi osobistościami polskiego wychodźstwa (np. wywiady W. Karpińskiego). Zwraca też uwagę systematyczne recenzowanie najciekawszych pozycji wydawnictw krajowych, zarówno oficjalnych, jak i podziemnych. Brak natomiast dyskusji poświęconych problemom kultury narodowej, a w końcu jest to forma najbardziej

„radiowa”, zaś ewentualnych uczestników takich rozmów na pewno nie zabraknie. Prezentacja żywego głosu kilku dyskutujących pisarzy czy naukowców emigracyjnych na pewno przybliżyłaby ich sylwetki słuchaczom — wywiad jest tutaj tylko wstępną formułą. I jeszcze jedno w tym dziale — znakomicie od kilku lat prowadzona wszechnica radiowa (czy ktoś pomyślał o publikacji zeszytów tej wszechnicy w odrębnej serii? — byłoby to o tyle ważne, że wydawnictwa podziemne na pewno są w stanie przedrukować tego rodzaju pozycje).

Olbrzymią rolę odgrywa odczytywanie w RWE tekstów prasy podziemnej — zwiększa to wydatnie zasięg oddziaływania tej prasy, zwłaszcza na prowincji, gdzie ryzyko normalnego kolportażu jest stosunkowo duże. Wybór tekstów dokonywany jest dość precyzyjnie — z zachowaniem właściwych proporcji między poszczególnymi odłamami światopoglądowymi, obiektywnie. Może w ogóle warto rozszerzyć czas antenowy przeznaczony na prezentację tych materiałów?

Zbyt mało miejsca poświęca natomiast RWE problemom emigracji — w chwili obecnej, gdy z Polski podniosła się fala wychodźstwa, sprawy te interesują właściwie wszystkich. Warto poświęcić specjalny cykl audycji zagadnieniom nowych centrów emigracyjnych, ich relacjom z centrami już istniejącymi, sprawom emigracji zarobkowej i warunkom na jakie natrafiają na Zachodzie ludzie wyjeżdżający z kraju, ocenie nowej emigracji przez osiadłych na Zachodzie Polaków, problemom organizacyjnym Polonii (m.in. ważny temat tzw. spółek polonijnych). Ma to istotne znaczenie dla budowania bardzo w przyszłości ważnej relacji kraj - emigracja. Osobnym zagadnieniem jest tutaj stałe zwracanie uwagi na stosunek władz polskich do emigracji — stanowisko to ulega ciągłej ewolucji: warto może dokonać syntetycznego opracowania tego tematu, przy czym nie od rzeczy byłoby tu zestawienie z Węgrami, gdzie ten problem znalazł rozwiązanie jak na komunistyczne praktyki niezwykle interesujące.

Wielkim powodzeniem cieszy się w Polsce stała audycja Jacka Kaczmarskiego — dynamiczna, z wyraźnie określonym programem, wyczulona na centralne problemy historii i życia społecznego kraju. Fakt zagłuszania audycji nie wpływa specjalnie na znaczenie odbioru prezentowanych tu piosenek — teksty są na ogół w kraju znane, a w audycji stanowią istotny element kompozycyjny. Zresztą, to nie jest piosenka, w której zwraca się specjalną uwagę na melodię, zaś słowa przez szum „traktora na luzie” (jak nazwał warkot zagłuszaczki Jacek Fedorowicz) jakoś przebijają.

Popularność zdobywa także wprowadzona od niedawna sobotnia audycja dla młodzieży. Myślę, że warto ją uzupełniać od czasu do czasu informacjami na temat problemów młodzieży na Zachodzie (np. sprawa ruchu antynuklearnego — nie wolno redukować tych postaw wyłącznie do propagandowego nacisku Moskwy, raczej można by poszukać związków z działającym w NRD ruchem „Przekujmy miecze na lemiesz”: w każdym wypadku zbywanie ruchów pacyfistycznych ironiczną drwiną jest, zwłaszcza w stosunku do młodych, niebezpieczne, gdyż często atakuje etyczne podstawy tych wystąpień). Warto pamiętać, że problemy młodzieży zachodniej są często dla jej krajowych rówieśników niezrozumiałe. Również warto w tej audycji podawać informacje o manifestacjach młodzieży w innych krajach bloku — np. takie materiały, jak dane o grupie skupionej w Czechosłowacji wokół wydawanego niezależnie pisma *Vokno*, demonstracjach niepodległościowych młodzieży w Estonii czy w Gruzji. Przydałyby się tutaj opracowania historyczne, dla których podstawą mogłyby być m.in. działy kronikarskie paryskiej *Kultury* — tu jednak trzeba po prostu włożyć sporo wysiłku. Jest on jednak niezbędny — wydaje się, że pojawienie się podobnej problematyki w RWE może się przyczynić do budowania więzi wspólnoty między ruchami opozycyjnymi całego bloku. Ma to znaczenie istotne choćby dla reinterpretacji znaczenia uchwalonego przez zjazd „Solidarności” postanowienia do ludzi pracy Europy Wschodniej — dotychczas w większości opracowań jest ono jednoznacznie uważane za błąd polityczny, warto może jednak ocenić jego możliwą rolę w przyszłości, nie tylko w wymiarze doraźnym.

Bardzo ważnym cyklem audycji była seria poświęcona analizie programu „Solidarności”. Warto do tych spraw powracać w cyklu poświęconym problemom polskiego świata pracy zestawiając proponowane w tym programie rozwiązania z praktyką działalności związków zawodowych w krajach Zachodu. Istotne znaczenie ma też powracanie do problemów samorządu pracowniczego i jego funkcji w zakładach pracy. Te zagadnienia muszą być stale obecne w RWE, podobnie jak zagadnienia dotyczące wsi polskiej. Byłoby może wskazane sięgnięcie do takich materiałów historycznych jak koncepcje Abramowskiego, dzieje polskiego ruchu ludowego itp. Wiele z idei wypracowanych w przeszłości znalazło swój wyraz w formowaniu aspiracji społecznych po Sierpniu 80 — podkreślanie w tej dziedzinie ciągłości polskiej myśli i walki społecznej jest elementem niezwykle ważnym. Trzeba też przypominać takie inicjatywy społeczne po roku 1976, jak chłopskie komitety samoobrony, Studenckie Komitety Solidarności, komitety obrony ludzi wierzących itp. Po Sierpniu

wielką rolę odegrały koncepcje wszelkich instytucji samorządowych — trzeba stale do nich powracać.

Dobrym pomysłem jest cykl audycji prezentujący osoby i problemy RWE, a także odpowiedzi na listy radiosłuchaczy. Przybliża to rozgłośnie publiczności krajowej. Przestrzegabym jednak przed swoistą laurkowością w rodzaju takiego wystąpienia, jak stwierdzenie przez jednego z młodszych rozmówców, iż właśnie z RWE zdobywał wiadomości o najnowszych przebojach muzycznych — akurat tego typu nowości poszukiwało się przede wszystkim w nie zagłuszonym Radio Luksemburg, a nie w RWE. Niedobrze by było, gdyby słuchacze odnosili wrażenie, że mają do czynienia ze swego rodzaju grą towarzyską czy zabawą w „układy”.

Ogólnie rzecz ujmując — wskazane byłoby następujące przesunięcie akcentów programu RWE: ograniczenie własnych komentarzy (te przynajmniej obecnie osiągalne są w prasie podziemnej) na rzecz informacji i opracowań syntetycznych oraz analiz problemowych. Brak w kraju możliwości rzeczowego i sumiennego opracowania materiałów. RWE, jak można sądzić z prezentowanych w poszczególnych audycjach tekstów, dysponuje znakomitą bazą informacyjną i dość bogatym materiałem archiwalnym (m.in. kompletami prasy niezależnej), by podjąć pracę zmierzającą do przedstawienia opracowań zbiorczych. Wymaga to, oczywiście, zasadniczych niekiedy zmian w metodach pracy, ale też nie ulega wątpliwości, że w tej właśnie rozgłośni musi obowiązywać zasada elastyczności pozwalająca przystosować kształt programu (świetna w stanie wojennym audycja przełamująca bariery komunikacyjne między rodzinami) do zmieniających potrzeb krajowych. Niedopuszczalne są natomiast sytuacje podobne do tej, która miała miejsce po zmianie ambasadora ZSSR w Polsce: braku informacji na temat kariery nowomianowanego namiestnika — taka informacja musi być przekazana do kraju najpóźniej w ciągu 48 godzin, podobnie jak zbiorcza informacja dotycząca działalności jego poprzednika. Tego typu luki informacyjne są na pewno rzadkością w działalności RWE, niemniej one właśnie mają szczególne znaczenie w ocenie programów rozgłośni.

Na RWE, ze względu na autorytet, jaki zdobyła sobie ta rozgłośnia w krajowej opinii publicznej, oraz z uwagi na stosunkowo dużą (lecz zawsze niewystarczającą) ilość czasu antenowego, ciąży szczególne obowiązki. Wydaje się, że pod kierownictwem Zdzisława Najdera program RWE ewoluuje w sposób pozwalający mieć nadzieję na zwiększenie z czasem jego dynamiki. Zmiany te jednak wydają się wciąż z punktu widzenia krajowych potrzeb zbyt powolne: w działalności RWE znajdują swe odbi-

cie wszelkie zalety i mankamenty polskiej emigracji — wielorakość inicjatyw, wielokierunkowość poszukiwań przy jednoczesnym braku czynnika koordynującego.

IV

I wreszcie Głos Ameryki. Audycja szczególnie ważna ze względu na jej szeroki zasięg i praktycznie brak zagłuszania. Słuchana jest przede wszystkim w późnych godzinach wieczornych, głównie ostatnia godzina programu nadawana i powtarzana w czasie 23.00 - 1.00.

Podobnie jak pozostałe rozgłoszenie, również Głos Ameryki uzyskał w czasie trwania stanu wojennego dodatkowy czas antenowy (można powiedzieć, iż jest to jedyna rzeczywistość zdobyta społeczna ekipy Jaruzelskiego). Także ta rozgłoszenia dokonała zmian w strukturze programu: tu do najbardziej interesujących nowości należą nadawane w czwartki audycje poświęcone literaturze emigracyjnej i niezależnej, a także cykl wywiadów poniedziałkowych z różnymi osobistościami polskiego wychodźstwa. Tu jednak od razu istotne zastrzeżenie: wiele z tych wywiadów jest nieudanych ze względu na rażącą naiwność osoby je prowadzącej, co powoduje, że poziom odpowiedzi sprowadzony być musi do bardzo niskiego poziomu pytania — w ten sposób z najbardziej interesującego rozmówcy można zrobić półgłówka. Żeby nie być gołosłownym: przypominam sobie wywiad z Kazimierzem Brandysem, w którym jako bodaj laureat nagrody Jurzykowskich, został on zmuszony przez prowadzącego wywiad do charakterystyki swoich poprzedników-laureatów — przecież to czysty nonsens: co można sensownego powiedzieć o człowieku mając do dyspozycji mniej więcej trzy minuty? Takich przykładów jest więcej. Myślę, że warto pod tym kątem dokonać bardziej wnikliwej analizy tego problemu niż ta, którą tutaj jestem w stanie przedstawić (a raczej tylko zasygnalizować).

Wiele do życzenia pozostawia także materiał informacyjny — poza dziennikowym — poświęcony Polsce. W większości audycje na ten temat opierają się na relacjach europejskich korespondentów Głosu Ameryki, powtarzających dane i opinie zawarte w prasie starego kontynentu. Brak natomiast własnych, redakcyjnych opracowań — a nie wierzę, by taka instytucja, jaką jest Głos Ameryki, nie dysponowała własnymi archiwami, zbiorami prasy niezależnej itp. Warto tu przy okazji zauważyć, że w zbyt małym stopniu wykorzystywany jest przez rozgłoszenie potencjał intelektualny emigracji, zwłaszcza fal z okresu po 1968 roku: w USA znajduje się w chwili obecnej wielu młodych polskich

naukowców, przede wszystkim humanistów, którzy powinni się znaleźć w kręgu stałych współpracowników rozgłosni. Nie wykorzystany jest też temat o niesłuchanej wadze politycznej: USA po dzień dzisiejszy nie uznały zagarnięcia przez ZSSR republik bałtyckich — Łotwy, Litwy i Estonii; w Stanach działają silne centra emigracyjne tych krajów — niestety, echa tego stanu rzeczy w polskich audycjach Głosu Ameryki mają charakter śladowy. Podobnych przeoczeń i niedociągnięć można by wymienić więcej: choćby sprawę tak kapitalnej wagi, jak brak stałej i rzeczowej prezentacji prasy emigracyjnej ukazującej się na terenie USA.

Powstaje czysto teoretyczne pytanie, gdzie tego typu materiał upchnąć. Problem typowo pozorny: wystarczy np. zlikwidować stałą piątkową audycję muzyczną (składiną sympatyczną i nieźle redagowaną). Zajmowanie czasu antenowego przez audycję muzyczną w obecnych warunkach, zwłaszcza przy niezłym programie muzycznym radia krajowego, prezentującego także sporo muzyki amerykańskiej, jest, delikatnie rzecz ujmując, marnotrawstwem. Możliwości na pewno znajdzie się więcej. Przy okazji — pewne sprawy powinny być koordynowane przez poszczególne rozgłoszenie: zarówno w RWE jak w Głosie Ameryki odczytywany był w całości raport o przestrzeganiu praw ludzkich opracowany na zlecenie TKK NSZZ „Solidarność” — można było chyba oszczędzić sporo czasu antenowego, gdyby jedna z radiostacji (w tym wypadku chyba raczej RWE ze względu na czystszy odbiór Głosu Ameryki) ograniczyła się do omówienia tego raportu.

Jest sprawą oczywistą, że do zadań Głosu Ameryki należy m.in. przybliżenie słuchaczom realiów życia społecznego i polityki USA — w tej sferze programu nie mam zamiaru podejmować krytyki, gdyż ani nie znam problemów życia USA, ani nie mam zamiaru rezygnować ze słuchania tego rodzaju audycji (pod warunkiem, że nie będą dotyczyły problemów hodowców kanarków).

V

Prezentowane tu uwagi na temat działalności nadających po polsku radiostacji zachodnich są z konieczności i skrótowe, i ogólne. Pisane są z pozycji człowieka, który przy radioodbiorniku, dla różnych powodów, musi spędzać sporo czasu i słucha omawianych tu audycji w miarę systematycznie. Nie roszczę sobie pretensji ani do wygłaszania niepodważalnych racji, ani, tym bardziej, do wyczerpania tematu. Sądzę, że poszczególne programy — a także cała struktura polskojęzycznych audycji na-

dawanych do kraju z Zachodu — powinny zostać poddane szczegółowej, wnikliwej analizie. Niniejszy artykuł stanowi jedynie zasygnalizowanie problemu. Być może sprawa ta powinna stać się przedmiotem zainteresowania najpoważniejszych organizacji emigracyjnych: czy to poprzez zwołanie kongresu lub kolokwium poświęconego tym zagadnieniom, czy to w innej formie — nie wiem.

Problem istnieje i obejmuje dużo większy zakres niż jedynie działalność wymienionych tu rozgłośni. Jest to problem utworzenia jakiegoś centrum informacyjno-analitycznego wspierającego m.in. pracę tych rozgłośni. Nie wątpię, że organizacja i uruchomienie takiego ośrodka nie jest problemem łatwym. Niemniej sytuacja zdaje się w pewien sposób takiej inicjatywie sprzyjać — tym bardziej, że na Zachodzie znalazła się obecnie spora grupa ludzi z Polski, których możliwości i umiejętności w tej dziedzinie sprawdzone zostały w prasie niezależnej lat 1976-1982.

Obok wielu inicjatyw indywidualnych — do nich zaliczyć należy np. powstanie redakcji *Zeszytów Literackich*, *Kontaktu*, *Archipelagu* czy *Wieloznasu* — brak jest inicjatyw zmierzających do skupienia tych wysiłków. Z perspektywy krajowej jest to bardziej odczuwalne niż na Zachodzie.

Im wcześniej do takich działań dojdzie, tym lepiej. Byłoby bowiem niepowetowaną stratą zaprzepaszczenie takiej możliwości. Niestety: mnożą się sygnały wskazujące na postępujący podział, a nawet wewnętrzne skłócenie nowej fali emigracyjnej, a także na rozdźwięki z ośrodkami wychodźstwa działającymi na Zachodzie już od dziesięcioleci. Ma to zapewne bardzo konkretne, nie tylko ambicjonalne, przyczyny. Podejrzewam jednak, iż powodem najpoważniejszym braku inicjatyw zmierzających do koncentracji prac polskiego wychodźstwa jest zwykłe lenistwo.

Bogdan STASIKOWSKI

FUNDUSZ DRUKARSKI IM. GŁOWACKIEGO

Drukarze są najczęściej pracującą, najbardziej chyba narażoną na ryzyko i mającą najmniej okazji do doświadczenia społecznej aprobaty dla swej działalności „grupą zawodową” podziemia. Pracują w bardzo ciężkich warunkach, po dwanaście i szesnaście godzin na dobę, często na niesprawnym, ciągle psującym się sprzęcie. Grożą im wysokie wyroki. Bez nich nie byłoby podziemnych gazet i książek, nie mogłaby funkcjonować oświata niezależna. Ich praca jest fundamentem, na którym jest budowany gmach niezależnego społeczeństwa. Jakże jednak często jest tak, że o drukarzach myślimy przede wszystkim wtedy, gdy opóźnia się produkcja kolejnej porcji, gdy druk jest zamazany lub kolejność stron — przestawiona. I zbyt

rzadko, gdy cieszymy się kolejnym numerem podziemnej gazety czy kolejną książką, pamiętamy o tych, których ciężka praca umożliwiła jej powstanie.

12 lipca 1894 roku opuścił drukarnię pierwszy numer *Robotnika* — wydawanego w podziemiu, pod carskim zaborem, organu nielegalnej PPS. Wtedy, jak i dziś, walka szła o wyzwolenie narodowe, o sprawiedliwość społeczną, o elementarne prawo do prawdy i godności. W walce swej społeczeństwo zyskało wtedy nieocenionego sojusznika — regularną, krajową prasę podziemną, i odtąd stale towarzyszy mu ona w tej walce. Przeszło do historii owiane legendą nazwisko pierwszego redaktora *Robotnika*, późniejszego Naczelnika państwa — Józefa Piłsudskiego. Ale historyk zapamiętał też nazwisko zecera, który składał ten pierwszy numer podziemnego pisma, i numery następne — Władysława Głowackiego.

Przyjdzie czas, gdy dzisiejsi podziemni drukarze będą mogli ujawnić się, a ich nazwiska także nie będą zapomniane; już dziś powinniśmy jednak dać wyraz naszej wdzięczności wobec tych, których anonimowa praca umożliwia swobodny przepływ niezafałszowanych informacji i niezależnych poglądów. Dlatego też proponujemy:

— ogłosić dzień 12 lipca *Dniem Podziemnego Drukarza*.

W tym dniu prasa podziemna będzie zamieszczać materiały o pracy drukarzy — może pisane i redagowane przez nich samych — by przybliżyć opinii publicznej wartość i trud tej pracy

— uruchomić *Fundusz Drukarski* im. Głowackiego, przeznaczony na podwyższenie stawek drukarskich i finansowanie ulepszeń warunków pracy. Dobrowolne wpłaty czytelników, przekazywane redakcjom z dopiskiem — „Na Fundusz Drukarski” — stanowiąc będą namacalny wyraz wdzięczności.

Wzywamy inne redakcje oraz ogół czytelników do poparcia tych inicjatyw.

Przedrukując Komunikat, który ukazał się w podziemnym piśmie *KOS*, Redakcja *Kultury* przekazuje na FUNDUSZ DRUKARSKI F.4.000,00.

ARCHIWUM FILMÓW ZAKAZANYCH

Pilnie poszukujemy kopii polskich filmów fabularnych i dokumentalnych celem przegrania ich na taśmy video.

Polen Initiative,
Postfach 86 0828, D-8000 München 86,
West Germany — Niemcy Zachodnie

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Gdyby nie 269 ofiar, historia nieszczęsnego lotu południowo-koreańskiego samolotu, zestrzelonego przez sowiecki samolot myśliwski mogłaby służyć za wzorzec stosunków między Związkiem Sowieckim a światem nie-sowieckim. Nie jest to oczywiście pierwszy ich przykład, ale główne elementy wzorca — zachowanie Moskwy, stosunek Zachodu do popełnionego przestępstwa — stały się widoczne w ciągu kilku dni, zamiast rozciągać się na miesiące lub lata, jak to było w przypadku Węgier, Afganistanu czy Polski.

Postępowanie Związku Sowieckiego, przykłady dezinformacji i metody propagandy widać jak na dłoni na przestrzeni zaledwie kilku dni. *Prawda* z okresu dziesięciu dni może służyć za podręcznik dla szkół, uniwersytetów i ministerstw spraw zagranicznych krajów zachodnich. Pierwszy tekst do zaanalizowania ukazał się w *Prawdzie* 2 września. Zatytułowany jako „Komunikat TASS-a”, liczy on zaledwie kilka linijek: „Nocą z 31 sierpnia na 1 września wtargnął w przestrzeń powietrzną Związku Sowieckiego od strony Oceanu Spokojnego samolot nieokreślonej przynależności... Myśliwce PWO (obrony przeciwlotniczej), które wyleciały na spotkanie samolotu-intruz, starały się pomóc mu w dotarciu na najbliższe lotnisko. Jednak samolot-intruz nie reagował na sygnały i ostrzeżenia sowieckich niszczycieli i kontynuował lot w kierunku Morza Japońskiego”. Z tekstu wynika, że pojawił się nieznany samolot, który naruszył sowieckie terytorium, starano się mu „pomóc” — tzn. zmusić do lądowania na sowieckim lotnisku — a on uciekł „w kierunku Morza Japońskiego”. Następnego dnia sowieckie gazety opublikowały następny tekst — długie „oświadczenie TASS-a”. Pojawiają się w nim dwa nowe fakty: sowieckie samoloty obrony przeciwlotniczej „oddały ostrzegawcze strzały raketami świetlnymi”, chcąc zwrócić uwagę „samolotu-intruz”, a lot „intruz” był prowokacją CIA, mającą na celu „zniesławienie Związku Sowieckiego,

wzbudzenie doń wrogości i rzucenie cienia na sowiecką politykę pokojową”. Obstawiając przy stwierdzeniu, że samolot-intruz „kontynuował lot w kierunku Morza Japońskiego”, TASS informuje jednak, że „kierownicze kręgi Związku Sowieckiego wyrażają ubolewanie z powodu ofiar w ludziach”.

Pierwsze sowieckie oświadczenia były bezwstydnym kłamstwem, zarazem jednak wskazywały, że ZSSR zajął pozycję wyczekującą: Moskwa czekała z jednej strony na reakcję zachodniej opinii publicznej i rządów, z drugiej zaś na to, co powiedzą amerykańscy i japońscy specjaliści, śledzący loty i rejestrujący wszystko, co mówią piloci. Oczekiwanie nie trwało długo. Nigdy jeszcze Zachód nie przyszedł Moskwie w sukurs z takim pośpiechem. Sowietolodzy Stanów Zjednoczonych, Francji, Anglii i innych krajów zaczęli przede wszystkim jeden przez drugiego dowodzić, że rozkaz zestrzelenia pasażerskiego samolotu wydali wojskowi, pragnący zaszkodzić reputacji słynnego liberała i postępowca Andropowa. Wojskowi — jak twierdzili eksperci — wykorzystali fakt, że Andropow znajdował się na Kaukazie i postanowili sabotować jego „ofensywę pokojową”. Byli to z reguły ci sami eksperci, którzy twierdzili, że właśnie wojskowi poparli Andropowa w walce z „jastrzębiami” w moskiewskim Politbiurze. Nawet powierzchowna znajomość systemu sowieckiego pozwala zrozumieć, że w ZSSR, gdzie nic się nie dzieje bez polecenia z góry, jest nie do pomyślenia, by prowincjonalny generał wydał rozkaz zestrzelenia cywilnego samolotu.

Nie wiadomo jeszcze dokładnie, w jaki sposób została podjęta ta decyzja. Wiadomo za to doskonale, jak się to odbyło w innym, analogicznym przypadku. Nikita Chruszczow opisuje w swych pamiętnikach („Khrushchev Remembers. The Last Testament”, 1974, 443 str.), jak 1 maja 1960 roku zadzwonił do niego o 5-tej rano minister obrony marszałek Malinowski i oświadczył, że amerykański samolot wywiadowczy U-2 wtargnął w sowiecką przestrzeń powietrzną. Chruszczow odparł: musimy go zestrzelić wszelkimi dostępnymi nam środkami. Nie ulega wątpliwości, że nocą z 31 sierpnia na 1 września 1983 odbyła się podobna rozmowa i wydano rozkaz, aby przerwać lot. Że decyzja zestrzelenia pasażerskiego samolotu miała charakter polityczny, dowodzą kolejne oficjalne oświadczenia władz sowieckich.

Już 4 września TASS opublikował oświadczenie pod wojowniczym tytułem „Prowokatorzy zacierają ślady”. Następnego dnia generał-pułkownik Romanow, szef Sztabu Głównego wojsk obrony przeciwlotniczej, ogłosił w *Prawdzie* artykuł pt. „Polityczna prowokacja z dalekosiężnym celem”. Okres wyczekiwania się skończył: sowieccy dezinformatorzy dowiedzieli się, co wiedzą Amerykanie i Japończycy i przekonali się, że ani jedni ani drudzy nie ujawnią wszystkiego, co wiedzą, żeby nie wchodzić w paradę dyplomatom. Co więcej, między 2 a 5 września w zachodniej prasie pojawiły się artykuły, których celem była „bratnia pomoc” dla Kremla, znajdującego się w „trudnym po-

łożeniu". Kiedy sławetna CIA, którą w Związku Sowieckim straszą nawet oseski, podpowiedziała Moskwie, że sowieccy lotnicy, dawne sokoły stalinowskie, na pewno pomylili pasażerski samolot z amerykańskim samolotem wywiadowczym, dezinformatorzy radośnie podchwycili ten podarunek. Z początku, owszem, były pewne różnice. 4 września TASS oświadczył, że „południowokoreański samolot... wygląda na radarach... jak amerykański bombowiec E4B”, 5 września generał-pułkownik Romanow twierdził, że „zarysy południowokoreańskiego samolotu bardzo przypominają amerykański samolot wywiadowczy RC-135”. Nie miało to oczywiście żadnego znaczenia. Najważniejsze, że cywilny samolot mógł cokolwiek przypominać. Świetnie znany Zachodowi a dziwnie długo milczący agent KGB Wiktor Louis został znów powołany do służby i w wywiadzie dla francuskiej gazety *Journal de Dimanche* poprosił o wyrozumiałość dla „młodego rosyjskiego lotnika, który nie odróżnia Amerykanów od południowych Koreańczyków” i wali w każdego, kto pojawi się na niebie jego ojczyzny.

Spektakl ten odgrywano przez kilka dni. Tytuły w *Prawdzie* doskonale ilustrują jego treść: „Prowokatorzy zacierają ślady”, „Wykrety amerykańskich polityków”, „Polityka dywersji przeciw pokojowi”, „Cele brudnej kampanii” itd., itp.

Sowieccy czytelnicy zaczęli się zastanawiać, kto do kogo strzełił. Wypróbowana metoda sowieckiej dezinformacji, dająca tak doskonałe wyniki w ostatnich latach, znowu dowiodła swej skuteczności. Jeszcze raz sytuację odwrócono do góry nogami, przedstawiając katów jako ofiary. Naród sowiecki jest już przekonany, że to Amerykanie toczą „nie wypowiedzianą wojnę” w Afganistanie, że CIA starała się zabić papieża, że syjoniści to hitlerowcy. Teraz przekonano ich w piorunującym tempie, że to Amerykanie są winni śmierci pasażerów południowokoreańskiego samolotu. W sowieckich gazetach zaczęły się pojawiać listy — „opinie człowieka sowieckiego”, wzburzonego amerykańskim barbarzyństwem. „Z gniewem potępiamy”, oświadczają kołchoźnicy i akademicy, robotnicy i inżynierowie.

6 września *Prawda* zaprzeczała jeszcze, jakoby sowiecki myśliwiec zestrzelił koreański samolot: „Wręcz przeciwnie — zapewnił artykuł pt. „Co się kryje za 'incydentem'” — sowieckie oddziały PWO przejawiały maksymalną cierpliwość. Gdyby ich celem było zniszczenie samolotu, jak twierdzi przedstawiciel USA w Radzie Bezpieczeństwa, można to było zrobić nie raz i to bez pudła...”. Jednak wieczorem 6 września TASS oświadczył, że piloci sowieccy zestrzelili południowokoreański samolot za uprawianie szpiegostwa. Od tej chwili propaganda sowiecka zaczęła przemawiać *crescendo*. Jej cele stały się oczywiste nawet dla tych, którzy zamykali na wszystko oczy. Także odpowiedzialność kadry politycznej za decyzję o zestrzeleniu pasażerskiego samolotu stała się bezsporna.

Przyjechawszy do Madrytu, Gromyko żarliwie bronił koniecz-

ności zniszczenia „szpiega”, w Moskwie wystąpili na konferencji prasowej szef Sztabu Generalnego marszałek Ogarkow, wiceminister spraw zagranicznych i szef wydziału informacji międzynarodowej, koordynujący całą działalność dezinformacyjną wszystkich sowieckich organów. 10 września telewizja sowiecka pokazała pilota, który zestrzelił koreański samolot. W rzadkim porwywie wielkoduszności (czyli za duże pieniądze) sprzedała wywiad z nim telewizjom zachodnim.

W dwu obrazach zawiera się esencja całej dziesięciodniowej kampanii. Pierwszy: Andriej Gromyko udziela w Madrycie wywiadu angielskiemu dziennikarzowi. Czy myśli Pan — pyta dziennikarz ministra spraw zagranicznych ZSSR — że świat zapomni o zestrzeleniu pasażerskiego samolotu? — To nie ulega wątpliwości! — odpowiada Gromyko. Obraz drugi: sowiecki lotnik, już nie młodziak — jak chciał nam wmówić Wiktor Louis — ale czterdziestoletni mężczyzna wyglądający znacznie starzej, spokojnie wyjaśnia, że wojna jest jego życiem, jego zawodem; dostał rozkaz, więc go wykonał. Bez wahań — stał przeciw w obliczu wroga!

Gromyko, który wygląda jak „towarzysz Strangelove” z filmu Kubricka i lotnik, podobny jak dwie krople wody do oszalałego sierżanta, który zawładnął w tymże filmie bombą atomową powinni Zachód przerazić. Sowieccy stratedzy nie mogli przewidzieć, że południowokoreański samolot z boczny trasy i zabłądzi nad Morze Japońskie. Potrzebna im natomiast była okazja do pokazania, że Związek Sowiecki niezwykle poważnie traktuje zasadę „nienaruszalności” swoich granic. Gromyko bezustannie powtarzał: sowieckie granice są święte. Nieprzypadkowo pierwszą ustawą przyjętą po wyborze Andropowa na generalnego sekretarza była ustawa o umocnieniu granic sowieckich. Jednak ze „świętymi” granicami sowieckimi wiąże się główne zmartwienie sowieckiej polityki zagranicznej drugiej połowy 1983 roku, kwestia zainstalowania amerykańskich rakiet Pershing-2 w Europie.

Zestrzelony pasażerski samolot miał być pokazem siły Moskwy. Można już zeń wyciągnąć wnioski. Dziennikarze zachodni powtarzali w pierwszych dniach: to pomyłka, albo — to gorzej niż pomyłka — to przestępstwo. Ale „przestępstwo” jest oceną moralną. Z politycznego punktu widzenia zamordowanie 269 pasażerów południowokoreańskiego samolotu okazuje się posunięciem niezwykle przydatnym.

Nie bacząc na gromkie słowa, prezydent Reagan nie tylko nie wstrzymał wejścia w życie podpisanej dopiero co wieloletniej umowy o dostawie zboża do ZSSR (moskiewscy kupcy sprytnie włączyli do umowy punkt, zabraniający stosowania sankcji), nie tylko zniósł embargo na dostawę maszyn do instalacji rurociągowych, ale posłał sekretarza Stanu Shultza do Madrytu na podpisanie kolejnego aktu, zamykającego kolejną (trwającą trzy lata) konferencję, której jedynym rezultatem jest decyzja o zwołaniu następnej konferencji. Tego samego dnia, w którym w *Internatio-*

nal *Herald Tribune* ukazał się wywiad z sowieckim pilotem (12 września 1983), odpowiedzialnym za zestrzelenie pasażerskiego samolotu, ten sam dziennik poinformował, że Reagan udzielił amerykańskiemu przedstawicielowi na pertraktacjach genewskich instrukcji, aby „poszedł na dalsze ustępstwa” wobec Moskwy. Sankcje, jak wyraził się pewien francuski dziennikarz, sprowadziły się do tego, że chwilowo odłożono występy cyrku sowieckiego na Zachodzie.

Wszystko się powtórzyło — w przyspieszonym tempie: kolejne sowieckie przestępstwo, kolejne ustępstwo Zachodu. Wszyscy wprawdzie potępiili sowiecką napaść na pasażerski samolot, miłość do Związku Sowieckiego jeszcze bardziej ochłodziła, jeśli to możliwe, ale dla Związku Sowieckiego ważne jest nie to, żeby go kochano, tylko żeby się go bano. Nie ulega wątpliwości, że zdecydowanie tych, którzy wydali rozkaz zestrzelenia samolotu zrobiło wrażenie, pokazało, że Moskwa krwi się nie boi.

Zestrzelony samolot dostarczył europejskim pacyfistom nowych argumentów — potwierdził ich tezę o konieczności ustępstw wobec Moskwy, skoro opór może doprowadzić do zguby. Rządowi zachodnim pokazał, a w każdym razie miał pokazać, że nowy generalny sekretarz nie lubi żartów. Poprzednicy Andropowa mieli wiele sposobów zademonstrowania swej „powagi”. Andropow skorzystał z pierwszej okazji, aby dowieść swojej. Tym bardziej, że decyzja o zestrzeleniu pasażerskiego samolotu doskonale się wkomponuje w program działania nowego (10 miesięcy u władzy) generalnego sekretarza.

Przed wszystkim generalny sekretarz w przyspieszonym tempie (wiek dyktuje swoje prawa) zmienia się w genialnego sekretarza. Na uroczystym posiedzeniu na Kremlu z okazji 80-lecia II zjazdu rosyjskiej partii socjaldemokratycznej, na którym przyjęto leninowską ideę „partii nowego typu”, mówca, wykładając historię partii, wymienił za okres 80 lat dwóch jej przywódców: Lenina i Andropowa. Nie ma dziś artykułu, w którym nie wspomiano by — po kilka razy — „wskazówek J. W. Andropowa”. Coraz częściej widać też portrety Przywódcy: zawsze w tej samej pozie, zawsze w tym samym miejscu — za biurkiem w gabinecie. Wskazówki Andropowa są niezmiennie te same. Głównym ich celem jest wzięcie w garść człowieka sowieckiego, który się nieco rozbisurmanił. Główne instrumenty to KGB i propaganda. Podczas gdy w dziedzinie gospodarki, w której — jak przyznaje sam Andropow — istnieją pewne niedociągnięcia, jedynym środkiem pozostaje uchwała KC KPZS i Rady Ministrów ZSSR (*Prawda* z 28 sierpnia) „O środkach przyspieszenia postępu naukowo-technicznego w rolnictwie”, w dziedzinie „kształtowania człowieka sowieckiego” podjęto rzeczywiście konkretne kroki: ustawę o kolektywach pracy uzupełniono specjalną uchwałą „O intensyfikacji działań w dziedzinie zwiększenia socjalistycznej dyscypliny pracy”; otwarto ponownie rejonowe komitety bezpieczeństwa państwowego — w ostatnich latach dzia-

ły tylko okręgowe i republikańskie (nie licząc centralnego). Andropow postanowił zbliżyć bezpieczeństwo do mas. Nowością zdaje się stworzenie w rejonowych komitetach partyjnych specjalnych wydziałów kontrpropagandy. Jest to szybka i udana realizacja postanowień czerwcowego plenum KC, na którym J. Andropow wskazał, że „potrzebny nam jest przemyślany, jednolity system kontrpropagandy — dynamiczny i skuteczny”.

Można być pewnym, że od rozkazu KC KPZS i Rady Ministrów „postęp naukowo-techniczny” się nie przyspieszy, tym bardziej, że zadanie „przyspieszenia” spadło przede wszystkim na „organy partii”. Za to kontrpropaganda stała się w ostatnich miesiącach znacznie bardziej krzykliwa i natrętna. Jej dewizą jest: „Dwa światy — dwa sposoby życia”; między „dwoma światami” toczy się bezlitosna walka. Pytanie: kto kogo?

Przyjęło się wyśmiewanie z sowieckiej propagandy, z jej prostackta i kłamstw. Agencja TASS pozwala sobie np. zupełnie oficjalnie pisać: „Amerykańska piechota morska wespół z izraelskim agresorem dokonuje masowych mordów w Libanie” (*Prawda* z 4 września). Nie należy jednak odmawiać sowieckiej propagandzie skuteczności. Wypowiedź pilota, który zestrzelił pasażerski samolot była tego przekonywującym przykładem. Niemłody już człowiek, być może dobry ojciec rodziny spokojnie opowiada, jak zabił 269 kobiet, dzieci i mężczyzn. Tyle tylko, że dla niego zabici nie byli dziećmi, kobietami i mężczyznami, tylko — wrogami. Tego go od dziecka uczyła sowiecka propaganda i kontrpropaganda.

Całkiem niedawno ukazała się pierwsza biografia Jurija Andropowa. W opętaniczym wyścigu sowietologów wszystkich wyprzedził Zores Miedwiediew, sowiecki biolog, żyjący na emigracji w Londynie. Biografia jego pióra, która po angielsku nosi tytuł „Andropow”, a po francusku „Andropow u władzy”, nie przynosi nowych informacji o życiorysie nowego generalnego sekretarza ani o jego poglądach. Jest to apologia byłego szefa KGB, który zasłużenie — jako najzdolniejszy i najrozumniejszy z pretendentów — zajął stanowisko Nr I w Związku Sowieckim. Zores Miedwiediew znajduje wprawdzie pewne niedociągnięcia w ustroju sowieckim, ale jest przekonany, że z nadejściem Andropowa wszystko się zmieni. „Pozycja Andropowa w Biurze Politycznym — stwierdza jego biograf — jest już wystarczająco silna, aby pokazać narodowi sowieckiemu i światu, że zmienia się nie tylko styl, ale i istota wewnętrznej i zagranicznej polityki Związku Sowieckiego” (wyd. francuskie, str. 132). Szczególny zachwyty budzi w Miedwiediewie „nowa polityka zagraniczna” Andropowa: „Polityka, którą natychmiast nazwano 'pokojową ofensywą Andropowa', prześcignęła nawet moje przewidywania (*w różnych artykułach w prasie anglo-amerykańskiej — A.K.*) co do szybkich i energicznych kroków zmierzających do odprężenia wojennej sytuacji w Europie (str. 207).

Biograf Andropowa, „bardzo popularnego, najinteligentniej-

szego i najbardziej praworządny przywódca KGB w dziejach tej instytucji" (str. 76) dochodzi do wniosku, że „Stany Zjednoczone bezwarunkowo przegrają propagandową wojnę z ZSSR” (str. 223). I tu Zores Miedwiediew bezwarunkowo ma rację. W szczególności dlatego, że sowiecka propaganda ma takich bezinteresownych pomocników jak on.

Skuteczność sowieckiej propagandy wewnątrz Związku Sowieckiego opiera się na tym, że faktycznie nie napotyka ona oporu i działa bezustannie od dziesięcioleci. Skuteczność propagandy sowieckiej poza blokiem socjalistycznym zasadza się na pomocy, jaką okazują jej przede wszystkim ci, którzy — wydawałoby się — powinni jej przeciwdziałać. Wyciągając wnioski z czynności i beczynności Zachodu w związku ze zniszczeniem południowokoreańskiego samolotu, angielski historyk Robert Conquest — jeden z garstki zachodnich specjalistów rozumiejących system sowiecki — uważa, że jedna z przyczyn sukcesów sowieckiej propagandy i polityki tkwi w „istnieniu w USA (we Francji i Wielkiej Brytanii jest to pogląd raczej rzadki) potężnej kasty uczo-nych, o których można powiedzieć, że niezależnie od całej swej wiedzy niczego nie rozumieją — są to uczeni „politologów”, którzy rozpatrują Zachód i blok sowiecki jako identyczne figury szachowe w abstrakcyjnej międzynarodowej grze; wszyscy oni wiedzą, jaka jest struktura ustroju sowieckiego, ale zupełnie nie interesują się motywami postępowania sowieckiego kierownictwa... Prezydent Carter powiedział po inwazji na Afganistan, że zmienił zdanie o kierownictwie sowieckim. Dlaczego jednak miał o nich błędne zdanie? Dlatego, że wprowadzali go w błąd życzliwi doradcy — począwszy od Averella Harrimana do Marshalla Schullmana, którzy mimo jego porażki nadal uchodzą za szacownych ekspertów w oczach ludzi szukających pociechy w tym, że wilk od czasu do czasu przywdziewa owczą skórę...” (*International Herald Tribune* z 19 września 1983).

W nocy z 31 sierpnia na 1 września wilk pokazał swą prawdziwą naturę: zabił 269 osób. Minęły dwa tygodnie i znowu budzą się nadzieje, że wilk się pomylił, że w rzeczywistości żywi się trawką.

Adam KRUCZEK

13 września 1983

Kronika niemiecka

W Poznaniu odbył się kongres Europejskiego Towarzystwa Językoznawczego. Dokonano wyboru nowych władz Towarzystwa; prezydentem został

prof. Klaus Heger z uniwersytetu w Heidelbergu, a sekretarzem generalnym — prof. Werner Winter z uniwersytetu w Kilonii. ■ W III programie zachodniemieckiej TV (rozgłośnia WDR w Kolonii) emitowany jest polski serial pt. *Czterdziestolatek*. ■ Wiceprzewodniczący frakcji parlamentarnej rządzącej CDU/CSU, Röhe, wypowiedział się przeciwko zniesieniu sankcji przeciw PRL. Zdaniem Röhe zniesienie sankcji powinno być uzależnione od pożądanego przez kraje zachodnie zmian w ustawodawstwie PRL. Na rzecz uchylecia sankcji przeciwko Polsce wypowiedział się natomiast przewodniczący SPD, Brandt. ■ Według sondażu przeprowadzonego przez Ośrodek Badania Opinii Publicznej przy Komitecie do Spraw Radia i Telewizji dużym przemianom uległy poglądy na to, kto zagraża Polsce. Ci, którzy rzekomo stwierdzają to zagrożenie, wymieniają USA (58 %) i RFN (35 %). W poprzednich latach na liście takich państw pierwsze miejsce zajmowała RFN. ■ Trzynastu polskich fachowców z toruńskiego oddziału Pracowni Konserwacji Zabytków restauruje zabytkowe kamieniczki w śródmieściu Quedlinburgu (w górach Harzu). ■ W pierwszym kwartale 1983 obroty handlowe między NRD a RFN przekroczyły 3,5 mld DM i były o 16 % wyższe niż w tym samym okresie roku ubiegłego. ■ Ekranowy wizerunek Władysława Hasióra i jego twórczości jest rezultatem dość udanej kooperacji Telewizji Polskiej z zachodniemiecką TV — WDR. ■ Najnowszy numer (3/83) wychodzącego w Bonn kwartalnika *Kontinent* przynosi m.in. esej Leszka Kołakowskiego — *Eine Revolution gegen die Lüge. Bedeutung und Folgen der Jahre 1980-1981 in Polen (Revolucja przeciwko kłamstwu — Znaczenie i skutki lat 1980-1981 w Polsce)* i obszerną relację Władysława Bartoszewskiego z okazji 40-tej rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim. ■ PAX-owska „endecja” odgrzewa stary kurs: „Objawy fascynacji podtrzymywane w okresie po wprowadzeniu u nas stanu wojennego przez akcję paczkową ze strony instytucji i rodzin zachodniemieckich zaczęły zacierać w świadomości części obywateli historyczną perspektywę. Pojawiły się tendencje do stawiania na jednej płaszczyźnie RFN i NRD bez uwzględniania różnic celów politycznych tych dwóch państw i rozpatrywania ich pod kątem zbieżności z polskim interesem narodowym. (...) Wywód niniejszy zmierza do wysunięcia tezy, że w stosunkach z RFN można i trzeba realizować narodowy wymiar naszej polityki zagranicznej, bo są one tą dziedziną, w której ów wymiar jest najłatwiej uchwytyny” (Michał Kołodziejczyk w *Słowie Powszechnym*). ■ Z okazji 450-lecia śmierci Wita Stwosza otwarto w Norymberdze wielką wystawę jego dzieł. Ryszard Drecki odnotowuje w *Trybunie Ludu* „obecność” Wita Stwosza w Norymberdze („rarytasy najwyższej klasy”), ale wyrażnie pieni się, że Niemcy piszą nazwisko genialnego rzeźbiarza — *Veit Stoss*... I w ogóle wystawa norymberska „była próbą odcięcia dorobku artysty od jego okresu krakowskiego”. Na ksenofobię nie ma lekarstwa! ■ Importowane z NRD dywany (3×4 m), wykonane z niskiej jakości włókna syntetycznego, sprzedawane są w sklepach państwowych w PRL za niebagatelną kwotę 52 tys. złotych. ■ W pierwszych siedmiu miesiącach br. do RFN uciekło 1.231 obywateli NRD. Przeważnie wydostawali się przez granice innych KDL-ów. ■ Poziomą wzajemną wymianą handlową między NRD a PRL spadł w 1982 roku aż o 14 %, jeżeli porównywać z poziomem z 1979 roku. W bież. roku zapowiada się pewien wzrost wzajemnych obrotów. ■ Grupa historyków i socjologów zawiązała w Getyndze komitet, którego zadaniem jest przypominanie o losie Karola Modzelewskiego oraz podejmowanie akcji na rzecz jego uwolnienia. Związani z lewicowymi ugrupowaniami naukowcy planują zamieszczanie w RFN-owskiej prasie artykułów o doradcy Solidarności i członku prezydium Zarządu Regionu Dolny Śląsk. We wrześniu ub. roku Modzelewski wprost z obozu dla internowanych przeniesiony został do więzienia i wraz z sześcioma innymi przywódcami Solidarności oczekuje

na proces. ■ Katolicki duchowny w Berlinie Zachodnim, Georg Walf — koordynator *Polen-Hilfe-Aktion* — zaapelował o dalszą pomoc dla Polski. W ciągu 2,5 roku trwania akcji pomocy, wartość wysłanych darów — tylko z diecezji ks. Walfa — przekroczyła 3,5 mln marek. ■ Deputowany do *Parlamentu Europejskiego* z RFN, Klaus Hänsch (SPD), zwrócił się z apelem do rządów zachodnioeuropejskich o pomoc dla... władz PRL, które — jego zdaniem — po zniesieniu stanu wojennego zmierzają do „autentycznej normalizacji”. ■ Nakładem zachodniobermberskiego *Poglądu* ukazała się cenna pozycja Tadeusza Folka pt. *Prawo azylu*. Książka zawiera teksty ustaw o cudzoziemcach, obowiązujących w RFN oraz fachowy komentarz prawny (str. 178, cena 15 DM. Zamówienia: *Pogląd*, Katzbachstr. 36, D-1000Berlin 61). ■ Członkowie komunistycznej partii (SED), stanowią 17% dorosłej ludności w NRD; w PRL zaledwie 9%. ■ W Monachium obradowało wreszcie prezydium *Oddziału Rady Narodowej RP w Niemczech*. W ostatnich dwóch latach *Rada* nie prowadziła właściwie żadnej działalności. Perspektywy na przyszłość podobne. Praktycznie praca polityczna w RFN jest prowadzona przez PPS i grupę działaczy skupioną wokół berlińskiego dwutygodnika *Pogląd*. Przeszła istnieć centrala *Zjednoczenia Polskich Uchodźców (ZPU)* w Velbert, która reprezentowała kilkudziesięciorzesz członków. Podobno został zawiązany komisaryczny zarząd ZPU. Brak jednak jakichkolwiek danych, wiadomo tylko, że przeciwko jednemu z członków zarządu ZPU zachodnioniemiecka prokuratura prowadzi śledztwo w związku z zarzutem prowadzenia działalności wywiadowczej na rzecz PRL. ■ Na zaproszenie prokuratora generalnego NRD Josefa Streita z wizytą w tym kraju przebywał prokurator generalny PRL Franciszek Rusek; „Dokonano wymiany doświadczeń na temat funkcjonowania prokuratury w nadzorowaniu praworządności”. ■ Na scenie *Saarländisches Staatstheater* w Saarbrücken odbyła się premiera sztuki Garcii Lorci, pt. *Dom Bernardy Alba* w inscenizacji Adama Hanuszkiewicza. Zlecenie na tę inscenizację, pierwotnie wydane zespołowi reżyserskiemu w Tibilisi, który nie mógł się z niego wywiązać, reżyser polski przyjął na początku marca br. ■ Erich Honecker, generalny sekretarz wschodnioniemieckiej SED wysłał niedawno telegram gratulacyjny do Arno von Lenskiego z okazji jego 90-tej rocznicy urodzin. Lenski w latach 1939-1942 był sędzią honorowym hitlerowskiego *Trybunału Ludowego*, na którego czele stał Roland Freisler; 1942-1943 von Lenski był generałem *Wehrmachtu* na froncie wschodnim; 1944-1948 w niewoli sowieckiej; 1952-1956 szef policji wschodnioniemieckiej i jeszcze przez dwa lata generał *Narodowej Armii Ludowej (NVA)*. Otrzymał medal i tytuł *Bojownika przeciw faszyzmowi 1933-1945*. ■ Roman Piórkowski, przedstawiciel *Pomostu* (Chicago) w Berlinie Zachodnim i trzej inni Polacy zostali skazani na karę grzywny za stawianie czynnego oporu i obrazę policji oraz zakłócenie porządku. ■ Dzięki sprawnie prowadzonej przez ks. Johanna Gehrmanna w Hamburgu organizacji *Hilfsaktion Polen* do Polski dotarło 50 transportów samochodowych z różnego rodzaju pomocą. Konwoje omijają NRD, jeżdżą do Polski albo przez CSSR, albo promem ze Szwecji. ■ Nakładem *Bund-Verlag* w Kolonii ukazała się poważna praca zbiorowa pt. *Solidarność. Die polnische Gewerkschaft Solidarität in Dokumenten, Diskussionen und Beiträgen (Polski związek zawodowy Solidarność. Dokumenty, dyskusje i artykuły)*. Autorzy: Barbara Büscher, Ruth-Ursel Henning, Gerd Koenen, Dorota Leszczyńska, Christian Semler, Reinhold Vetter. ■ Biskup wschodnioniemieckiej diecezji Drezno-Miśnia, Gerhard Schaffran wmurował ostatnio kamień węgielny nowego kościoła w Gerze, który będzie pod wezwaniem św. Ojca Maksymiliana Kolbe. ■ Rzecznik *Urzędu Skarbowego* w Düsseldorfie (Nadrenia-Westfalia) poinformował, że władze celne nakryły transport około trzystu tysięcy papierosów, przemyconych barkami z Polski. Kapitanowie polskich barek zostali aresztowani. ■ Staraniem

PPS w Monachium odbył się w bibliotece *Haus der Begegnung* odczyt młodego historyka dr. Witolda Pronobisa (*Universität im. Mikołaja Kopernika* w Toruniu). Tematem prelekcji były stosunki polsko-niemieckie w polityce Józefa Piłsudskiego 1926-1934. ■ Franz Radziwill, wybitny malarz niemiecki, zmarł w wieku 88 lat w Wilhelmshaven. Radziwill wstąpił do *NSDAP* w 1933 roku, ale jego prace były konfiskowane na wielu wystawach. ■ Około 400 tys. młodych Polaków uczy się języka niemieckiego. ■ W *Thurmtheater* w Sommerhausen (Frankonia) przez dwa miesiące wystawiano wyreżyserowany przez Jana Biczyskiego spektakl, złożony z dwóch jednoaktówek Sławomira Mrożka: *Karol* i *Na pełnym morzu*. Było to dyplomowe przedstawienie studentów Jana Biczyskiego z *Monachij-skiej Szkoły Teatralnej*. ■ Tygodnik *Der Spiegel* podaje, że brat Prymasa Polski, kardynała Józefa Glempa, należy do 400-osobowej *Rady Głównej PRON-u*. ■ *Frankfurter Rundschau* omówiła na pierwszej stronie, w artykule wstępnym, otwarty list do F. J. Straussa, wysłany przez rzecznika *Komitetu Obrony Solidarności* Edwarda Klimczaka (Berlin Zachodni). Klimczak poddał ostrej krytyce niektóre wypowiedzi, jakie padły z ust Straussa podczas jego pobytu w Warszawie. ■ W. Nawrocki, kierownik *Wydziału Kultury KC PZPR* potępił wydany ostatnio zbiór poezji Piotra Lachmanna pt.: „Niewolnicy wolności” mówiąc: „Peters Lachmanna wychowaliśmy w Gliwicach na Górny Śląsk, historia spowodowała, że ten Niemiec ciągle jeszcze pisze po polsku. Doceniam dramat poety, nie zgłaszam jakiegokolwiek sprzeciwu wobec jego narodowych wyborów. Ale stawiam pytanie, czy polski wydawca ma drukować takie wiersze Niemca jak *Trudności wymowy czy Klawikordy, klawikordy (...)* będące politycznym komentarzem do wydarzeń w kopalni *Wujek*, przeraźliwie smutną i tendencyjną wizją współczesnych Katowic”. ■ Niezmordowany w utrudnieniu procesu poprawy stosunków polsko-niemieckich Tadeusz Walichnowski wydał obecnie razem z Piotrem Lippóczy nową pozycję: *Przesiedlenie ludności niemieckiej z Polski po drugiej wojnie światowej w świetle dokumentów (PWN, Warszawa 1983, str. 348)*. ■ *Jan Paweł II, papież z dalekiego kraju* — pod tym tytułem zachodnioniemiecka TV emitowała polski film (zabroniony w PRL!) w reżyserii Krzysztofa Zanussiego według scenariusza Andrzeja Kijowskiego i Jana Józefa Szczepańskiego. ■ *Instytut Badania Prawa Sądowego* w Warszawie wydał pracę zbiorową pod redakcją dr. Jana Barczaka pt. *Prawne aspekty stosunków PRL-RFN*. ■ Wystawy: Krzysztof Gieraltowski (Warszawa), artysta-fotografik, prezentował *Portrety Polaków* w *Rheinisches Landesmuseum* w Bonn. „Pod naciskiem władz paszportowych Gieraltowski musiał wycofać portret Wałęsy” (*Die Welt*); Małgorzata Fonfria-Pereda i Teresa Miszkin (z Gdyni i Gdańska) wystawiały obrazy olejne w *Galerie Ursula Wildner* w Kaiserslautern. Teresa Miszkin jest stypendystką miasta Mannheim; obrazy i ceramikę Barbary Ur, Andrzeja i Krzesiśława Piwarskich pokazano w *Galerie Schloss Lembeck* k. Dorsten; 75 nowych prac warszawskiej grupy malarzy i grafików, występujących pod nazwą *Niezależni* można było oglądać w *Forum Bildender Künstler* w Essen. Wystawa zostanie przeniesiona do Darmstadt; w zachodniobermberskiej rozgłośni *Sender Freies Berlin (SFB)* eksponowano polskie plakaty. Recenzenci podkreślili wysoką wartość artystyczną plakatów Franciszka Starowieyskiego, wybijając na pierwsze miejsce plakat do *Operetki Gombrowicza*. ■ Peter Raina i Adam Zagajewski zapoznali hamburską publiczność z *Nową polską poezją (1968-1983)* w miejscowym *Kellertheater*. ■ W związku z rozwiązaniem *Związku Literatów Polskich (ZLP)* z ostrymi protestami wystąpiły zachodnioniemieckie stowarzyszenia pisarzy, m.in. *PEN-Club* (telegram generalnego sekretarza Hansa Wernera Schwarze), *lewicowy Związek Pisarzy Niemieckich (VDS)*, *Niemiecki Związek Wolnych Pisarzy (FDA)* oraz uczestnicy odbywającego się w Bonn

kongresu emigracyjnego *PEN-Clubu*. Rząd RFN podkreślił solidarność z zyskanowanymi pisarzami w Polsce, przyjmując w *Urzędzie Kanclerza* pisarzy emigracyjnych. ■ *Der Spiegel* opublikował 2-stronicowy wywiad z Markiem Nowakowskim, członkiem zarządu zlikwidowanego przez partię ZLP. ■ W Bremie urządzono spotkanie autorskie z Adamem Zagajewskim. Wieczór odbył się w języku niemieckim. Zagajewski cytował fragmenty wydanych na Zachodzie powieści a także zaprezentował wybór poezji stanu wojennego w Polsce. ■ W Nadrenii-Palatynacie odbył się w końcu sierpnia bież. roku trzydniowy *Marsz Pokoju o Wyzwolenie Narodów*, zorganizowany (fatalnie!) przez *Chrześcijańską Służbę Wyzwolenia Narodów* z Carlsbergu, kierowaną przez ks. Franciszka Blachnickiego. W imprezie wzięło udział ok. 200 uczestników, przeważnie młodzież polska przebywająca obecnie w RFN, było też kilku przedstawicieli organizacji emigracyjnych, przede wszystkim Czechów, Słowaków, Ukraińców i Rosjan. Przybyła również delegacja *Résistance Internationale* pod przewodnictwem jej prezesa E. Kuzniecowa z Francji. Marsz zakończył się wiecem na zamku Hambach, gdzie przedstawiciele różnych narodowości wygłosili przemówienia. W imieniu najnowszej emigracji polskiej wystąpił przedstawiciel Kongresu Polaków w Szwecji, Stefan Trzcinski, b. członek *Solidarności* w regionie Mazowsze. Nie wiadomo po co zabrał głos A. Schröder ze *Stowarzyszenia Niemiecko-Węgierskiego* (b. płk SS!). Zmęczeni uczestnicy wędrowki (jeden z uczestników: „Szlismy lasami i polnymi drogami z rozwiniętymi transparentami. Chłopi myśleli, że to antyamerykańska demonstracja pokojowa”) musieli na zamku Hambach wysłuchać jeszcze 2-godzinnego przemówienia ks. Blachnickiego. Ze strony niemieckich środków masowego przekazu nie było absolutnie żadnego zainteresowania imprezą. ■ Ks. Franciszek Blachnicki rozpoczął wydawanie programowego dwumiesięcznika pn. *Prawda — Wyzwolenie*. Periodyk można nabyć w *Wydawnictwie Maximilianum* (D-6719 Carlsberg/Pf., Tessiner Weg 17). Cena numeru 10 DM.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika czeska i słowacka

30 maja wyszedł z więzienia po odsiedzeniu 4-letniego wyroku za działalność w Komitecie Obrony Nieślusnie Prześladowanych (V.O.N.S.) 37-letni dr Vaclav Benda, filozof katolicki i były rzecznik Karty 77. W czerwcu dr Benda udzielił wywiadu telewizji brytyjskiej (BBC), w którym powiedział m.in. że niezależnie od tego, że warunki w więzieniach w Czechosłowacji są nieporównanie cięższe niż w więzieniach na Zachodzie, najtrudniejsza do zniesienia była świadomość, że mógł być w każdej chwili zwolniony pod warunkiem przyznania się do winy lub wyrażenia zgody na emigrację; w państwie „ideologicznym” zadaje się raczej cierpienia psychiczne niż fizyczne. Wspomniał też, że jego dzieciom zabrania się dostępu do wykształcenia średniego. Jeśli chodzi o sprawę prześladowania kościoła katolickiego, Benda powiedział, że czyni się wszystko aby wymazać wszystkie ślady chrześcijaństwa z kultury czeskiej. ■ W dniach 21-26 czerwca odbyło się w Pradze Światowe Zgromadzenie na Rzecz Pokoju i Życia, stano-

wiące dalszy ciąg ubiegłorocznej konferencji antynuklearnej w Moskwie. Przybyło 3.625 delegatów, głównie z krajów komunistycznych i trzeciego świata; wszystkie koszty zostały pokryte przez stronę czechosłowacką. Konferencja spowodowała cały szereg protestów w kraju, poczynając od próby Karty 77 uczestniczenia w obradach (do czego oczywiście nie dopuszczono), aż do wielu anonimowych apeli do delegatów, wzywających ich do zabrania głosu na temat ucisku w krajach komunistycznych. Wszystkie protesty podkreślały fakt, że brak wolności stanowi największe zagrożenie dla pokoju. Grupa liberalnych intelektualistów z Pragi zaapelowała do uczestników prosząc ich o zażądanie wycofania wojsk sowieckich z Czechosłowacji jako gestu dobrej woli i troski o mieszkańców kraju. ■ 20 czerwca w Pradze miała miejsce pierwsza od 1969 roku demonstracja, w której uczestniczyło 300 młodych ludzi wnoszących początkowo okrzyki „chcemy pokoju”, a następnie „chcemy wolności”. Demonstracja została brutalnie rozpedzona przez milicję. Fakt ten, a także kłopoty z milicją francuskich i holenderskich *conscientious objectors* spowodowały protestacyjne opuszczenie kongresu przez pewną liczbę delegatów, w tym przedstawicieli zachodniemieckiej partii „zielonych”. Policja nie dopuściła również do sfilmowania spotkania pomiędzy członkami Karty 77 i dziennikarzami zachodnimi, których nękała i nie odstępowała ani na krok. ■ 28 czerwca wyszedł z więzienia po odbyciu kary ks. František Lizna S.J., skazany na 27 miesięcy więzienia za drukowanie i rozpowszechnianie literatury religijnej tudzież przesyłanie na Zachód informacji o prześladowaniu Kościoła katolickiego. Zabroniono mu wykonywania pracy kapłańskiej i przebywania w Pradze. ■ W drugiej połowie lipca skazano w Pilźnie dwóch franciszkanów: Františka Pometa (na 8 miesięcy więzienia) i Josefa Mazaneca (na 6 miesięcy). Pozostali z 11 aresztowanych „tajnych” zakonników i księży zostali zwolnieni. Jest to prawdopodobnie zakończenie akcji wymierzonej przeciwko temu najpopularniejszemu zakonowi. Ujawniono ponad 250 członków zakonu i w ten sposób zadano duży cios działalności i całej strukturze organizacyjnej. Reżym chce jednak dzisiaj za wszelką cenę unikać głośnych procesów, wysokich wyroków i związanego z tym rozgłosu w kraju i na Zachodzie. Nadzrędnym celem „normalizacji” jest ciche i skuteczne załatwienie sprawy — ujawnienie opozycji i zmuszenie jej do zaprzestania działalności. ■ W Pradze ukazał się 9-ty numer pisma *Kritický sborník*, zawierający m.in. więzienne zapiski Vaclava Havela o teatrze i rozważania Vaclava Benda o zasadniczej opozycji chrześcijaństwa wobec totalitaryzmu. Kompromis byłby pożądanym — pisze Benda — lecz jest niemożliwy, gdyż głównym celem komunistów jest osiągnięcie totalnej władzy, a zainteresowanie gospodarką, kulturą czy względami międzynarodowymi posiada znaczenie drugorzędne. Wobec tej grozy, trzeba przede wszystkim przewyciężyć lęk przed śmiercią. W numerze znajduje się również tłumaczenie rozdziału „Alfa albo moralista” ze „Zniewolonego umysłu” Czesława Miłosza, a także kontynuacja zacieklej polemiki na temat sensu wydarzeń w Polsce pomiędzy liberałem J. Vraną i socjalistą L. Kohoutem. Vrana analizując założenia czeskiego socjalisty, pokazuje, że jego poglądy na temat partii i kierownictwa sowieckiego opierają się na mitach. Podział na „liberałów” (Jaruzelski, Rakowski itp.) i „beton” (Olszowski, Grabski itp.) mieści się w taktyce sowieckiej, która tak jak w ciągu 15-letniej „normalizacji” w Czechosłowacji, zmierza w ten sposób do legitymizacji „mniejszego zła” i rozprawienia się w mniej kosztowny sposób z wszelką opozycją, zarówno zorganizowaną jak i umysłową. Kohout odpowiada, że przyjęcie takiej tezy prowadziłoby do bezsensownego oporu i tragedii i utrzymuje, że tylko reforma partii w Polsce i w Związku Radzieckim może stanowić realną nadzieję.

Alexander TOMSKY

Kronika kulturalna

Wyobrażenia - siódmy kontynent

Gdyby Józef Czechowicz nie był wybitnym poetą, nie poznalibyśmy zapewne jego prac teoretycznych, zginęłyby gdzieś w stosach pożółkłych roczników międzywojennych czasopism. Przyciągają uwagę właśnie dlatego, że napisał je nie byle kto, jeden z wielkich czarodziei słowa.

Nie lekceważmy tego, co artyści myślą i piszą o sztuce. Obrazy, kompozycje muzyczne i wiersze uczyniły ich artystami, a jednak każdy twórca występuje w pewnej otoczce, aurze, w chmurze myśli, których jestem ciekaw, bo przyczyniają się do wyodrębnienia tego właśnie człowieka, autora spośród wszystkich innych twórców i czynią go — dla mnie, dla nas, czytelników, słuchaczy, widzów — indywidualnością jeszcze pełniejszą, jeszcze bardziej nasyconą. Nie muszą się wcale poglądy i projekty, teorie i marzenia o własnym dziele z samym tym dziełem pokrywać. Ale, może szczególnie w literaturze, która jest przecież także nieśmiałą, szeptem mówioną filozofią, poglądy, nawet te nigdy nie zrealizowane, są najbardziej eteryczną częścią stworzonego dzieła.

Poglądów, refleksji — sądził Czechowicz — nie należy wypowiadać w poezji wprost, wiersz powinien działać pośrednio, do myśli prowadzić drogą okrężną. Ma się to odbywać, mówił Czechowicz, podobnie jak w naukach ścisłych:

„Jeżeli jakieś zjawisko nie poddaje się sformułowaniu, zdefiniowaniu, tam, w naukach ścisłych, stosuje się po prostu opis zjawiska, który jest nieczym innym jak niezpełną próbą definicji. Wychodzi się z założenia, że kilka opisów da nam jednak pełniejsze ujęcie rzeczy niż nieścisła definicja”.

Poeta, który refleksję w jej czystej postaci usuwa poza na-

wias wiersza, a pasjonuje się myśleniem i ma nawet pewien talent filozoficzny, nie zaniecha, rzecz jasna, okazji wypowiedzenia swych sądów gdzie indziej, w eseju, programie, deklaracji estetycznej. Jego program poetycki jest utopią, która kulminuje w marzeniu o potężnej powodzi piękna, zalewającej świat tak, „jak dziś zalewa go potop pieniądza”. Łatwo o uśmiech, nam, sceptycznym czytelnikom. Ale przecież utopie są najbardziej eteryczną częścią najbardziej eterycznej części dzieła literackiego i nawet całkiem trzeźwy poza tym Ortega y Gasset umieścił w jednej ze swych książek proocstwo, zgodnie z którym pewnego dnia świat materialny, natura, to, co w nas oporne i zwiérczące, przekształcone zostanie przez myśl i włączone w jej obręb, uskrzydłone i lekkie.

Zresztą w tym samym tekście Czechowicza („Projekt środy literackiej w Wilnie” — dzisiaj utopią stało się nawet zapowiedziane przez ten tytuł wydarzenie), czytamy też:

„... cienie dyktatorów prowadzą Europę ku nowej rzezi ludów... I nie ma różnicy pod tym względem między dyktatorami z prawa i z lewa. Z ducha nowoczesnej nauki, ze świata współczesnej filozofii nie potrafili wprowadzić żadnego innego wniosku”.

Nie o tym jednak chcę mówić, tylko raczej o naszkicowanym w esejach Czechowicza programie i projekcie wyobraźni. W nieustającym nigdy sporze między mimetyzmem a kreacjonizmem, między realizmem a cudownością, wybiera Czechowicz zdecydowanie to drugie, wyobraźnię. Dlatego szydzi z reportażu, nie rozumie trudu realistów, poluje wyłącznie na to, co metafizyczne. Wyznaje:

„... chcę wyobraźnię. Program realistyczny uważam za potrzebny na niższym poziomie rozwoju umysłowego i estetycznego. Program fantazjotwórczy odpowiada wysokiej kulturze społecznej, intelektualnej, wszechstronnej”.

Wróćmy jednak do początków. Początkiem jest zarodek pewnej ontologii, której w pismach Czechowicza bardziej się domyślamy niż odczytujemy. Jest to nie gasnąca nigdy intuicja stania pomiędzy, między bytami, między doktrynami, między partiami, między awangardą a paseizmem, racjonalizmem i irracjonalizmem, katastrofizmem i optymizmem, między nauką a religijnie, kosmogonicznie zabarwioną metafizyką. I nic w świecie realnym, żadnej nadziei, żadnej instytucji, żadnej partii, żadnego przedstawicielstwa, któremu można by powierzyć własne niepokoje. Kilka razy wyrzywa się Czechowiczowi westchnienie: gdyby Kościół był tym, czym powinien być, obrońcą jednostki ludzkiej! Ale nawet gdyby poeta odnalazł w rzeczywistości widzialnej swoich

reprezentantów, niewiele by to pomogło. Bo największy kłopot nie w tym nawet, że ani Kościół ani nikt inny nie potrafi walczyć o człowieka, że czas jest ponury.

Przeciwnie, raczej jest tak, że żadna siła społeczna czy historyczna, a nawet intelektualna, nie jest w stanie przełamać partykularyzmu, wykroczyć poza przyznane jej w kosmosie miejsce, dotrzeć do Całości, co dopiero byłoby wybawieniem. Dzieje się tak dlatego, że rzeczywistość sama jest wieloraka, pluralistyczna, jest ogromnym federalnym państwem, którego poszczególne, niezliczone prowincje mówią własnymi językami, spierają się o miejsce i rangę.

„Istota rzeczywistości” — mówi Czechowicz w artykule „Sztuka i życie” z 1933 roku — „jest wielopłaszczyznową strukturą różnych gatunkowo rzeczywistości, przenikających się wzajemnie”.

Tymczasem artysta, żyjący w tak sfederalizowanej rzeczywistości, poszukuje syntezy. Potrzebuje jej, by przeżyć. Musi zrozumieć relacje między pięknem, życiem i śmiercią. Te trzy rzeczy są najważniejsze. Kto je wypowie w świecie zjadanym przez doktryny, w świecie, w którym walczą ze sobą marksizm i rasizm, ideologie dwóch wielkich sąsiadów? Tylko poezja, w niej zaś — czy poprzez nią — wyobraźnia. Tylko tu może dokonać się synteza.

W „Kluczu symbolicznym do poematów”, autokomentarzu z 1934 roku, opublikowanym dopiero w latach sześćdziesiątych, myśl Czechowicza wyrażona jest precyzyjniej:

„Wyobraźnia jest to pomost między światami... wyobraźnia... w człowieku przypomina morze, na którym tkwią wielorakie wyspy światów. Trzeba je pojmować raczej tak, jak do niedawna jeszcze pojmowano wszechobecny eter kosmiczny. Ona jest wolnością. Wyobraźnia uwalnia od ciężaru trosk powszednich nie przez oddalenie człowieka od nich, lecz ponieważ ona zbliża ku zasadzie, gdy troski zbliżają ku rozproszeniu, ku chaosowi pochodnemu, nie zaś pierwotnemu”.

Doświadczyć chaosu, pierwotnego, twórczego chaosu, zanurzyć się w świecie stającym się, genezyjskim, takie jest marzenie Czechowicza, takie jest prawo jego wyobraźni, a raczej jego teorii wyobraźni. Bo trzeba powiedzieć od razu coś, co każdy czytelnik wierszy Czechowicza wie dobrze: tego prawie nie ma w poezji. Wiemy, jakie są wiersze Czechowicza. Jest w nich prawie zawsze doświadczenie pewnej konkretnej rzeczywistości, pewnego wieczoru, pewnego miasta, zapachu, ciepła, doświadczenie, które poddane zostało rytmizacji muzycznej i metafizycznej. Metafizycznej — by nie nadużywać tego niebezpiecznego słowa — w tym mianowicie sensie, że przeżycia są tu wzięte, są doświadczane, są rytymizowane wreszcie tak, jakby zostały postawione

wobec czegoś ostatecznego. Jakby o życiu pisała śmierć, składając sprawozdanie odpowiednim władzom. Czym jest ta właśnie jakość poezji Czechowicza, sprawdzić można całkiem łatwo. Wystarczy rzucić okiem na wiersze jego naśladowców, których on sam, *nota bene*, w swych recenzjach chwali. Utwory epigonów zawierają wszystkie te składniki, które znaleźć można też u Czechowicza, jest więc w nich prowincja, śpiewność, miękkość, są tropy poetyckie przez niego używane, lecz brakuje tego napięcia, tej graniczności, tej pierwszorzędności co u autora „domu św. Kazimierza”.

A może wyobraźnia absolutna, stwarzająca, genezyjska, którą proklamuje w swoich artykułach Czechowicz, w poezjach jego operuje nie wprost, nie, by tak rzec, frontalnie i merytorycznie, wypełniając strofy rajską, nieznaną myśliwym zwierzyną, lecz zamieniając się w rodzaj soczewki, apokaliptycznej źrenicy, uniezwykłej rzeczy zwykle? Ale i ten rodzaj najwyższego napięcia nawet w wierszach samego Czechowicza pojawia się nie zawsze. Często przeważa ton bardziej poufały, w utworach słabszych opadający nawet ku sentymentalizmowi. Dlatego hiatus między proklamacjami a poezją istnieje.

Dwa przykłady wzięte z tomu „nuta człowiecza”. Oto fragment wiersza „modlitwa żałobna”:

*chcemy śpiewania gwiazd i raf
lasów pachnących bukiem
świergotu rybitw tnących staw
i dzwonów co jak bukiet
chcemy światłości muzyk twych
dźwięków topieli
jeść da nam takt pić da nam rytm
i da się uweselić*

I inny wiersz, „jeszcze pejzaż”:

*a jezioro u drogi jak szklane słońce
dzień po zaściankach białoruski dymi
wodę ugrzewa w obrywistych brzegach
dzień białoruski w rybach grzybach mące
przez pola piosnka przebiega
spod sznurów opada i wzlata
echo ją goni a huśtawka skrzypi*

W pierwszym wierszu wyraziło się to samo pragnienie, któremu dają wyraz manifesty, pragnienie doznawania świata w pierwszym dniu stwarzania. Lecz sam ten wiersz, ze swoim

„chcemy”, jest także manifestem, programem, postulatem. Drugi utwór, całkiem przecież typowy dla Czechowicza, przedstawia świat, który istnieje już od dobrych paru tysięcy lat, nawet trochę rozleniwiony, wygodnie siedzący w fotelu bytu.

Dlatego wracam do pytania: po co poecie maksymalistyczna koncepcja wyobraźni, skoro prawie nie znajdował dla niej zastosowania w wierszach? Dokąd miała go ciągnąć ta artystyczna utopia, przed czym obronić?

Pierwsza odpowiedź jest zupełnie zwyczajna. Czechowicz obdarzony był talentem filozoficznym, który nie całkiem był zrównany z talentem poetyckim. Dlatego filozofowi marzyło się coś, czego poeta nie chciał czy potrafił spełnić. Filozof w poecie dążył do jedności, do syntezy, do pogodzenia wszystkich pokłóconych z sobą prowincyj świata rzeczywistego w jednym akcie intuicyjnej percepcji, którego przedmiotem byłby rozżarzony kosmos, zacierający granice między odrębnymi bytami, przekreślający *principium individuationis*. Poeta w filozofie widział Lublin, Włodzimierz, kwiaty bzu, nocne niebo, wiosnę, przyszłość.

Po drugie: wyobraźnia była dla Czechowicza wehikułem wolności, zarówno wewnętrznej, intencjonalnej, czysto artystycznej, jak i swobody wobec zagrożeń istniejących na zewnątrz, w świecie politycznym i kulturalnym. Wyobraźnia miała go bronić przed szaleństwem epoki, przed jej modami, maniami, kolektywizmami. Otwarcie mówił o tym w artykule pod tytułem „Deklaracja praw artysty”:

„Niebezpieczeństwo niewoli nie istnieje w samej teorii jako takiej. Sformułowania marksistów czy rasistów nie są groźne dla istoty sztuki. Ale w praktyce groźny jest fałsz adeptów owych nauk. Fałsz ów — znów powiedzmy otwarcie w oczy wszem partiom i grupom — polega na tym, że społecznikom spod różnych sztandarów wcale na sztuce nie zależy. Zawsze, po każdej stronie mieli oni i mają dla sztuki tepe i nierozumiejące jej czaru spojrzenie. Niekiedy — programowo nierozumiejące. Bo jeśli teoria społeczna załatwia się z metafizyką 'rzeczowo', jednym powiedzonkiem, np. 'to bzdura', nie dziwnego, że pogląd na sztukę, jako swoiste zwierciadło metafizycznych spraw człowieka, nie może być inny”.

Poeta chce być sam. Broni swej niezależności, po którą wyciąga się tyle łapczywych rąk. Chcą, żeby i on stał pod jakimś sztandarem. Dobrze, będzie i on miał własną chorągiew, nazwie ją wyobraźnią, i to będzie bezpieczne, tutaj nie zgromadzi się żaden tłum, bo komu potrzebna jest wyobraźnia. Wielkie zbiorowości potrzebują jej także, ale śnią w pojedynkę ten sam sen. Dlatego tu jest najwięcej wolności. Nie jest ona łatwa: niekiedy Czechowicz, jakby ustępując jednak przed żądaniem pragmatyków i polityków, usprawiedliwia poszukującą pracę wyobraźni tym, że ona jakoby wyprzedza eksplorację nauki i kiedyś, w

przyszłości, jej odkrycia staną się może użyteczne, jako przeczute zawczasu teorie czy wynalazki. Przecież jednak wiemy, że niewiele pożytku będzie miała nauka przyszłości z metafor poetyckich. Jeśli nie służą żadnym praktycznym celom teraz, nie zaczną im służyć po upływie stu lat. Może tylko czasem zdarzy się w wierszu prorocтво, także niepożyteczne. Gdyby nawet Czechowicz nie odgadł rodzaju śmierci, jaka go czeka, wiersz „żał” czytaliibyśmy z takim samym zachwytem.

Wyobraźnia, która stała się programem artystycznym, broni Czechowicza nie tylko przed nachalnymi doktrynami masowego społeczeństwa, ale także przed teoriami estetycznymi awangardy czy nawet nadrealizmu. Pozwala mu stać między obozami, pod gołym niebem. Niezależność artystyczna Czechowicza jest jednak dosyć szczególnej natury. Przecież jego poezja jest bliska i awangardzie i, rzadziej, nadrealizmowi, a jest w niej także niekiedy silny pierwiastek współczucia z innymi ludźmi, tak silny, że ci, co w literaturze widzą aparat do reagowania na kwestię socjalną, nie jeden raz anektowali poezję Czechowicza do swego obozu. Przed czym on się, jak wiemy, usilnie bronił. Ale niektóre wiersze — na przykład „pod dworcem głównym w warszawie” — wprost do tego zachęcają.

Dlaczego tak się dzieje? Nie działałoby się, gdyby wyobraźnia, żyjąca w wierszach i poematach Czechowicza, była naprawdę genuzyjska, po królewsku niezależna od świata empirycznego, całkowicie suwerenna. Tymczasem wyobraźnia całkiem inaczej istnieje w tej poezji: jest tak, jakby była wieczną sąsiadką różnych rejonów realnego czy duchowego świata. Sąsiaduje z wiosennym zmięszchem, ale i z nauką czy z religią, z Włodzimierzem Wołyńskim, ale i z teorią społeczną. Sąsiadować, to znaczy być blisko, tuż obok, przez ścianę, ale zarazem odróżniać się, być zupełnie gdzie indziej. Ściany mogą być grube lub cienkie, może nawet dochodzić do osmozy, ale zawsze jednokierunkowej. To wyobraźnia karmi się światem. Lecz John Locke nie ma racji. Wyobraźnia nie jest tylko kombinacją elementów wziętych z percepcji zmysłowej. Akt sąsiadowania czyni ją czymś więcej. W jaki sposób?

W jednym z artykułów Czechowicz opowiada, jak powstają jego wiersze. Mówi o trzech etapach. Naprzód pojawia się pomysł, koncepcyjny zarodek wiersza. Potem przychodzi długa faza dojrzewania, rośnięcia. Wreszcie stadium ostatnie, decydujące, kiedy wiersz rodzi się, jak muzyka, w pewnym falowaniu, rytmie. W muzycznym falowaniu.

To, że Czechowicz mówi o muzyce, o muzycznym rytmie, wiąże się nie tylko ze strukturą jego śpiewnych, tyle razy już pod tym kątem analizowanych wierszy. Chodzi jeszcze o coś

innego. To falowanie kołysze nie tylko wierszem. Cały świat zaczyna się kołysać, otwiera się w nim szczelina, otwiera się ukryta do tej pory szczelina wyobraźni. Mówię językiem obrazowym, nie potrafię inaczej określić tego momentu i tego wydarzenia, w którym przed poetą — i potem, analogicznie, przed jego czytelnikiem — otwiera się inny kontynent. Wyobraźnia, sąsiadka innych bytów, sąsiadka spostrzeżenia, polityki, bólu, śmierci, śmiechu, ekonomii, miłości, ironii — ukazuje się na scenie tylko wtedy gdy ta scena drży, faluje, wprawiana w ruch przez dziwną muzykę. Stan muzycznego falowania, o którym pisze Czechowicz, nieufnie odnoszący się do słowa „natchnienie” — ale to mniej ważne, nie idzie przecież o słowa — oznacza nie tylko wewnętrzną gotowość artysty do tworzenia, sygnalizuje jednocześnie nawiązanie kontaktu poznawczo-emocjonalnego z kontynentem wyobraźni, z kontynentem, który odsłania się tylko w sztuce, chociaż żyją na nim okazy roślin, zwierząt i ludzi, znane też w Europie i w obu Amerykach.

Niech się filozofowie, znawcy ontologii, zastanawiają, jak ten kontynent istnieje. Czy tak jak idee Platona, czy może podobnie jak świat Nr 3 Poppera, i czy przestaje istnieć, gdy gaśnie nasz zachwyt. Ten kontynent sąsiaduje z rzeczywistością, chociaż jest w nim coś irrealnego. Z owiec, które się na nim pasą, nikt nie będzie miał wełny. Nikt nie zje jabłek, które tu rosną.

Próbuję zrozumieć sprzeczność, z którą musiał się borykać Czechowicz i z którą my także się borykamy. Sprzeczność ta polega na tym, że poezja jednocześnie jest potrzebna i niepotrzebna, jednocześnie wyraża coś z naszych przeżyć i nic nie wyraża, jest w codzienności i w historii, i zarazem zupełnie gdzie indziej. Jednocześnie zajmuje jakąś pozycję i jest najzupełniej bezpartyjna. Odwołuje się do jedności, tej, która panowała przed stworzeniem świata, a wyraża zawsze coś szczegółowego, potwierdzając dobrze znany badaczom religii paradoks każdego objawienia: nieskończone może objawić się tylko w skończonym. Nawiązuje do rzeczy i zjawisk wziętych z naszego realnego otoczenia, ale przenosi je w inny wymiar. Zwyczajność sąsiaduje z cudownością. Wyobraźnia odwraca się od pospolitej rzeczywistości naszych wspólnych i indywidualnych przeżyć i kłopotów, lecz odwracając się od nich zabiera pewne ich części, atomy, przyswaja je sobie, żywi się nimi, chociaż jest taka dumna i niezwykła.

Dla Czechowicza miała taką pozostać, nie powinna była się pospolitować, zabraniał jej tego — w artykułach, nie w wierszach. Więc do czego służyła mu ta nadmierna teoria wyobraźni? Uciekał od historii, od Frontu Morges i od Zamku, od smutnych

twarzy przechodniów, od wesołych kabaretów. Żył jak na tratwie, na tratwie niepodległości, która wynurzyła się z potopu jednej wojny i wkrótce miała zatonać w falach następnej. O czym on wiedział. Uciekał od Peipera i od Skonimskiego, od Wieniawy, od teoretyków marksizmu, od Stanisława Piaseckiego. Uciekał tak samo jak Gombrowicz, i drogi ich ucieczek nie były tak bardzo różne, bo i Czechowicz prowadził walkę z formą, z Formą i z formami. Jego bronią miała być wyobraźnia, wielka kuźnia bytów poszczególnych. Uciekał od prowincjonalnych miasteczek i bezmyślnych jaśminów, a one przyrastały do jego wierszy. Uciekał od swojej epoki, a ona trzymała go za pojęcie płaszczka. Dyanem latającym tej podróży była wyobraźnia, obietnica metafizyki, stworzenia świata od początku, na miejsce tej nieudanej rzeczywistości, którą tak zachwalają politycy. „Proponuję potem budowanie wszechrzeczy” — mówił, chciał, by powstały „nowe biblie i sagi”.

Żył, podobnie jak my, w epoce międzywojennej. Miał do czynienia z fundamentalnymi sprzecznościami, dlatego i w jego filozofii poezji natrafiamy na fundamentalne sprzeczności. Chciał bronić pojedynczego, poszczególnego człowieka przed tyranią ideologii i systemów przemocy, a jednocześnie marzył o tym, by wszystkie byty poszczególne rozpuściły się w wysokiej temperaturze genezyjskiej wyobraźni. Chciał bronić człowieka i sztuki, zwracał się ku światu, który go żywo zajmował, i zarazem uciekał przed nim do rzeczy transcendentnych, ukrytych i niejasnych, szukał czegoś, co byłoby poza historią, poza tą ramką w podręczniku historii, którą zamykają daty 1918-1939. I to mu się powiodło, chociaż jego życie utknęło w tym rozdziale podręcznika. Powiodło mu się może właśnie dzięki temu, że nie bał się sprzeczności, że znalazł sprzeczność, dla której był stworzony. Jego marzenie o dotarciu do kontynentu sztuki, istniejącego niezależnie od zwykłego globusa (z jaką nieufnością patrzył na globus Łuzin, bohater jednej z najciekawszych powieści Nabokowa!) ziściło się, ponieważ było wewnętrznie sprzeczne. Marzenie o wyobraźni stwarzającej ziściło się tak, jak może się spełnić w naszych superhistorycznych czasach: nie bezpośrednio w kreacji poetyckiej, lecz w napięciu między liryką a filozofią liryki, w pojedynczych wersach, w marzeniu.

Adam ZAGAJEWSKI

Ci, co odeszli

Jarosław Żaba

8 sierpnia zmarł nagle w Manchester w dramatycznych okolicznościach Jarosław Żaba, jeden z najbardziej wybitnych i wpływowych organizatorów powojennego polskiego uchodźstwa. Stał się ofiarą pożaru, który wybuchł tego wieczoru w zagadkowej i dotychczas niewyjaśniony sposób w klubie SPK w Manchester. Jarosław Żaba wezwał straż pożarną, wszedł do sali teatralnej wypełnionej dymem, wychodząc stamtąd upadł na schodach i mimo natychmiastowych zabiegów animacyjnych umarł na atak serca.

Żaba był i działaczem i ideologiem działalności społecznej. Realia życia w skupiskach polskich na obczyźnie sprawiają, że drogi społeczników i działaczy politycznych łatwo się rozchodzą. Ci pierwsi są gospodarzami życia społecznego. Ich zadaniem jest zaspokajanie praktycznych potrzeb emigrantów na klub — miejsce spotkań, kościół, parafię, szkołę sobotnią. Kleką społeczność w swej istocie zachowawczą, której przetrwanie staje się celem naczelnym. Ci drudzy prowadzą z konieczności działalność głównie retoryczną, która niewiele ma wspólnego z problemami codziennego życia emigrantów. Jarosław Żaba natomiast chciał stworzyć z emigracji społeczność dynamiczną, o jak największej różnorodności i rozmachu. Wierzył, że polityczna i kulturalna efektywność diaspory w dużym stopniu będzie zależeć od siły jej zorganizowanego społecznego zaplecza.

Jarosław Bogumił Jan Żaba urodził się 10 stycznia 1915 roku we wsi Batiatycze w województwie lwowskim. Ojciec jego był Polakiem, sekretarzem gminnym, a matka Ukrainką. Do gimnazjum uczęszczał w Kamionce Strumiłkowej, po czym studiował chemię na Politechnice Lwowskiej. Po ukończeniu studiów tuż przed wojną przyjął na Politechnice pracę starszego asystenta i rozpoczął przewód doktorski. Od wczesnych lat Żabę pociągały też sprawy publiczne. Między innymi angażował się w obronę praw mniejszości narodowych, pracował na rzecz zbliżenia Polaków i Ukraińców, walczył z antysemityzmem. Kiedy na uczel-

niach w salach wykładowych wprowadzono segregację studentów pochodzenia żydowskiego, Jarosław Żaba usiadł między nimi i spędził na tych ławkach dwa lata.

Jednym z politycznych nauczycieli Żaby był wtedy Kazimierz Bartel, profesor Politechniki Lwowskiej i były premier Polski. Po wybuchu wojny i zajęciu Lwowa przez bolszewików obaj, Bartel i Żaba, pozostali na uczelni. Jarosław Żaba nawiązał kontakt z nowo powstałymi polskimi grupami konspiracyjnymi, a jednocześnie działał w związku zawodowym pracowników Politechniki, co mu dawało pewne możliwości pomagania kolegom zagrożonym polityką nowych władz. Wybuch wojny sowiecko-niemieckiej w czerwcu 1941 roku zastał go na Ukrainie niedaleko Charkowa, gdzie wyjechał odbierać prace dyplomowe od studentów Polaków z Politechniki, wysłanych tam na praktykę w sowieckich fabrykach. Próba przedarcia się z powrotem przez linię frontu do Lwowa się nie powiodła. Natychmiast po podpisaniu paktu Sikorski-Majski Jarosław Żaba zgłosił się do pracy w misji opiekującej się Polakami wypuszczonymi po amnestii z więzień, łagrow i miejsc zesłania. Wkrótce dotarł do formujących się w południowoazjatyckich republikach oddziałów polskich i stał się żołnierzem 6 dywizji piechoty, stacjonującej wtedy w miejscowości Szachryziabs w Uzbekistanie. Skierowany do szkoły oficerskiej, ukończył ją w stopniu podchorążego już po ewakuacji Armii Polskiej z Sowieców na Środkowy Wschód i rozpoczął służbę w 6 PAL-u.

Kiedy z połączenia 6 Lwowskiej i 5 Wileńskiej dywizji powstała 5 Kresowa Dywizja Piechoty, Jarosław Żaba przeszedł do pracy kulturalno-oświatowej w tej jednostce. W początkach 1944 roku przyjeżdża wraz z Drugim Korpusem do Włoch i w charakterze korespondenta wojennego przebywa na linii frontu, biorąc udział w kilku bitwach. Za odwagę okazaną w obliczu wroga dekorowany jest Krzyżem Walecznych. Po zajęciu Rzymu, ale jeszcze przed zakończeniem działań wojennych, Żaba odkomenderowany zostaje do pracy w wychodzącym w stolicy Włoch tygodniku *Orzeł Biały* i obejmuje funkcję sekretarza redakcji. Stara się też i uzyskuje zezwolenie dowódcy korpusu gen. Andersa i szefa sztabu gen. Wiśniowskiego na rozpoczęcie pracy politycznej nad kształtowaniem koncepcji przyszłej wspólnoty narodów tak zwanego wtedy „Międzymorza”, czyli krajów położonych pomiędzy Bałtykiem i Morzem Czarnym, i pomiędzy mocarstwami Niemiec i Rosji. Żaba organizuje współpracę z grupami uchodźców z krajów „Międzymorza” w formie wspólnych politycznych klubów. Na ten włoski okres przypada też małżeństwo Jarosława Żaby, w lipcu 1946 roku, z Zofią, córką gen. Nikodema Sulika, dowódcy 5 dywizji.

Po ewakuacji 2-go Korpusu do Wielkiej Brytanii Jarosław Żaba pozostaje przez jakiś czas w Rzymie, a potem na sześć miesięcy przenosi się do Paryża, kontynuując pracę w klubach „Międzymorza”. Widząc, że perspektywa życia na uchodźstwie się wydłuża, przenosi się z żoną do Wielkiej Brytanii i po nos-

tryfikowaniu polskiego dyplomu otrzymuje w 1949 roku pracę w wielkiej firmie wytworów chemicznych I.C.I. w Manchester. Od tego czasu datuje się jego wielotorowa praca społeczna, równoległa do sukcesów w pracy zawodowej. Z jego inspiracji i pod jego przewodnictwem społeczność polska w Manchester staje się pod względem organizacyjnym przodującą na wyspach brytyjskich. Koło SPK w Manchester wyrasta na najsilniejsze w Wielkiej Brytanii, rozmach życia społecznego w tym mieście staje się trudnym wzorem dla innych polskich ośrodków. Osobiste inicjatywy i funkcje organizacyjne Jarosława Żaby naprawdę nie dają się zliczyć. W Manchester był wieloletnim prezesem Koła SPK, twórcą i prezesem Zjednoczenia Polskiego obejmującego wszystkie niepodległościowe organizacje społeczne w tym rejonie, aktywnym działaczem parafii, opiekunem i faktycznym organizatorem zespołu tańców, przedstawień teatralnych, pokazów filmowych, „żywych dzienników” itp. Szczególnie blisko interesował się życiem młodzieży i robił co mógł, by kluby polskie w Manchester stały się jej domem. Dojeżdżał do Londynu i brał udział, czasem decydujący w pracach centrali polskich organizacji społecznych: SPK, Zjednoczenia Polskiego — którego był współzałożycielem, POSK-u — był orędownikiem zespolenia społecznych funduszy na budowę polskiego centrum, a potem członkiem Rady POSK-u — a ostatnio także Medical Aid for Poland.

Od początków swojej działalności Jarosław Żaba szukał drogi zespolenia wysiłków emigracji dla obrony nadrzędnych, bezspornych interesów Polski. Jeszcze w 1953 roku organizował w Manchester wielki zjazd „zjednoczeniowy”, by wokół osoby generała Sosnkowskiego doprowadzić do zgody emigracji politycznej i zakończyć kryzys wywołany śmiercią prezydenta W. Raczkiewicza. Ta próba nie osiągnęła celu i Żaba, chociaż pozostał lojalny wobec ośrodka „rządowego”, zaczął rozwijać koncepcje budowania wspólnej platformy na terenie społecznym, poprzez stałe kontakty reprezentacji grup polonijnych na całym świecie. Już od końca lat pięćdziesiątych Jarosław Żaba opracowywał kolejne wersje tego projektu. „Polonia Jutra”, która ostatecznie światło dzienne ujrziała na zjeździe w Toronto w listopadzie 1978 roku, zawiera różne elementy tych wczesnych pomysłów. Żaba był jednym z jej głównych promotorów i aż do końca jednym z najbardziej energicznych i ofiarnych działaczy tej nowej struktury. Przed śmiercią przygotowywał już kolejny zjazd „Polonii Jutra”, zaplanowany na przyszły rok w Londynie.

Choć był człowiekiem rodzinnym — ojcem trojga dorosłych dzieci — i miał różne osobiste zamiłowania — na przykład kochał kwiaty i dziką przyrodę — Żaba spełniał się przede wszystkim w działaniu publicznym. Posiadał ogromne zasoby energii, rzadką umiejętność organizowania pracy i wiarę w sens każdego przedsięwzięcia, w którym lokował swoje siły. Był człowiekiem, który wysadzony na wyspie bezludnej — ucywilizowałby ją; porzucony na pustyni — zamieniłby ją w ogród. Takich ludzi nie da się zastąpić.

Polemiki

Do Artura Sandauera - bez taryfy ulgowej

Jeśli styl to człowiek, Artur Sandauer stał się innym człowiekiem, co mnie skądinąd pociesza, gdyż przykro było mi widzieć w okopach Świętej Trójcy generała Jaruzelskiego dawnego bystrego poplecznika Gombrowicza i Schulza. Czytałem jego artykuł pt. „I nie wódź nas...” (*Polityka* z 3 września 1983) przecierając oczy. Ani śladu dawnej werwy, sofizmy naciągane, orientację w kulturalnych stosunkach zachodnich zastąpił parafialny egocentryzm, a całość jest rozlazła, zagmatwana, na niby i nie-do, przypomina metamorfozy psów w menażerii Gonzala z „Trans-Atlantyku”, nie-do wyżej raz po raz przemienia się w niby-mopsa czy pseudocharta. Nie sposób na ten tekst odpowiedzieć bez uprzedniego streszczenia, co czynię niniejszym, zastrzegając się: jest to zlepek kolejnych cytatów, oczyszczony z dygresji wywód samego Sandauera, do którego nie dodałem ani jednego własnego słowa:

„Mitowi zachodniemu towarzyszy w Polsce drugi — emigracyjny. Na rzecz jego działa wspomnienie Wielkiej Emigracji, jej roli w życiu narodu. Dzisiejszą Polskę różni na dobitkę od Zachodu funkcjonujący nienajlepiej ustrój oraz niewymienna waluta. Stąd pęd na Saksy.

Stąd również — zrodzony gdzie indziej — pomysł, by pęd ten wykorzystać, przenosząc centra kulturalne na Zachód, te zaś, które działają w kraju albo sprowadzić do podziemia, albo podporządkować, albo — jeśli się sprzeciwiają — sparaliżować. Realizacją pomysłu zajmuje się nie od dziś instytucja, zwana Kongresem Walki o Wolność Kultury. Dysponuje ona siecią czasopism i wydawnictw, ma zatem możliwość zapewnienia pisarzom światowego rozgłosu. Instytucja ta popiera każdego, kto skłonny do usług. Wodząc pisarzy na pokuszenie mirażem światowego rozgłosu, chce zamienić Polskę w pustynię kulturalną. Na pokusy jej bywałem wystawiany i ja. Oto parę przykładów.

KUSZENIE PIERWSZE

Do Paryża przybyłem latem 1948. Po odrzuceniu przez blok socjalistyczny planu Marshalla rozgorzała zimna wojna. Wydawnictwa poszukiwały

dezerterów zza żelaznej kurtyny. Akurat wtedy poznałem modnego pisarza włoskiego Curzio Malaparte. Skontaktował mnie z wydawnictwem „Table Ronde”, które zawarło ze mną umowę na — jeszcze nienapisaną — książkę pod tymczasowym tytułem „Byłem żołnierzem Czerwonej Armii”. Podpisana umowa stała się dla mnie przyczyną wielomiesięcznej rozterki: z jednej strony pokusa światowego rozgłosu, z drugiej — zaliczka wydawnictwa paląca niczym Judaszowe srebrniki. Tymczasem zjawił się w Paryżu Jerzy Borejsza, zadzwonił do mnie i zaproponował objęcie faktycznej redakcji *Odrodzenia*. Tym samym z niezbyt mi miłej Łodzi miałem przenieść się do Warszawy. Wszystkie wahania rozstrzygnęło za mnie — jak zwykle bywa — samo życie. Z wydawnictwem „Table Ronde” rozstałem się niekonfliktowo: oświadczyłem, że zamówionej książki napisać nie jestem w stanie, zaliczkę zwróciłem. Dobrze rozstałem się i z Malapartem, który w swej książce „Dziennik pisarza w Paryżu” wspomina o mnie jak najżyczliwiej.

KUSZENIE WTÓRE

Minęło 10 lat, w ciągu których zdążyłem i objąć redakcję *Odrodzenia* i jej się zrzec w roku 1950, i dostać się na „śmietnik historii” i wypłynąć na jej szerokie wody, aby znalazłszy się w Paryżu w roku 1958 być przyjętym z otwartymi rękami przez polską emigrację. Wielkim poważaniem napełniała mnie (i nie tylko mnie) — pisał mi Gombrowicz w liście z 7 września 1956 — pańska postawa w ostatnich latach...¹ Sandauer jest znowu najlepszym polskim krytykiem — to z kolei Konstanty Jeleński w *Partisan Review* (wiosna 1957).

„Najlepszego krytyka” zaproszono na wykład o partionym okresie w Collège Philosophie, w którym — oświadczył Czesław Miłosz — odwrożyłem jak żywą atmosferę stalinowskiego Związku Literatów. Byłem, słowem, kimś na kogo stawiano; pierwszym też pisarzem krajowym, publikującym w paryskiej *Kulturze**.

Bardziej jednak niż — przejściowe w końcu — kontakty z Giedroyciem miała zaważyć na moim życiu znajomość, ba!, zażyłość z Konstantym Jeleńskim, człowiekiem dużej ogłady i kultury, z którym, jeśli o Gombrowicza chodzi, zawarłem sojusz. Nie było to z jego strony bezinteresowne: szło o pisarza bądź co bądź emigracyjnego. Niemniej nasze punkty widzenia — polityczny i artystyczny — były chwilowo zbieżne. Skorzystałem też z ofiarowanego mi rocznego stypendium, aby — przybywszy do Paryża — ogłosić studium o „Ferdydurke”. Już jednak niebawem całkowita zgodność z Jeleńskim miała ulec zmańczeniu. Oto Gombrowicz przesłał na nasze ręce maszynopis świeżo skończonej „Pornografii”. Oceny nasze się różniły: Jeleński był zachwycony, ja — mniej, czemu dałem wyraz w liście do autora. Była to pierwsza negatywna ocena jego dzieła, jakiej się dopuściłem. Obstałem przy swym zdaniu o „Pornografii”. I nie tylko o niej; uważam, że i dalsze utwory Gombrowicza — „Kosmos”, „Operetka” — pozostają daleko w tyle za twórczością wcześniejszą. Również i tu zaczęła się zarysowywać rozbieżność między mną a Jeleńskim, który widział w nich bodaj czy nie najlepsze utwory Gombrowicza. Sens polityczny tych ocen łatwo dostrzec: poddany kurateli Kongresu, byłby Gombrowicz lepszym pisarzem niż był nim w okresie całkowitej swobody.

KUSZENIE TRZECIE

11 grudnia 1981 znalazłem się w północnowłoskim miasteczku, Gorizii. Istnieje tam Instytut Kultury Śródziemnomorskiej, który zaprasza mnie

* Bez przesady i bynajmniej nie pierwszym. (Red.)

rokrocznie na kongresy — jedyny, nawiasem powiedziawszy, skrawek Zachodu, gdzie fama o mnie — jako o jego wrogu — jeszcze nie dotarła.

Od dawna przestałem być „najlepszym krytykiem polskim”, jakim ogłosił mnie kiedyś Jeleński: miejsce zajęli inni. Stałem się czarną owcą środowiska, które w znakomitej większości przeżywało w ciągu tych lat przełomy duchowe. Struktura, jaką nadano w okresie tuż powojennym życiu artystycznemu, od 1956 roku zaczęła działać przeciw ideologii, w imię której ją nadano; mecenas krajowy ukuł oręż, który obrócił się przeciw niemu. Kongresowi przy pomocy związków artystycznych łatwiej było upolitycznić życie artystyczne — w przeciwnym kierunku.

Otóż 14 grudnia znalazłem się w Gorizii. Właśnie wchodziłem na salę, gdy ktoś mi wetknął *Messagero Veneto*. Olbrzymie litery zwiastowały „stan wojenny w Polsce”, „wyjście spod prawa Solidarności” oraz „objęcie władzy przez juntę wojskową”. Biedni dziennikarze włoscy nie znali innych kategorii niż chilijskie. W swym hoteliku goriziańskim, noszony na rękach przez gościnnych Włochów, obtelefonowywany przez przyjaciół, którzy zapraszali to do Paryża, to — jeszcze gdzie indziej, tłumaczyłem Rilkego: inspirowała bliskość Duino, gdzie pisał niegdyś swoje elegie. Któż broni — myślałem chwilami — skutecznie Zachodu — czy ja, przekazujący publiczności polskiej to co najcenniejsze w jego tradycji, czy emigracyjni podpisywacze, protestujący przeciw temu, co było tragiczną koniecznością?*

Tyle Sandauera. Zanim przejdę do poszczególnych punktów tej świętopiotrowej Kalwarii, zauważmy, że kur zapiął na pewno po każdorazowym kuszeniu. Cicho (i ironicznie), gdy Sandauer zrezygnował z kontraktu na wspomnienia „Żołnierza Czerwonej Armii” (dziwny tytuł jak na kombatanta wojska rzekomo polskiego), gdyż „rozstrzygnęło za niego życie samo”, wdzięcznie wcielone w Jerzego Borejszę. Głośniej i pewniej, gdy przyjął roczne stypendium Kongresu Wolności Kultury na napisanie studium o „Ferdydurke”. Z chrypką niesmaku, gdy Sandauera „nosili na rękach” gościnni Włosi, wstrząśnięci wiadomością o wojnie wydanej polskiemu społeczeństwu (bo przecież nie spotkałby się z aż tak przyjazną reakcją, gdyby wystąpił wówczas z obroną Jaruzelskiego, tłumacząc, że trzeba ogniem i mieczem zniszczyć „Solidarność”).

Zacznę od Kongresu Wolności Kultury (Sandauer przekreśla aż do nazwy tej rzekomo wszechmocnej organizacji). Założony w roku 1950, Kongres rozwiązał się w roku 1977, tak że niczym dziś się już nie „zajmuje”, niczym nie „dysponuje”. Mit „obcej agentury” jest widać dziś w Polsce aż tak niezbędny, że Sandauer musi wskrzeszać od dawna nieistniejącą instytucję. Sandauer przypisuje w dodatku Kongresowi wszystkie swoje trzy groteskowe „kuszenia”. Jeśli chodzi o pierwsze, Kongres nie mógł mieć z nim nic wspólnego, nie tylko dlatego, że wówczas nie istniał. Curzio Malaparte, utalentowany blagier (a więc mierny pisarz), miał z faszyzmem stosunki bardzo dwuznaczne, pogardzali nim niezłomni antyfaszyści włoscy, wchodzący — jak Ignazio Silone i Nicola Chiaromonte — w skład rady Kongresu:

nie zasiedliby oni z nim nigdy przy jednym stole. „Table Ronde” było w okresie bezpośrednio powojennym wydawnictwem programowo prawicowym, działało w nim grono mniej lub więcej skruszonych pétainistów, natomiast wszyscy francuscy członkowie Kongresu brali czynny udział w *Résistance* i nie mieli aż tak krótkiej pamięci.

Kongres był więc — za moim pośrednictwem — czynny jedynie w „drugim kuszeniu” Sandauera. Emigracją Kongres nie interesował się nigdy. Odsyłam Sandauera do mego szkicu o *Kulturze* w „Zbiegach okoliczności”, gdzie szczegółowo wyjaśniam dlaczego, mimo moich wielokrotnych zabiegów, Kongres pomógł finansowo pismu Jerzego Giedroycia raz jeden — składką paruset tysięcy starych franków na dom *Kultury* — co zostało zresztą odnotowane wówczas w numerze. Jeśli zaś chodzi o Gombrowicza, odsyłam go do mej recenzji w *Kulturze* z książki Jerzego Jarzębskiego, gdzie przypominam, że sekretarz generalny Kongresu, Mikołaj Nabokov, odmówił mi wciągnięcia Gombrowicza na listę artystów zaproszonych do Berlina na stypendia Fundacji Forda, a zdanie zmienił dopiero po interwencji Uwe Johnsona i Güntera Grassa.

Nie, mój biedny Arturze. Wiesz o tym doskonale, że w owych latach uprzywilejowani byli na Zachodzie, a zwłaszcza we Francji, pisarze krajowi i to wcale nie opozycjni, tylko ci, którzy mieli dostęp do Aragona i Elzy (a więc Gallimarda), do Sartre’a (a więc *Temps Modernes*), do Domenacha (a więc Editions du Seuil i *Esprit*). Miłosz wspomina gorzko list dobrego francuskiego tłumacza, który prawi mu komplementy o „Zniewolonym umyśle”, żałując, że nie może sobie pozwolić na przekład książki: skompromitowałyby go to w oczach „środowiska”. Sam się zaśmiewałeś (miałeś wówczas poczucie humoru), gdy mówiłem Ci, że *Preuves* (francuski miesięcznik Kongresu) czytają intelektualści paryscy w Café de Flore z wypiekami na twarzy, wkładając numer między strony *France-Observateur*, jakby chodziło o pornograficzną bibułę. Nie mogłeś nigdy myśleć, że Colège Philosophique, gdzie wygłosiłeś rzeczywiście prz zabawny, jadowity odczyt o stalinowskim ZLP (oby Ci został przez nowy Związek wybaczony!) ma cokolwiek wspólnego z Kongresem. To całkiem inne środowisko (Roland Barthes, Jean Wahl, Lévi-Strauss) — zostałeś tam zaproszony na skutek interwencji Maurice Nadeau, który nie lubił ani *Preuves*, ani Kongresu, ale kochał Gombrowicza.

W Kongresie pracowałem od roku 1952, ale dopiero po roku 1956 udało mi się (z poparciem Raymonda Arona, Daniela Bella, Ignazio Silone) zorganizować pomoc niezależnym intelektualistom z krajów demokracji ludowych, w postaci stypendiów na

krótkie pobyty na Zachodzie i wysyłki książek i pism. Podobną akcję prowadził Kongres jednocześnie na rzecz antyfaszystowskich intelektualistów w Hiszpanii i Portugalii — gdzie w seminariach organizowanych przez nas uczestniczyli wówczas również nawet komuniści. Komu jak komu, ale Tobie, Arturze, nie potrzebuję chyba dowodzić, że pomoc ta była całkowicie bezinteresowna, że nie składałeś Kongresowi nigdy żadnych „usług”. O tę bezinteresowność chodziło mi do tego stopnia, że przeprowadziłem (wbrew sceptycyzmowi niektórych moich kolegów) zasadę, że będziemy do tych krajów wysyłać tylko książki i pisma, o które nasi korespondenci poproszą, aby uniknąć zarzutu „propagandy”. Nie moja to wina, że zapotrzebowanie na książki „marksistowskie” w stosunku do innych miało się jak 1 do 100.

Czasy się oczywiście zmieniły, intelektualny Paryż jest dziś niemal jednomyślnie antykomunistyczny i mam nadzieję, że przyczynił się do tego w drobnej mierze opór stawiany w owych latach przez Kongres bezwstydnym kłamstwom komunistów i ich sprzymierzeńców: wstrząs wywołany przez Sołżenicyna nie trafił, dzięki nam, na grunt całkowicie nieprzygotowany. W wydanych parę dni temu swoich „Mémoires”, które cała prasa francuska — z wyjątkiem *Humanité* — wita jako literacki i intelektualny ewenement roku, Raymond Aron wspomina Kongres, jego „antykomunistyczny pluralizm, obejmujący socjalistów z jednej, liberalnych konserwatystów z drugiej strony” i dodaje: „W latach powojennych, aż do śmierci Stalina, prowadziliśmy walkę poważną, o serca i umysły ludzi (...). W roku 1950, gdy Kongres powstał w Berlinie, mobilizacja intelektualna przeciw Związkowi Sowieckiemu była jeszcze ważniejsza od zbrojeń”.

Nie od rzeczy będzie dorzucić, że w okresie o którym wspominaś nie gdzie indziej jak w środowisku intelektualnym Kongresu zrodziła się teoria *convergence*, propagowana przez Arona, Bella, wielu innych, przewidująca, że wymogi cywilizacji post-przemysłowej zmuszą blok sowiecki do liberalizacji bez zasadniczej zmiany ustroju i z zachowaniem równowagi między dwoma geopolitycznymi blokami. Ruch „Solidarności” w Polsce stanowiłby paradoksalne potwierdzenie tych przewidywań (liberalizacja „oddolna”, a nie „odgórną”), gdyby nie został brutalnie zgnieciony w pierwszej (i nie ostatniej) rundzie przez klasę rządzącą, powodowaną panicznym strachem przed utratą części swych przywilejów i totalnego monopolu władzy.

Sprzeczności Twego tekstu, dogodne Ci luki pamięci, jego chorobliwy egocentryzm mógłbym ostatecznie wytłumaczyć chęcią usprawiedliwienia Twego „obiektywnego” przymierza dzisiejszego z Patriotycznym Ruchem Odrodzenia Narodowego w Kraju

i Jędrzejem Giertychem na emigracji. Dwoch rzeczy darować Ci jednak nie sposób.

Jak możesz upupiać Gombrowicza, niczym byle Pimko, twierdzeniem, że „dostawszy się w sieci Kongresu, zabrakło mu do-tychczasowej swobody ruchów i dezynwoltury”? Jak widzisz, nie chodzi mi nawet o to, że powiązań z Kongresem nie miał Gombrowicz żadnych, ani o to, że „Pornografia” i „Kosmos” są — jak to świetnie wykazał Jerzy Jarzębski — doprowadzeniem do końca „gry”, którą rozpoczął pisząc „Ferdydurke”. Walka o zachowanie swobody ruchów i dezynwoltury stoi u podstaw egzystencji i twórczości Gombrowicza. Insynuując, że z niej zrezygnował, niszczysz go jako człowieka i jako pisarza.

Druga sprawa, to „donos”, jeden z tych, na które tak się w tym artykule uskarżasz. Pisząc, że Kongres Wolności Kultury manipulował polskimi związkami artystycznymi (dziś przez Twoich mocodawców zlikwidowanymi), zapomniałeś o wyroku śmierci na Zdzisława Najdera. Chyba że się z tym wyrokiem zgadzasz.

K. A. JELEŃSKI

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, boulevard Saint-Germain, 75006 Paris
Tel. 326-04-42 — Telex 250302

Rok założenia 1833

Sprzedajemy i wysyłamy

KSIĄŻKI POLSKIE
wydania zachodnie i krajowe

POLONICA FRANCUSKIE
w wielkim wyborze

KSIĄŻKI ANTYKWARYCZNE I OKAZYJNE

ARTYSTYCZNE PLAKATY POLSKIE

Katalogi wysyłamy bezpłatnie

Książki

Jak giną demokracje

Jean François Revel reprezentuje prawie samotnie te cnoty intelektualne, które Francuzi przestali praktykować w latach trzydziestych naszego stulecia. Oni stali się mętni, on jest klarowny. Oni stali się irracjonalni, on rozumuje logicznie. On ceni prawdę dla niej samej, a jego rodacy przestali się o nią troszczyć. Revel przekuł już niejedną pustą balonik, ale długo trwało, zanim uszło z nich powietrze. Zapomina się o Teilhardzie de Chardin czy Lacanie, których nicość Revel obnażył, kiedy byli u szczytu sławy. Obsypano go za to obelgami, podczas gdy ci szalbierze zbierali honory i zmarli w chwale, opłakiwani przez całą ludzkość.

W swojej nowej książce Revel atakuje problemy innego wymiaru: kryzys demokracji lub ogólnie biorąc upadek wszystkich istniejących ustrojów politycznych w obliczu ich wspólnego wroga, jakim jest komunizm. Aby potraktować temat z powagą, na jaką zasługuje, Revel zapewnił sobie pomoc Branco Lazitcha, którego niewyczerpane zasoby wiedzy i niezawodną erudycję znają wszyscy specjaliści. Wynikiem ich współpracy jest arcydzieło; niestety mało jest prawdopodobne, by odwróciło ono bieg wydarzeń.

„Cywilizacja demokratyczna jest pierwszą formacją historyczną, która nie przyznaje sobie racji w obliczu potęgi działającej na jej zgubę”. Oto punkt wyjścia. Demokracja, ten najżywszy, najłagodniejszy, najbardziej praworządny z ustrojów nie czuje się w prawie opierać się ustrojom drapieżnym i bezprawnym, które zmiierzają do jego destrukcji. Nawet w nienagannym dziele Tocqueville'a znajdziemy powątpiewanie w demokrację w postaci bezzasadnej obawy, że rodzi ona despotyzm. Despotyzm nigdy się z demokracji nie narodził, sam fakt jednak, że żywi ona

* Jean François Revel, *Comment les démocraties finissent*, Grasset, Paryż 1982, str. 332. Przy udziale Branco Lazitcha.

w stosunku do siebie samej podobne podejrzenia pozwala ocenić bezmiar jej kruchości moralnej. Tymczasem komunizm nie potrafi zaproponować żadnego panaceum na wymaginowane niebezpieczeństwa demokracji: niesprawiedliwość społeczną likwiduje on wyłącznie drogą zlikwidowania samego pojęcia sprawiedliwości i kośćca społeczeństwa. Komunizm jest, jak powiadał Céline, „niezmierzoną kłęską w zawieszaniu”, „węgetującą katastrofą”, trupem, który sieje wokół siebie śmierć i wysysa soki z wszystkiego, co żyje. Jednak w sferze władzy wydaje się on nie tylko niezachwiany, ale też czcigodny. Nimb czcigodności nadaje mu demokracja. Demokracja bowiem nie może sobie wyobrazić, by jakikolwiek istniejący ustrój nie stał się z czasem ustrojem opartym na prawie, lub by traktując go jako ustrój oparty na prawie nie można było go do tego doprowadzić, lub też by nie stał się on tym, czym powinien być, jeśli się będzie uparcie odmawiało widzenia go takim, jakim jest. Owocem tych błędnych założeń jest to, że demokracja odmawia poznania, analizy i zrozumienia komunizmu. Demokracja chce ignorować, że jest on znową publiczną wymierzoną przeciwko niej. Od ogólnych teorii odwraca się z lekceważeniem, uważając je za prymitywne i uproszczone. Odmawia uznania, że komunizm jest wspólnym ogniwem akcji ZSSR, Chin i Kuby i woli interpretacje cząstkowe, wszystkie bez wyjątku fałszywe. Nie chce nawet uznać materialnego faktu, jakim jest ekspansja sowiecka. Ostatnio pewien neosowiecolog amerykański podczas spornej rozprawy ze mną w obecności studentów, odrzucił znaczenie takich podbojów komunistycznych jak Jemen (kilka morgów piachu...), Mozambik (kilka morgów dżungli...), Nikaragua itd.

Revel z nieodpartą logiką demonstrowa naszą klasie politycznej metody ekspansji komunistycznej. Władza komunistyczna prowadzi strategię planetarną. Jest też dostatecznie stabilna, by pamiętać o sukcesach i błędach i brać je pod uwagę przy każdym kolejnym posunięciu. Kiedy stosunek sił jest niekorzystny, komunizm potrafi się cofnąć, nigdy jednak odwrót nie staje się okazją do trwałego podziału: ponieważ komunizmowi należy się wszystko, cały stan posiadania „kapitalizmu” (czyli wszystkiego, co nie jest komunizmem) jest zagrożony i prowizoryczny. Komunizm prowadzi politykę zmienną, sięgając zależnie od okoliczności do zimnej wojny, „pokoju koegzystencji” lub wreszcie „odprężenia”, aby po wyczerpaniu efektów tego ostatniego znowu wrócić do zimnej wojny.

To są zasady podstawowe; dochodzi do nich szereg wypróbowanych recept. Zachód można podzielić, bowiem rządzą nim rozmaite interesy narodowe, ponieważ pluralizm partii i konflikty należą do natury wolnego społeczeństwa cywilnego. Sztuka Moskwy polega zatem na obronie lub pozornej obronie interesów jednej ze stron. W ten sposób „obrona godności Europejczyków” zbiega się cudownym zarządzeniem rzeczy z interesem sowieckim. Innymi słowy Moskwa pomaga Francji czy Niemcom zbudować służący jej gazociąg i w ten sposób bronić ich „niezawis-

łości narodowej” przed wszystkimi innymi narodami świata. Inną metodą jest fałszowanie słów, a ściślej mówiąc narzucony użytek homonimów, co do których Zachód świadomie zapomina, że nie są synonimami. Najsłynniejszym z nich jest słowo „pokój”. Na Zachodzie walka o pokój oznacza walkę o pokój. Dla Sowietów oznacza ona walkę o ekspansję systemu komunistycznego, będącego z definicji nosicielem prawdziwego pokoju. Podobnie dzieje się z pojęciami niezawisłości, wolności, demokracji itd., które w świecie komunizmu oznaczają jedną jedyną rzecz: komunizm.

Jak jednak się dzieje, że demokracje łąpią się na każdy hać, że przez sześćdziesiąt pięć lat niczego się nie nauczyły i wszystko zapomniały? W stosunkach z hitlerowskimi Niemcami i sowiecką Rosją wiecznie te same grubymi nićmi szyte podstępnie działają skutecznie na dyplomatów, którym rozum zaćmiewa jakaś nadnaturalna głupota i graniczące z cudami zaślepienie. Każdy z nas słyszał następujące argumenty: Sowietci respektują *status quo*; bankructwo ekonomiczne ustroju sowieckiego zmusi go do rezygnacji z nazbyt ambitnej polityki zagranicznej i do przeorientowania się na podwyższenie stopy życiowej; wszędzie narodzą się komunizmy narodowe, które ograniczą wpływy sowieckie w świecie; teorię konwergencji systemów; handel między Wschodem i Zachodem ucywilizuje komunizm; Rosjanie najeżeli Afganistan ze słabości; jeśli okażemy nieustępliwość, spowodujemy nawrót zimnej wojny itd. Kiedy któraś z tych głupich kołysanek, na których opiera się nasza polityka, przeżyje się, intonuje się następną, aby z czasem powrócić do pierwszej. Wszystkie straszą, że każdy kryzys dyplomatyczny może doprowadzić do katastrofy. Revel podaje przykład kryzysu wokół muru berlińskiego w 1961 roku. Podczas gdy wszyscy protagoniści — Brandt, Couve de Murville, de Gaulle, Kennedy i Mc Millan — piętrzyli błędne analizy, zbędne ostrożności i mylne przewidywania, żołnierze ernerdownscy, którzy mieli rozkaz cofnąć się przy przejawach zdecydowania Zachodu, spokojnie otaczali murem cały naród. Inny przykład: de Gaulle. Interpretując mylnie komunizm jako klasyczny nacjonalizm rosyjski, szedł od kłęski do porażki i od porażki do kłęski, myląc się co do wroga i oddając ustrojowi sowieckiemu przysługi, co do których Breżniew zdumiewał się, że je dostaje za darmo. Ostatni przykład to Polska „stanu wojennego”...

Dlatego demokracje utrzymują przy życiu mity historyczne, jak np. mit o podziale świata w Jałcie, tysiącokrotnie obalony przez historyków? Dlaczego w obliczu wakującego tronu kremlofskiego czytamy rozważania ekspertów o tajemnicach duszy następcy, jego pragnieniu reform i chłonności na wartości Zachodu? Dlaczego święci triumfy wizja „dwóch supermocarstw”, sowieckiego i amerykańskiego, i dlaczego przeprowadza się znak równości między ustrojem sowieckim a tym czy innym nieprzyjemnym reżymem w Ameryce Południowej? Dlaczego przypomina się w nieskończoność i rozdmuchuje najdrobniejszą skazę na demokra-

cji, a zapomina natychmiast najstraszniejsze rzezie dokonywane przez komunistów?

Jean François Revel stwierdza, nie tłumaczy. Jego książka jest raczej opisowa niż wyjaśniająca. Prezentuje dzieje kapitulacji demokracji, nie jej teorię. Bowiernie zjawisko to pozostaje niepojęte. Komunizm jest prosty, prostacki, niezwykle, patologicznie prymitywny, zupełnie jak komórki rakowe z ich monstrualnie chaotyczną strukturą, widoczną pod mikroskopem. Tajemnicą jesteśmy my, nasza bezsilność wobec ataku tego ustroju, o tyle od nas gorszego i tak jałowego. „Zagadka spowita w tajemnicę”, o której mówił Churchill, to nie Rosja sowiecka — to współczesna demokracja.

Alain BESANÇON

(Z francuskiego przełożyła Julia JURYS)

By wolnych poznać po tym, że kulawi...

Nie jestem wdzięcznym odbiorcą poezji politycznej, ale przyznam że dawno już nie odczuwałam takiej satysfakcji, jak przy lekturze wierszy Kaczmarskiego*. W czytaniu, Kaczmarski sprawia wrażenie, jakby pisał z równą łatwością i brawurą, jak śpiewa. Dawniej powiedziałoby się, że „obrazy same cisną mu się pod pióro”. Ale jest to poeta poddany bardzo ścisłym rygorom: jego obrazowanie, podobnie jak retoryka, słuchają określonych nakazów. Wiersze Kaczmarskiego tkwią sztywno w ramach tradycyjnej polskiej wersyfikacji. Gwarantuje im to nie tylko możliwość śpiewania, lecz także popularność, jako że przeciętna publiczność wciąż jeszcze kojarzy poezję z tzw. mową wiążaną. Lektura, której nie towarzyszy nieunikniona podczas koncertu ekscytacja, obnaża słabości tej poezji, ale udostępnia jednocześnie całą jej intelektualną, emocjonalną i poetycką złożoność.

Kaczmarski urodził się w roku 1957 w Warszawie. Po raz pierwszy wystąpił publicznie w roku 1977. W roku 1980 ukończył polonistykę, co tłumaczy częściowo jego dużą literacką kulturę i zakorzenienie w poetyckiej tradycji. Największą popularnością cieszył się w okresie Solidarności, ale i bez Solidarności — jak wskazują wiersze z lat 1976-1979 — byłby tym, kim jest: gniewnym bardem zniewolonego narodu.

* Jacek Kaczmarski, *Wiersze i piosenki*, Instytut Literacki, Paryż 1983, str. 142.

Jako pieśniarz — z czym by się zapewne nie zgodził — Kaczmarski jest spadkobiercą krakowskiego kabaretu „Piwnica” i politycznych kabaretów z końca lat 70-tych, w których sam, jak się zdaje, aktywnie uczestniczył. To od „Piwnicy” rozpoczęła się w Polsce moda na śpiewanie poetów (niezapomniany Niemen jąkający *Bema pamięci żałobny rapsod*). W „Piwnicy” śpiewano Stary Testament, Mandelsztama, Tuwima, Jasnorzewską-Pawlikowską, Baczyńskiego i drugorzędną poezję młodopolską, przywracając jej cały liryzm i wdzięk, ba! — nawet Gombrowicza. W „Piwnicy” występowały historię Polski — i historię polskiej literatury — uaktualniając ją i waloryzując przez swoistą interpretację wokalną i aktorską.

Pieśni Kaczmarskiego są nierówne, to uwaga po dwóch wysłuchanych w Kopenhadze koncertach. Obok melodycznych różnicowanych, sporo monottonnych, bazujących raczej na rytmie i sile głosu autora-wykonawcy. We wstępie do zbioru porównuje Jacek Bierzyn Kaczmarskiego do Dylana i Wysockiego. Przyznam, że nigdy nie byłam entuzjastką charkotliwego głosu Wysockiego i przeraźliwego tempa, w jakim śpiewał. Zaś chuligańsko-alkoholowy romantyzm pobrzmiwał mi zbyt już anachronicznie Jesieninem i Majakowskim. Wiersze, które Kaczmarski zawdzięcza Wysockiemu są świetne, ale śmiem twierdzić, że najlepsze są w tym, w czym od Wysockiego się różnią, w czym mu się sprzeciwiają. Jeśli chodzi o inteligentne, dowcipne teksty Dylana, to tracą one w oderwaniu od atmosfery „wesołych lat sześćdziesiątych”. Sam zaś sposób śpiewania jest teraz tym, czym zapewne był zawsze: manierą. Kaczmarski nie wytrzymuje porównań, a raczej je przerasta. Jest polskim bardem przebudzenia narodowego, poetą dla wszystkich pokoleń, „wędownym grajkiem” Miłosza, wierszowaną, nielegalną gazetą. I Bogu dzięki śpiewa nie stylizując.

Jest rzeczą zdumiewającą, że pomimo tradycyjności jego wierszy, pomimo wielu głosów, które się w nich słyszy, tak trudno przyszpilić go do konkretnego poety, czy konkretnej poetyki. W gęstości obrazowania Kaczmarski przypomina najbardziej Tadeusza Nowaka (który pisze „psalmy”, a więc utwory śpiewane, równie mocno tkwiące w polskiej tradycji wersyfikacyjnej). Ale Kaczmarski przypomina także Mandelsztama i Jesienina (choć dziwnym trafem tylko Jesienina w wyborze i tłumaczeniu Nowaka¹⁾, anonimowe pieśni okupacyjne, religijne pieśni Renesansu, romantyczne ballady, Skamandrytów, dziewiętnastowieczną poezję rewolucyjną i w ogóle drugorzędną dziewiętnastowieczną poezję: Lenartowicza, Konopnicką, Asnyka. Przypomina... zapewne z własnego wyboru. Najłatwiej powiedzieć, czego poezja Kaczmarskiego nie przypomina: współczesnej poezji polskiej.

„Poezja córka jest pamięci” napisał kiedyś Herbert. Skąd ta oszałamiająca, obsesyjna wręcz pamięć losu zbiorowości u tego chłopca w dzinsach, modnie wciśniętych w botki? Skąd ta pasja

1. *Poezje*, Kraków 1975.

wczytywania się w obrazy zamierzchłej, choć ciągle jątrzącej przeszłości? Zbiór wydany w *Kulturze* podzielony został nie tyle na „wiersze i piosenki”, co na dziewięć cykli tematycznych, z których pierwszy nosi tytuł *Pejzaż z szubienicą*, a ostatni *Zbroja*, z podtytułem *13. XII*. Cykl *Muzeum* zawiera wstrząsające interpretacje i opisy obrazów Matejki, Norblina, Gierymskiego, Malczewskiego, Witkacego, Wróblewskiego, Linkego... aż po Giełnika. *Pejzaż z szubienicą* to między innymi sceny z obrazów Boscha i Breughla. Polskie muzeum nie jest dla Kaczmareckiego magazynem starych rupieci, niegdyś uznawanych za sztukę, czy historię gustów epoki. Muzeum to dla Kaczmareckiego dosłownie „malowane dzieje”. Okazja do wczytania się w życie malarza, w biografii namalowanych postaci. Muzeum polskie to dla Kaczmareckiego żywa pamięć narodu, kronika zdarzeń, które ukształtowały jego dzisiejszy los i świadomość, lekcja malowanej historii, socjologii i psychologii.

Kaczmarecki nie trafił się pokoleniu „Współczesności”, które debiutowało w okolicach roku 1956. Zaledwie paroma „psalmami” zapowiedział go Tadeusz Nowak w tomie *Prorocy już odchodzą*. Duchowo i politycznie Kaczmarecki należy do pokolenia Barańczaka i Krynickiego. Ale właśnie jemu udało się w poezji to, co im udało się tylko częściowo: nadać protestowi politycznemu absolutnie poetycką, zarazem piękną i popularną formę.

W wierszach inspirowanych przez dawne, niepolskie malarstwo Kaczmarecki wykazuje wyobraźnię zbliżoną do średniowiecznych moralitetów i barokowy wręcz konceptualizm. A więc to właśnie, co charakteryzuje malarstwo Boscha i Breughla. W *Pejzażu z szubienicą* najlepszy wydaje się jednak jeden z „najcichszych” wierszy Kaczmareckiego: komentarz do obrazu Paula Klee — *Książę*. Wiersz stylistycznie niemal przeźroczy, stonowany w ekspresji; właśnie taki, jakim bywa doskonałe, bezprzedmiotowe malarstwo. Dziewięta linijka, doczepiona jakby na przekór do tradycyjnej oktawy, stoi w wyraźnej opozycji do całości wiersza, zaprzeczając jego treści i zarazem ją podsumowując: „*Książę się ukrył w nocnej wyobraźni / Ściemniał od oczu zielonych jarzenia / Żółty nos księcia świeci od niechcenia / Wargom różowym w mrok żeglować raźniej // Książę sam siebie oświetla z przejęciem / Korzysta z tego uplecioną krzywo / Korona z drutów książęcej pamięci / Gdzie myśli złote proste wiodą żywot // To czego nie ma jest portretem księcia*”.

Cykl zatytułowany *Lekcja historii klasycznej* tematycznie bliski jest Herbertowi. Tezeusz Kaczmareckiego morduje po omacku, ze świadomością, że „prawdziwy Minotaur wciąż drzemie wśród ścian labiryntu”. Piękna Helena przegrywa w sporze o serca mężczyzn z boginią wojny Ateną. Cassandra, podobna do *Monologu dla Kassandry Szymborskiej*, wie, że najtrudniej jest wieszczyc zagładę, która już się spełniła: „*Bawcie się pićcie dzieci / Jak się bawić i pić potraficie / Są ludy co dojrzały do śmierci / Z rąk ludów niedojrzałych / do życia*”.

Kaczmarecki posiada cechę, która może przeszkadzać poetom,

ale pewno niezbędna jest poecie-piosenkarzowi: talent do swoich *bonmots*. Nawet w najślabszych wierszach tu i ówdzie wyblyska piękna i celna strofa, lub jedna, godna zapamiętania linijka.

W cyklu *Raj*, opartym na motywach *Starego i Nowego Testamentu* znalazł się świetny *Hymn*, pomyślany jako litania *à rebours*, a ewokujący *Psalm 91* Jana Kochanowskiego: *Kto się w opiekę odda Panu swemu... Kaczmarecki: „Kto w twierdzy wyrósł po co mu ogrody / Kto krew ma w oczach nie znieś błąkitu / Sytość zabije nawykłych do głodu / Myśl upodlona nie dźwignie zaszczytów...”*. Charakterystyczna dla tego cyklu zwieźłość nie jest dla Kaczmareckiego typowa; pisze on z reguły wiersze na pełne gardło i cały rejestr poetyckich środków. Tutaj wiersze uboższe są w obrazy, a poszczególne linie budowane na precyzyjnych przeciwstawieniach. Mniej w nich malarstwa i akcji, więcej retoryki. Kaczmarecki tak między innymi potrafi opisać walkę Jakuba z aniołem: „*I w tym spotkaniu na bydlęcej drodze / Bóg uległ i Jakuba błogostawił / Wprzód mu odjąwszy władzę w jednej nodze / By wolnych poznać po tym że kulawi*”.

I tyle tylko na pochwałę lapidarności, której nigdy z czystym sumieniem Kaczmareckiemu bym nie zalecała; rozbuchanie materii w jego obrazach bywa często nad podziw funkcjonalne. Dla kontrastu zwrotka z poematu *Casanova-Fellini. Scena niemiecka*, pisana na odmianę w konwencji romantycznej ballady: „*Szczy na bele błotogłowiu / Swity rehot i brzęk kufla / Tlącą się szkarłatną głownią / Ściga oczy czarnych żółwi*”.

W cyklu *Epitafium dla Włodzimierza Wysockiego* wiersze zostają dosłownie spuszczone ze smyczy, zgodnie zapewne w duchem pieśni i temperamentem rosyjskiego aktora. I tu znajdują się teksty nierówne, szczególnie te, w których fascynacja Wysockim zdaje się legalizować brak językowych hamulców. W innych jednak ta niesamowita dynamika kaskadami spadających obrazów, ta zapierająca dech i wściekłością podszyta desperacja, sięgają prawdziwego mistrzostwa. Akrobacji! Jest to bowiem mistrzostwo zbyt siebie świadome, zbyt w sobie rozkochane. Kaczmarecki czuje to, jakby mimo woli łącząc charakter rosyjskiego poety z dwuznacznym niekiedy charakterem jego poezji (mam tu na myśli wszyskie „wilcze” motywy). Ostatnia zwrotka wiersza pt. *Nie lubię brzmieć*:

„*Ja nienawidzę siebie kiedy tchórzę / Gdy wytłumaczeń dla łajdactw szukam swych / Kiedy uśmiecham się do tych którym służę / Choć z całej duszy nienawidzę ich!*”.

Kaczmarecki jest poetą przejrzystej moralistyki, gniewnym kaznodzieją-retorem, który nigdy nie uśmiecha się do tych, którymi gardzi. Jego poezja demaskuje w poddanym niewolnika, a w rządzącym — bezwzględne i okrutne chame. Kaczmarecki ma małą wprost umiejętność wpisania się w język i sposób rozumowania tych, o których pisze. Posługuje się w tym

celu dialogami, fabułą, anegdotą, udratyzowanym psychologicznym portretem. To, do czego niegdyś potrzebowano długich poematów epickich, on mieści swobodnie w krótkich, parostrofowych wierszach. Majstersztykiem owego mieszania gatunków jest wpisanie próby *Hamleta* — jedna ze słynnych ról Wysockiego w teatrze na Tagance — w wiersz *Epitafium dla Włodzimierza Wysockiego*. Ale Kaczmarski potrafi także pisać lirykę refleksyjną, jak *Ballada o spalonej synagodze* czy *Ballada feudalna* (polecam czytelnikom tę elegię napisaną ku czci „czwornacznych ludzi”, chłopskiej emigracji zarobkowej), których epicka prostota może zmylić przy pierwszej, powierzchownej lekturze. Cykl ostatni, *Zbroja*, to pieśni-wiersze, które najlepiej zna się z koncertów Kaczmarskiego. (Zabrakło mi w nich wspaniałego poematu, listu żony kubańskiego poety uwięzionego przez Castro). Przejmująca jest *Prośba*, z ową linijką kończącą każdą zwrotkę, jak w dawnych miłosnych szlagierach: „Mów mi, ach mów, że będzie tak!”. O co prosi dwudziestosześcioletni Polak? O pamięć. O pamięć każdego detalu gwałtu i zbrodni popełnianych na jego narodzie. I o siłę do zemsty. W wierszu *Wróżba* zostaje już tylko rozpacz, poczucie daremności wysiłków, fatalizm:

„Nieistniejące w milczeniu narasta, / Aż prezydenci i gwiazd korce błędną. / Coś się na pewno wydarzy — to jasne, / Ale nam wtedy będzie wszystkim jedno”.

W *Koncertcie fortepianowym*, ironicznym nawiązaniu do *Fortepianu Chopina* Norwida i poematu Lechonia *Mochnacki*, warta została prosta formuła daremności wysiłków człowieka, który przybrał maskę wybawcy narodu:

„Do fortepianu — po coś siadał, chamie?! / Nie wydobędziesz zeń dźwięku rozkazem. / Pod pięścią prysnie kość i klawisz złamiesz, / Ale nie zabrzmią dziejowe pasaże”.

Ostatnią w zbiorze pieśnią jest *Zbroja*, Kaczmarskiego wyznanie wiary, niemal nieprawdopodobne w ustach młodego poety końca dwudziestego stulecia. *Zbroja* wykuta została z tradycji bardzo polskiej i bardzo anachronicznej. Kaczmarski nazywa ją „naszym pancierzem pamięci”:

„Magicznych na niej rytów / Dziś nie odczyta nikt / Ale wykuta z mitów / I wieczna jest jak mit / Do ciała mi przywarła / Przeszkadza żyć i spać / A tłum się cieszy z kartą / Co chce giganta grać”.

W książce *Zmiana warty* (1961), którą warto dziś odczytać na nowo, Jan Błoński pisze: « „Karabela została na strychu” — pisała niedawno *Współczesność*. Pewnie, że to lepiej, niż żeby miała służyć do sienkiewiczowskiego „ścinania” łbów. Czy jednak nie byłoby roztropniej uczynić z niej lancet, rozcinający nasze sekrety i urazy?... ».

Przyznam, że wolę „zbroję” od tej nieopatrznie porzuconej na strychu „karabeli”. Ale i w „zbroi” coś mnie, może bardziej niż Kaczmarskiego, uwiera. Jak przystało na tępego, za to nieźle mitami doświadczonego racjonalistę, boję się wzruszeń — i

tradycji która je wywołuje — zaczynających się w okolicy żółdka. Spieszę jednak dodać, że jakby wbrew własnym słowom, Kaczmarski potrafi znakomicie odczytać „ryty” na tej zbroi. I jak wskazuje cały jego zbiór potrafi wybrać z nich te, które można i pewnie trzeba dzisiaj zaakceptować. Reszta — jak w każdej pieśni narodowej — należy do podniosłego nastroju. Do religijnych emocji.

Janina KATZ HEWETSON

Nadesłane nowości wydawnicze

KSIĄŻKI WYDANE POZA CENZURĄ W KRAJU

ANTY-FRELEK, ANTY-KOWALSKI. *Burza* 1939. Str. 120. (Wyd. Biblioteka Historyczna i Literacka, Warszawa 1981).

KOŁAKOWSKI (Leszek). *Kłopoty z Polską. „Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań”*. (Przedruk wydania „Aneksu”, wydawca podziemny nie podany, cena zł 80).

HERBST (Lothar). *Polska więziona. Dziennik liryczny pisany od 16 lutego do 6 czerwca 1982 r. w Strzelcach Opolskich, Nysie, we Wrocławiu. Internowanym i skazanym*. Str. 64. (Wyd. ADSUM, cena zł 100).

ŠIMEČKA (Milan). *Przywrócenie porządku. Przyczynek do typologii realnego socjalizmu. Z czeskiego przełożył Paweł Hartman*. Str. 88. (Wyd. Krag, Warszawa 1982, cena zł 130).

MICHNIK (Adam). *Kościół, lewica, dialog... Rozszerzony przedruk wydania Instytutu Literackiego*. Str. 153 i 1 nlb. (Wyd. NOWA jako 1 tom Biblioteki kwartalnika politycznego *Krytyka*, 1983, cena zł 270).

MARITAIN (Jacques). *Drogami kłęski*. Str. 92. (Wyd. NOWA, Warszawa 1983, cena zł 70).

SARTRE (Jean-Paul). *Egzystencjalizm jest humanizmem*. Str. 54 i 2 nlb. (Wyd. NOWA w *Bibliotece Krytyki*, Warszawa, lipiec 1982).

Księga starców (Gerontikon). Przekład z greckiego S. Małgorzata Borkowska, OSB. Str. 413 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 240).

HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Podróż do Burmy. Dziennik*. Str. 69 i 3 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1983).

ORŁOŚ (Kazimierz). *Pustynia Gobi. Opowiadania*. Str. 99 i 5 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1983).

KARPIŃSKI (Wojciech). *Chusteczka imperatora*. Str. 275 i 9 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1983).

RESZCZYŃSKA - STYPIŃSKA (Marta). *Krucze minuty*. Wiersze. Str. 54 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1983).

DUSZA (Edward). *Przez ciemność do światła*. Wiersze. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1983).

ERDMAN (Marta). *W oboim żywiole*. Str. 84. Druk prywatny, nakładem Sigma Press, Albany NY, USA).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

18-8-83

Zmarł w Warszawie w wieku 83 lat prof. Jan Zachwatowicz, jeden z wybitniejszych współczesnych architektów, konserwatorów i historyków sztuki.

20-8-83

W związku ze zniesieniem stanu wojennego w PRL 8.000 oficerów Armii Ludowej, pełniących funkcje komisarzy wojskowych w urzędach i różnych zakładach pracy, zakończyło swoją działalność.

21-8-83

Zmarł w Warszawie w wieku 51 lat Jerzy Szczygieł, pisarz i publicysta, autor „Milczenia”, „Dopalających się drzew” i in. utworów. Był założycielem i naczelnym redaktorem pisma *Niewidomy spółdzielca*, w którym walczył z poświęceniem o należne niewidomym prawa. Po ogłoszeniu stanu wojennego Jerzy Szczygieł otworzył łamy swego pisma dla dziennikarzy, którzy stracili pracę. Wśród nich byli Stefan Bratkowski, Jacek Maziarski, Michał Radgowski, Dariusz Fikus. Ostatnia książka J. Szczygła nie mogła ukazać się w Kraju.

30-8-83

Odbyło się posiedzenie plenarne Rady Naczelnej ZBOWiD-u. Na miejsce gen. Mieczysława Moczara, który złożył rezygnację, prezesem wybrano przewodniczącego Rady Państwa, prof. Henryka Jabłońskiego. ■ Prezydent m.st. Warszawy powołał tymczasowy zarząd Polskiego PEN-Clubu, który do czasu zwołania walnego zgromadzenia i wyboru nowych władz będzie kierował pracami Polskiego PEN-Clubu.

11-9-83

Warszawskie *Życie Gospodarcze* donosi, iż więcej niż połowa istniejących szkół podstawowych została wybudowana przed wojną, 808 z nich należałoby natychmiast zamknąć, 9.185 wymaga szybkiego remontu kapitalnego.

ZACHÓD — EMIGRACJA

2-7-83

Na Festiwalu Poetyckim w Sens odbyło się pierwsze polsko-francuskie symposium norwidowskie z udziałem Ewy Bieńkowskiej, Janusza Maciejewskiego, Jacka Trznadla, Allana Kosko i Krzysztofa Jezewskiego. Ze strony francuskiej wzięli w nim udział m.in. Eugène Guillevic, Hubert Juin, François-Xavier Janjard, François Boddart, François Lallier.

23-8-83

Zmarł w Londynie płk Janusz Prawdzic-Szlaski, legionista, komendant A.K. na woj. nowogrodzkie, więzień sowiecki i bezpieki PRL.

30-8-83

W dniu 30 sierpnia 1983 Polska Agencja Prasowa ogłosiła komunikat, stwierdzający, że „władze polskie zdecydowały reaktywację polskiego oddziału PEN-Klubu... PEN-Klub polski został zawieszony w związku z wprowadzeniem stanu wojny. Odbędzie się zebranie polskiego PEN-Klubu z nowym kierownictwem”.

W związku z tym Prezydium PEN-Klubu Międzynarodowego wysłało do ministra kultury PRL następujący telegram:

„Powołując się na informacje zawarte w komunikacie PAP z 30 sierpnia 1983, pozwalamy sobie zwrócić Pańską uwagę na fakt, że ośrodek polski stanowi część integralną PEN-Klubu Międzynarodowego, że nie jest organizacją rządową i że jego kierownictwo może być rozwiązane wyłącznie bądź przez PEN Międzynarodowy, bądź przez walne zgromadzenie Polskiego PEN-Klubu. Prosimy o wzięcie pod uwagę tej konstytucyjnej struktury, aby uniknąć możliwych trudności i ewentualnej odmowy przez PEN-Klub Międzynarodowy uznania polskiego ośrodka, bezprawnie ukonstytuowanego”.

4-9-83

W Detroit, MI (USA) odbył się XVII Zjazd Okręgu Koła Armii Krajowej z udziałem delegatów z USA oraz gości z Kanady i z Polski. Prezesem został wybrany ponownie Jan F. Morelewski. Zjazd w pierwszym rzędzie zajął się obecnie organizowaną Fundacją Armii Krajowej, której członkami mogą zostać młodzi — nie akowcy, a nawet i nie Polacy. Fundacja ma otoczyć opieką finansową Studium Polski Podziemnej w Londynie, oraz finansować publikacje o Podziemiu i A.K.

6-9-83

Zmarła w Paryżu w wieku 76 lat Barbara Palestrowa (żona wybitnego kompozytora Romana), absolwentka Konserwatorium Muzycznego w Warszawie, muzyk, eseistka i dziennikarka, długoletnia redaktorka muzyczna RWE. Współpracowała również z *Kulturą*.

10-9-83

Zmarł w Londynie w wieku 84 lat mec. Alfred Urbański, na emigracji działacz PPS oraz premier Rządu Emigracyjnego w latach 1972-1976.

30-9-83

Wernisaż wystawy malarstwa Józefa Czapskiego w Galerie Plexus, 1605 Chexbres, Szwajcaria. Wystawa trwać będzie do 30 października bież. roku.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Paryż, 20 sierpnia 1983.

Z uwagą i zainteresowaniem przeczytałem w jednym z ostatnich numerów *Kultury* list Waldemara Kuczyńskiego w sprawie używania i nadużywania znaku „Solidarność” przez wydawców i producentów, firmujących tym znakiem swój towar. W liście zwrócono szczególnie uwagę na „Vodkę Solidarity” i tygodnik *SŁOWO-SOLIDARNOŚĆ*, wydawany przez Aleksandra Pruszyńskiego w Kanadzie, który tę „vodkę” reklamował.

Bezceremonialność w używaniu znaku Związku budziła od dawna moje zdumienie i niepokój, toteż w pełni podzielałam opinię p. Kuczyńskiego, że należy podjąć kroki przeciwdziałające tego rodzaju praktykom.

Od siebie dodam, że z tych właśnie powodów odmówiłem przyjęcia na siebie obowiązków reprezentanta i korespondenta *Słowa* na Francję, co podczas ostatniego pobytu w Paryżu proponował mi p. Aleksander Pruszyński, mimo tak negujących perspektyw jak nieduże lecz regularne zarobki, wystawienie legitymacji dziennikarskiej, wolny wstęp na wszystkie poważniejsze imprezy kulturalne w Paryżu itp. Z tych samych powodów odmówił p. Pruszyńskiemu przyjęcia na siebie analogicznych obowiązków reprezentanta i korespondenta na Wielką Brytanię mój przyjaciel z Londynu p. Jerzy Samborski.

Łączę wyrazy szacunku

Romuald KAMIŃSKI

Do Redaktora *Kultury*.

Zgadzam się z dr Świderską w tym co mówi o Bibliotece Polskiej w Londynie*, z którą byłam serdecznie związana od chwili jej powstania w 1943 roku i o której — śledząc jej losy — nieraz pisałam w chwilach jej zagrożenia. Chciałabym tylko wyjaśnić jedną sprawę, rezygnując nawet z konia z rzędem, którego p. Świderska obiecała za tę informację.

Słusznie p. Świderska zwraca uwagę m.in. na ciasnotę lokalu Biblioteki, „czego symbolem może być — jak pisze — ogromna piramida pak zwalona na stałe pośrodku sekretariatu”. Dlatego niezmiernie mnie zdziwiło, że jednocześnie zastanawia się dlaczego depozyt Fundacji Lanckorońskich i inne wartościowe zbiory jak m.in. archiwum *Wiadomości* czy archiwa pisarzy emigracyjnych nie zostały przekazane Bibliotece. Ciekawa jestem gdzie by się tam znalazły, skoro — jak pisze p. Świderska — personel nie ma gdzie pracować ani zjeść przyniesionych kanapek. Jak by zostały zabezpieczone?

* *Kultura* nr 7/430-8/431.

Likwidując redakcję *Wiadomości* przekazałam do Biblioteki Polskiej liczne roczniki pisma (oprawione i nieoprawione), setki luźnych numerów i paki książek. P. Świderska, gdy z nią wtedy rozmawiałam, radziła mi, by nie posyłać za dużo, bo nie ma na to w Bibliotece miejsca.

Nie znam historii przekazania Bibliotece depozytu Fundacji Lanckorońskich, jeśli takie pretraktacje w ogóle istniały. Wiem tylko, że te bezcenne zbiory — rzadkie stare książki, antyczne meble, dywany, obrazy — znalazły godne siebie pomieszczenie w przestronnych, fachowo urządzonych z wielkim nakładem starania i kosztów, salach własnej siedziby Fundacji w Londynie, zamiast „leżeć w pakach na środku sekretariatu” czy w piwnicy.

W tym samym budynku Prof. Lanckorońska ofiarowała *Wiadomościom* obszerny, oddzielony od reszty pomieszczeń i odpowiednio zabezpieczony pokój na ich archiwum. Bez tego nieocenionego daru archiwum, przedstawiające półwieczną historię pisma przestałoby istnieć. Nie są to przypuszczenia, lecz pewność, oparta na doświadczeniu, gdy po utracie lokalu redakcji szukałam po całym Londynie miejsca, gdzie moglibyśmy się przenieść i prowadzić pismo choćby do końca 1981 roku, co było wtedy możliwe. Propozycje angielskie były nie do przyjęcia, gdyż wymagały podpisania wieloletniego kontraktu, albo kosztownych przeróbek, albo astronomicznego komornego. Polskie instytucje i firmy, do których też próbowałam się zwracać, proponowały mi — nie okazując żadnej chęci przyjęcia z pomocą ani zrozumienia dla normalnych potrzeb pisma — choć za wysokimi opłatami — jakieś pokoiki, to bez okna, to pokój przechodni (raz to była sypialnia, której nie wolno było przemeblować), albo taki, gdzie wieczorami miały odbywać się zebrania czy kursy. Gdy zaprotestowałam, dowiedziawszy się o tym w ostatniej chwili, usłyszałam: „A co pani sobie wyobraża? Że *Wiadomości* to takie ważne?” — i trzaśnięcie słuchawką. W rezultacie, nad ostatnimi numerami pisma pracowaliśmy w sześciu miejscach, rozrzuconych po całym Londynie, częściowo w prywatnych mieszkaniach.

Jeśli tak wyglądały starania o wynajęcie *płatnego* lokalu, jakiego pomieszczenia i jakiej opieki można się było spodziewać dla zabezpieczenia archiwum?

Dzięki Prof. Lanckorońskiej i jej Fundacji powstał skansen *Wiadomości* urządzony meblami redakcji, z korespondencją pisma, fotografiami, rocznikami od przedwojennych począwszy, sztychami, różnymi pamiątkami redakcyjnymi i wielkim zbiorem tekstów „Silva Rerum” redaktora Grydzewskiego, który pisał je przez lata i przygotowywał do druku niemal do końca życia.

Korzystam z okazji, by raz jeszcze publicznie za to podziękować w imieniu wszystkich, którzy byli związani z *Wiadomościami* w czasie ich ponad półwiecznego istnienia i tych, którzy może kiedyś będą z tego archiwum korzystać.

Stefania KOSSOWSKA
(Londyn)

Paryż, 11 sierpnia 1983.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z przyjemnością przeczytałem w lipcowej *Kulturze* recenzję Lerskiego na temat mojego WACHLARZA. Jest naprawdę bezstronna i wnikliwa.

Jedna pomyłka mnie razi. Lerski podaje, że jednym z założycieli PPSD w Przemysłu był mój ojciec... Aleksander (strona 200, wiersz 22 od dołu).

Prawdą jest, że mój ojciec na imię miał JÓZEF i jako dr Józef Mantel przeszedł do historii.

Dziękuję i serdecznie pozdrawiam

Feliks MANTEL

Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązując do mego listu w sprawie ścisłości faktów i dat — pozwalam sobie poinformować Pana (po przeczytaniu ostatniego numeru *Kultury*), że „proces przed trybunałem pierwszej instancji przyznał, a nie oddał prawa do Biblioteki Polskiej w Paryżu Polskiej Akademii Nauk”. Drobnotka! Pozew PAN został oddalony w 1959 przez Sąd Apelacyjny w wyniku dramatycznej interwencji francuskiego Zgromadzenia Narodowego (*motion Pleven*, za którą głosowali wszyscy deputowani oprócz dziesięciu wówczas komunistów). Liczba młodych: „ponoć” trzydziestu. Nic prostszego jak policzyć w kartotece. Nikt mnie o to nie zapytał. „Odpowiednia umowa prawna” gwarantuje władanie Towarzystwa Historyczno-Literackiego Biblioteką Polską do roku 2030, a nie 2032. To tylko ilustracja tego, czego chciałem uniknąć, proponując Panu weryfikację faktów i dat. Sprawa *Annales* przedstawiona jest kłamliwie — pewnie z uwagi na fakt, że materiały do pierwszego numeru, który z całym przekonaniem chciałem wydać (a Rada THL na mój wniosek nawet ich nie widząc wyraziła zgodę) nigdy nie zostały mi wręczone w komplecie. *Niekompletny* ten zestaw znajduje się do dziś dnia w Bibliotece (do wglądu Pana Redaktora). A wreszcie, jak Pan zauważył, ani słowem nie zareagowałem na *feuilleton* p. Bieriezina — każdy ma prawo do swoich opinii — ale tak się składa, że *Kultura* (Pan?) publikuje materiały o Bibliotece tylko od ludzi, którzy tam nie zostali przyjęci do pracy lub od tych, którzy stamtąd zostali zwolnieni (to już cała historia, której Panu i autorowi artykułu oszczędzę).

W czasie wakacji otrzymałem kilka kopii listów w mojej obronie przesyłanych Panu. Jeden z autorów, prof. Venulet, sugeruje mi spotkanie i wyrównanie nieporozumień. Nie mam nic przeciwko temu, zwłaszcza że nie mam do Pana pretensji — natomiast bardzo mi zależy na prawdzie, na ścisłych datach, cyfrach, faktach. Sam Pan to kilka lat temu zauważył, mówiąc do jednego z moich kolegów: „Mond to dokumentalista”. — Tak jest, dla mnie ścisłość to podstawa autorytetu publikacji.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Jerzy MOND

Paryż, 11 września 1983.

Szanowny Panie Redaktorze!

Do interesującego artykułu Tomasza Mianowicza „Zwycięstwo prowokacji po latach” z wrześniowego numeru *Kultury* chciałbym dodać jedną uwagę. Otóż nie jest prawdą, że Józef Mackiewicz jest w Polsce pisarzem mało znanym. Stwierdzenie to było prawdziwe jeszcze przed dwoma laty — nie dzisiaj. Książki Mackiewicza są ostatnio pozycjami szczególnie poszukiwanymi w kraju, głównie po grudniu roku 1981. Nie znaczy to, że ten niewątpliwie jeden z wybitniejszych pisarzy emigracyjnych jest pisarzem powszechnie znanym czytelnikowi krajowemu, ale mimo że faktycz-

nie w okresie Solidarności książkom Mackiewicza nie udało się „trafić pod strzechy” — co udało się w dużym stopniu innym emigracyjnym pisarcom — popularność i znajomość twórczości Mackiewicza wyraźnie wzrosła. Zawdzięczać to trzeba w dużej mierze londyńskiemu wydawnictwu „Kontra”, stworzonemu przez Ninę Karsov i niedawno zmarłego Szymona Szechtera. (Uzupełnieniem do tego wydawnictwa było wydawnictwo „Nina Karsov”, które wznowiło w roku 1983 „Kontrę” Mackiewicza). „Kontra” mimo trudności finansowych wznowiła ponadto pięć książek Józefa Mackiewicza: „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy” — 1975, „Droga donikąd” i „Lewa wolna” — 1981, „Zwycięstwo prowokacji” i „Sprawa pułkownika Miasojedowa” — 1983. W niezależnych wydawnictwach krajowych wyszła jedynie „Kontra”, miejmy nadzieję, że już wkrótce wychodzą pozostałe książki Józefa Mackiewicza.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Wojciech SIKORA

(czasowo) Wiedeń, 16 września 1983.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W nrze 9/432 *Kultury* ukazało się oświadczenie-apel w sprawie stosunków polsko-żydowskich podpisane przez trzech wybitnych i zasłużonych działaczy społecznych żydowskich z Polski żyjących na Zachodzie oraz przez trzech emisariuszy Polskiego Państwa Podziemnego z lat drugiej wojny światowej.

Od kilkudziesięciu lat próbuję robić, co jest w mojej mocy dla przeciętowania wzajemnych antagonizmów, uprzedzeń i urazów w stosunkach polsko-żydowskich i lepszego zrozumienia się Polaków i Żydów, gdziekolwiek żyją. Toteż witam ważne oświadczenie służące tej samej sprawie z ogromną satysfakcją i proszę o podanie do wiadomości publicznej, że solidaryzuję się z nim i dołączam do niego mój podpis.

Z wyrazami poważania,

Władysław BARTOSZEWSKI

FILOLOGIA

Bergen op Zoom, Holandia, 1 sierpnia 1983.

Szanowna Redakcjo!

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. W. Rostafińskiego o zmianach jakie zaszły na przestrzeni ostatnich lat w użyciu niektórych słów w języku polskim. Autor dość wyczerpująco porusza sprawę użycia wyrazów bezpośrednio przejętych z języka angielskiego, zapomina natomiast — pisząc o słowach rosyjskich, o jednym, bardzo popularnym słowie w latach sześćdziesiątych — sputnik. Słowo to zrobiło błyskawiczną międzynarodową karierę i „zadomowiło się” na dobre kilka lat nie tylko w języku polskim, ale niemieckim, angielskim i francuskim. Gdy pierwsze tryumfy rekordowych sowieckich lotów kosmicznych nieco zbladły lub odeszły w zapomnienie, słowo „sputnik” w języku polskim zastąpiono właściwszym jak „sztuczny księżyc” lub „sztuczny satelita ziemi”. Jeszcze dość często

można spotkać w polskiej prasie słowo „statek kosmiczny” będące dosłownym tłumaczeniem rosyjskiego „*kosmический корабль*”. O wiele właściwszym wydaje się użycie słowa „pojazd kosmiczny” lub „pojazd przestrzenny”.

Jeśli chodzi o inne słowo rosyjskie — „chałtura”, to w mowie potocznej oznacza ono po prostu „kicz” lub „lipa”, a o wiele mniej określa zajęcie przynoszące pieniądze ale nie liczące się w karierze.

Natomiast słowo angielskie „tranzystor” było już znane w Polsce pod koniec lat pięćdziesiątych, a nie w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, jakby to mogło wynikać z artykułu. W latach tych słowo „tranzystor” oznaczało zwykle radio niewielkich rozmiarów, zbudowane na tranzystorach i najczęściej wyprodukowane za granicą.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Z. M. KARETTA

Northampton, Wielka Brytania, 25 lipca 1983.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jako filolog, podzielał ogólnie sentymenty Wojciecha Rostafińskiego, wyrażone w artykule pt. „Od usatysfakcjonowania do wiatraków” w *Kulturze* nr 7-8. Trochę się o poprawność mowy ojczyznej, autor stwierdza, że język polski znajduje się pod naporem zapożyczeń i neologizmów. To samo można by powiedzieć o wielu innych językach świata. Wymiana kulturalna i techniczna między tymi społeczeństwami postępuje obecnie szybciej niż proces historyczny, prowadzący do naturalizacji nowych, obcych terminów. Stąd też rażą purystów słowa-chwasty: wczoraj jeszcze wcale nie istniały, dziś są popularne, a jutro mogą stać się powszechnie przyjęte, albo może znów pójdą w niepamięć. Słowa, podobnie jak ubiór, czy architektura, mogą być modne i przestarzałe, ładne i brzydkie, funkcjonalne i niepotrzebne. Co przyjąć, a co odrzucić? Modne, chociaż złe? Poprawne a brzydkie? Przestarzałe, ale ładne?

Wszystko byłoby w porządku, gdyby pan Rostafiński zdołał utrzymać ton artykułu w stylu osobistego „credo” na temat zagadnień języka technicznego. Mogłoby to wypaść o wiele ciekawiej i bardziej wartościowo, mówiłby on wówczas prawdopodobnie o sprawach sobie bliskich i znanych. Ale, niestety, tym razem naukowiec obrał metodę nienaukową. Mogę podziwiać p. Rostafińskiego z racji jego zatrudnienia w NASA, ale gdy zabiera się on do leksykologii przy pomocy kieszonkowego słowniczka angielsko-polskiego, zastanawiam się, czy może powinien jednak napisać do *Kultury* o kwantach?

No, bo proszę posłuchać:

a) Wśród nowych wyrazów pochodzenia rosyjskiego należałoby wymienić „sputnika”.

b) Kontrolować — po angielsku *control* (od *counter roll*) — to nie tylko „kierować czymś” lub „panować nad” (np. „poślizg kontrolowany”), ale także „nadzorować, sprawdzać, uwierzytelniać” (np. „kontrola techniczna”). Twierdzenie, że słowo to ma dwa różne znaczenia — jedno polskie, a drugie angielskie — jest zupełnie błędne.

c) Tendencja — z łaciny *tendo*, ang. *tendency* — nie jest, niestety, taka bardzo „nasza”. Nasze polskie określenie to „skłonność” — ale „tendencja” i „trend” znaczą także „kierunek, dążność, ciągnięcie, przeważanie w

(danym) kierunku”. Można mieć, na przykład, skłonność do kichania, ale chyba nie trend? Nawet dla samego autora artykułu „tendencje językowe” wydają się dobitniejsze, niż „skłonności”.

d) Kompleks — łac. *complexus*, ang. *complex* — złożony (skomplikowany), powikłany. Wyraz ten może określać złożoność zarówno techniczną jak i psychiczną czyli, jakbyśmy to powiedzieli po polsku: umysłową.

e) Rekreacja — nie jest rozrywką *sensu stricto*, lecz określa czynny wypoczynek (sport, gry, zabawy), prowadzący do odtworzenia (dosłownie — rekreacji) sił życiowych.

f) Gdybym w powyższym zdaniu użyła zwrotu „siły witalne” zamiast „życiowe”, czyżby wówczas miała na myśli energiczny uścisk dłoni?... Na tej właśnie zasadzie całkowicie mylne jest zestawianie słowa „unikat” z polskim „unikac”, ponieważ oba te wyrazy mają zupełnie różne źródła, a podobieństwo dźwiękowe jest przypadkowe. *Nota bene*, wyraz *unique*, od łac. *unicus*, jest francuski, nie angielski, chociaż zapożyczony także przez Anglików. Natomiast przymiotnik „unikalny” jest ni mniej ni więcej, tylko rusycyzmem! Poprawna forma polska brzmi „unikatowy”.

g) Stabilność i stateczność — podobnie jak i polskie „stać”, „ustalić się”, wywodzą się pierwotnie od łacińskiego *sto* i greckiego *statos*. „Stabilność” może razić, bo wydaje się stosunkowo nowym nabytkiem: „stateczność” i „stanie” przyjęły się w tak odległych czasach, że dla Polaka brzmią całkiem swojsko.

h) „Podbój przestrzeni” jest może wyrażeniem nieściśłym, ale trudno mówić o błędzie, skoro po prostu opuszczony został końcowy wyraz „kosmicznej”. W mowie potocznej można chyba przyjąć, że jest on dopowiedziany w domyśle.

Jak widać, obce słowa często wnoszą do języka pojęcia nieco inne od tych, jakie możemy wyrazić rodzinnymi odpowiednikami i nie zawsze można je zbyć jako „zupełnie niepotrzebne”. Przesadne „odchwaszczanie” może oznaczać wyjąłowanie. Język nie jest zjawiskiem statycznym (może nim być tylko w teorii typu nacjonalistycznego); jest to żywa, pulsująca tkanka, którą poznaje się przez studia i badania. Zanim w ogóle można podjąć się objaśniania przydatności i znaczenia wyrazów, trzeba je najpierw dobrze poznać od samych podstaw — bo inaczej możemy zblądzić w sytuację, w której... fizyki jądrowym objaśniania językoznawstwo, a lingwista klaruje energię nuklearną!

Łączę ukłony i pozdrowienia

Anna Maria MASKELL

San Antonio, 24 lipca 1983.

„WALKA Z WENTYLATORAMI”

Z miesznanymi uczuciami przeczytałem artykuł Wojciecha Rostafińskiego „Od usatysfakcjonowania do wiatraków” (*Kultura* nr 7-8).

Rzecz dotyczyła polskiego języka technicznego, a w szczególności dużej liczby zapożyczeń z języka angielskiego. Autor ocenia negatywnie istniejący stan rzeczy, zarzucając posługującym się tym językiem lenistwo, próżność i brak wyobraźni. To, że ktoś troszczy się o poprawność języka ojczystego, jest godne pochwały, ale trzeba to robić w sposób wyważony i fachowy.

Że czerpie się słownictwo z języka angielskiego — no, a od kogo mają

się uczyć elektroniki i jej języka — od Albańczyków? Grupa osób postępujących się tzw. polskim językiem literackim jest naprawdę niewielka — tak było zawsze i nie ma powodu do rwania szat. Pewne rzeczy trzeba zrozumieć, zanim się je potępi. Język to proces, który lingwiści starają się poznać i opisać. Ma on jednak tę właściwość, że trudno jest wpłynąć na kierunek jego rozwoju. Można wytykać błędne formy i niepoprawne zwroty, ale walka z zapożyczeniami jest, z grubsza rzecz ujmując, pracą Syzyfa. Świadczą o tym zadomowione od lat w języku polskim wyrazy łacińskie, włoskie, niemieckie, francuskie, a nawet tureckie.. Zdobyły sobie prawo obywatelstwa i nikogo już dziś nie razi. Aby jednak pocieszyć pana Rostafińskiego muszę dodać, iż język polski rozwija się dynamicznie i jest niezwykle żywotny, nie sądzę więc, aby zaszkodziło mu kilka wyrazów angielskich, którymi postępuje się garstka fachowców.

Pierwszym problemem językowym, który Wojciech Rostafiński znacznie uprościł jest proces skutecznego zastępowania wyrazów obcych — polskimi. Jako przykłady autor podaje wyparcie słowa „kulomiot” przez „karabin maszynowy” czy też „motoru” przez „silnik”. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem bardziej skomplikowanym, a polegającym na przesunięciach semantycznych, w wyniku których wyrazy zmieniają swoją treść i zakres. Wyraz „kulomiot” funkcjonuje nadal w języku polskim i wraz z wyrazem „miotacz” oznacza sportowca uprawiającego pchnięcie kulą. Podobnie ma się rzecz z wyrazem „motor”. Nie został on „wyrugowany” jak to sugeruje Rostafiński, ale istnieje nadal w wielu zwrotach, złożeniach i wyrazach pochodnych — np. „sporty motorowe”, „motorniczy”, czy też „motoryzacja”.

Rostafiński przypomina, że „nasz język polski należy do jednej z trzech dużych grup języków indo-europejskich” i zapożyczenia z innych grup są niewskazane, bo naruszają „ład dźwiękowy”. Co w takim razie z dokuczliwymi i ekspansywnymi naleciałościami z języka rosyjskiego, który przecież należy do naszej grupy? Zapożyczenia to nie tylko poszczególne wyrazy, ale całe zwroty.

W swojej krucjacie przeciwko słowom obcym autor wpadł we własne sidła, co zresztą się zdarza przy zbyt gwałtownych atakach. Wyjaśniając różnicę między „aparatem, który stoi w polu”, a „aparatem, który stawia się na stole” twierdzi, że pierwszy to „wiatrak”, a drugi „po polsku nazywa się wentylator”. Trochę dziwne stwierdzenie u tak zagorzałego przeciwnika wyrazów obcych, bo przypominam o istnieniu niemieckiego „ventilieren” — przewietzać, oraz „der Ventilator” — wietrznik, czy angielskiego „to ventilate”, ale może usprawiedliwia go jego własne stwierdzenie, że „ludzie piszą o rzeczach, których nie rozumieją”.

Szkoda, że Wojciech Rostafiński, biorąc za punkt wyjścia list z Polski od ucznia klasy siódmej, naśmiewa się z użytego przez swojego respondenta słowa „usatysfakcjonowany”. O wiele ciekawsze byłyby jego refleksje nad okolicznościami, w jakich młody chłopiec z biednego, rolniczego kraju w Europie wschodniej pisze do laboratorium NASA z prośbą o informację, ponieważ interesuje się przestrzenią kosmiczną i astronautyką.

Ciekawe, prawda?

Marek STRZESNIEWSKI

Skärholmen, 24 lipca 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z uwagą i zaciekawieniem przeczytałem w numerze 7-8/1983 *Kultury* artykuł p. Wojciecha Rostafińskiego „Od usatysfakcjonowania do wiatra-

ków”. Przyklasnąć należy trosce p. Rostafińskiego o czystość naszego języka, nie wszystkie jednak zapożyczenia z innych języków muszą być od razu „chwastami”. Żaden chyba ze współczesnych języków nie istnieje w izolacji, ludzie jeżdżą po całym świecie, zapożyczenia międzyjęzykowe są — moim zdaniem — nie do uniknięcia.

Właśnie — nie do uniknięcia. P. Rostafiński twierdzi, że utworzone z angielskiego słowo unikalny mające oznaczać „jedyny w swoim rodzaju” — „jest nonsensem”, a nonsensem jest dlatego, że „słowo unik oznacza ruch mający na celu uniknięcie ciosu”.

Przede wszystkim — „unikalny” nie trafił do polszczyzny z angielskiego, a z łaciny („unicus” — jedyny).

Grubym nieporozumieniem jest natomiast zarzucanie nonsensowności istnieniu w polskiej mowie tego wyrazu tylko z powodu jego zewnętrznego podobieństwa do czysto polskiego słowa, jakim jest „unik”.

Wszystkiemu jest winien widocznie przedrostek „u”, który w połączeniu ze rdzeniem „nik” tworzy „u-nik”. Rdzeń „nik” występuje w polszczyźnie także po wielu innych przedrostkach, np. w takich słowach jak „wy-nik”, „z-nik-ac”, „prze-nik-ac”, „za-nik-ac” etc.

Natomiast w wyrazie „unikalny” spolszczonym rdzeniem powinien być „uni” (w prostej niemal linii od łacińskiego „unus”, jeden).

Tak więc zewnętrzne jedynie podobieństwo graficzne i fonetyczne do „uniku” nie może być powodem uznania wyrazu „unikalny” za chwast w języku polskim. Wyraz ten i jemu pochodne zyskały sobie w naszym i wielu innych językach prawo obywatelstwa.

Puryzm... owszem, ale bez przesady.

Z poważaniem

Marek TROKENHEIM

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

J.K., Szwecja; L.Ż., Australia; H.H. w Kraju; L.S., Francja; K.W., Szwecja; A.J.K., Francja; T.W., Australia; H.S., Szwecja; J.R., Izrael; J.P., Francja; W.P., RFN; P.P. w kraju; G.Ż., Australia; J.A.M. w Kraju; Z.R., RFN; M.Ż., Australia; K.J., Kanada; A.T., RFN; — Z wierszy nie skorzystamy.

M.B., Dania: — Jesteśmy naturalnie entuzjastami nagrody Nobla dla Miłosza. Jeżeli wymieniona przez Panią osoba ma inny pogląd na wybór Akademii Szwedzkiej, to jej dobre prawo. Ale co tu ma do rzeczy Mandelsztam? Przecież nagrody Nobla nie przyznaje się pośmiertnie.

M.J., Szwajcaria: — Opowiadanie wydaje nam się blahe.

G.D., Francja: — Poruszony przez Pana temat zasługiwałby na poważniejsze potraktowanie. Ironicznie-żartobliwy ton artykułu uwydatnia w nim tylko „pomieszanie z poplątaniem”.

J.K., Francja: — Nie bardzo rozumiemy, co Pan chciał w swojej *Podróży*

powiedzieć. Dziękujemy za miłe słowa o *Kulturze*. Wspomina Pan jednak o czymś, „czego nie ma w *Kulturze*”, nie wyjaśniając o co chodzi.

M.P., Włochy: — Nie znamy książki Galluzziego *La svolta*, ale sądząc z Pana omówienia nie jest ona szczególnie interesująca.

K.H., USA: — Ciekawe są w Pana liście informacje o działalności lubelskiego teatru studenckiego. Co do wplecionych w list wierszy czy okrucichów poetyckich, to trudno coś o nich powiedzieć. Nie są w każdym razie uderzające.

H.K., Holandia: — Wspomnienie Pani jest wzruszające, ileż jednak ukazało się już na ten temat książek i opisów! Jeden drobiazg: trudno nazywać zamach na Kirowa „udanym”, skoro wiadomo dziś, że Kirow został zamordowany z polecenia Stalina.

A.T.: — Oba Pana teksty — opowiadanie i notatki wojenne 1983 — powtarzają rzeczy powszechnie już znane.

SPROSTOWANIE

W „Kronice kanadyjskiej” w nr. 9/432 (wrzesień 1983) *Kultury* na str. 148-149 nieściśle podano informację o pracowniku ambasady kanadyjskiej w Warszawie, Kołowski. Nazywa się on Sławomir Kowalski i był zatrudniony w ambasadzie PRL w Ottawie, a nie w ambasadzie kanadyjskiej w Warszawie. Kowalski po rzuceniu pracy w ambasadzie PRL zgłosił się do władz kanadyjskich o azyl i prawo stałego pobytu w Kanadzie, co uzyskał. Po pewnym czasie wyjechał do PRL, gdzie został aresztowany. W ambasadzie PRL pracował jako radiooperator. Nieścisłość naszej notatki wynikała z fałszywej informacji jednej z radiostacji kanadyjskich.

Dnia 1 września zginął wraz z 268 osobami na pokładzie koreańskiego samolotu pasażerskiego zestrzelonego przez Związek Sowiecki, amerykański kongresman Larry P. McDonald. Śmierć kongresmana Larry P. McDonald zamordowanego przez sowieckich oprawców jest niezwykle bolesnym ciosem dla tych wszystkich, którzy znali Go i cenili jako wypróbowanego przyjaciela Polski. Larry P. McDonald był członkiem Ruchu Społeczno-Politycznego Pomost; działał w Komitecie Obalenia Układów Jałtańskich.

Cześć Jego pamięci.

RSP POMOST

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trimestre 1983.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1984			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
ARGENTYNA: «Liberia Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248	\$ A. 6,50	\$ A. 35,00	\$ A. 60,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
BELGIA: Maria Rondonianska, 132, Avenue Coghén, 1180 Bruxelles. Tel.: (2) 345 08 25. Konto 310.0334324. 51 w Banque de Bruxelles	F.B. 300,00	F.B. 1300,00	F.B. 2600,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji «Kultury»	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B 4 Vliissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176 ..	Fl h 15,00	Fl h 80,00	Fl h 145,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; «Polish Voice Publishing» Co., 1089 Queen St. W Toronto 145 Ont. Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St., w., Toronto, Ont. M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 12,00 F. 36,00	\$Can. 35,00 DM 70,00 F. 200,00	\$Can. 60,00 DM 130,00 F. 380,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1. NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. ..	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 110,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475-8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 380; półroczna — F. 200.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 4,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 379 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZEŚCZDZIESIĄTY PIĄTY

Zawiera m.in. opracowania: B. Strumińskiego — *Wywiad z prof. O. Pricakiem*; M. Edelmana — *Getto walczy*; J. Krajowca — *Związek Literatów Polskich w stanie wojennym*; L. A. B. Kliszewicza — „Grzegorz” — *placówka wojskowej łączności w Grecji*; L. Łubieńskiego — *Ostatnie rozmowy śp. generała Sikorskiego w Gibraltarze*; J. Laloy — *W Moskwie: między Stalinem a De Gaulle'm*; G. Brandesa — *Wrażenia z Polski (1885)*; Bogaty dział DOKUMENTÓW i RECENZJI.

Str. 240.

Cena F. 60,00.



TOM 380 — ZBIGNIEW HERBERT

RAPORT Z OBLĘŻONEGO MIASTA

Nowy tom wierszy znakomitego polskiego poety.

Str. 88.

Cena F. 40,00.



TOM 381 — SERIA „DOKUMENTY”

PRAWA CZŁOWIEKA I OBYWATELA W PRL W OKRESIE STANU WOJENNEGO

(13. 12. 1981 - 31. 12. 1982)

Opracował Zespół Redakcyjny Komitetu Helsińskiego w Polsce. Z upoważnienia: Zbigniewa BUJAKA, Bogdana LISA, Władysława HARDKA, Józefa PINIORA, Eugeniusza SZUMIEJKI.

Str. 224.

Cena F. 75,00.



TOM 382

ROZMOWY NIEKONTROLOWANE ROZMOWY NIEKONTROLOWANE ROZMOWY NIEKONTROLOWANE

Rozmowy przeprowadzone w okresie od maja do końca listopada 1982 roku z 16-toma przedstawicielami polskiej inteligencji w kraju, które są świadectwem prawdziwych odczuć doznawanych w poszczególnych miesiącach stanu wojennego.

Str. 246.

Cena F. 75,00.